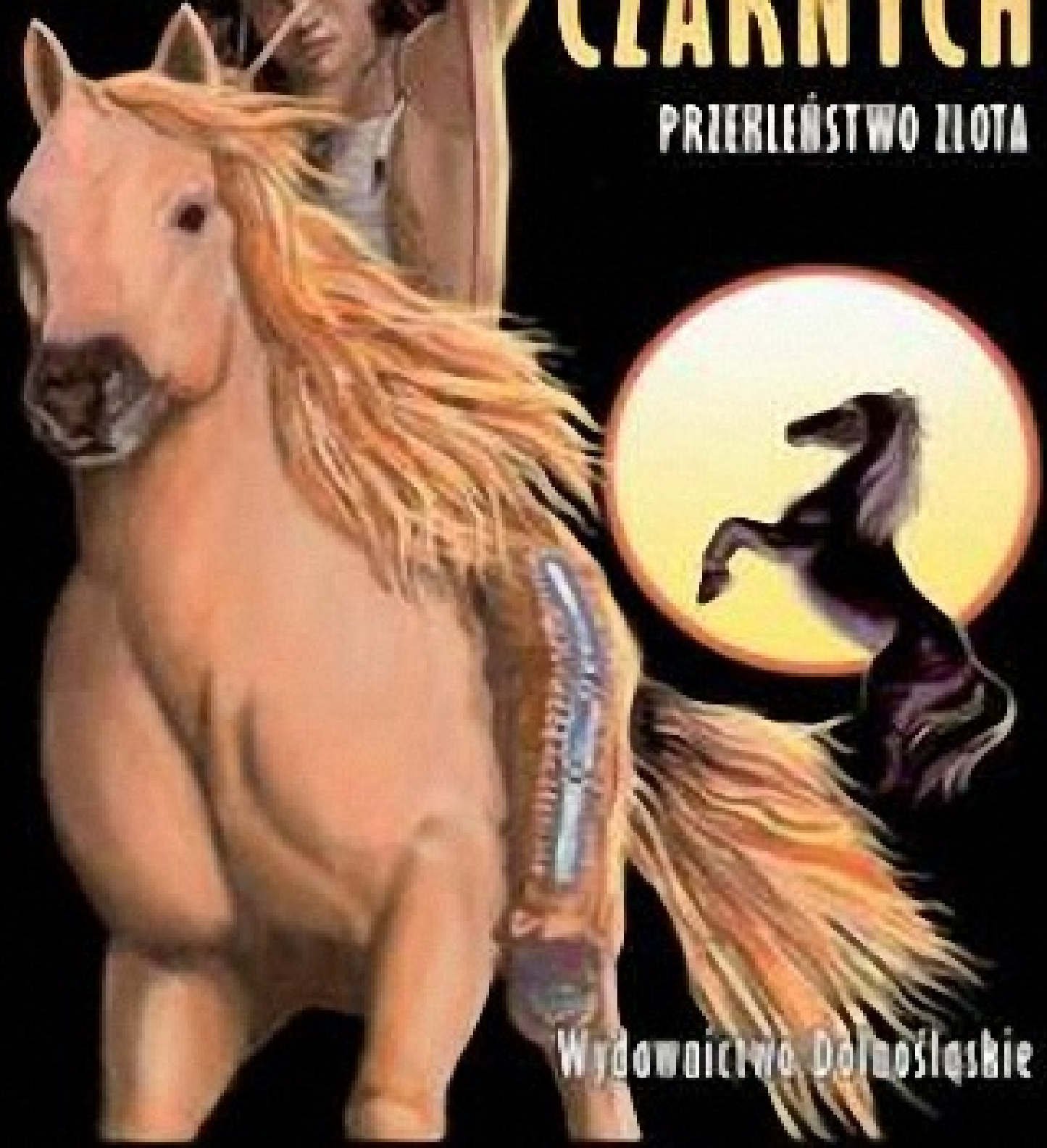


Krystyno i Alfred Szklarscy

# ZŁOTO GÓR CZARNYCH

PRIERLEŃSTWO ZŁOTA



Wydawnictwo Dolnośląskie

Szklarscy Krystyna i Alfred – Złoto Gór Czarnych t.2(z txt) **ZŁOTO**

**GÓR**

**CZARNYCH**

*Trylogia indiańska*

Tom II

**PRZEKLEŃSTWO**

**ZŁOTA**

# Zapowiedz wyprawy wojennej

Między zachodnimi krańcami Jeziora Górnego a rzeką Missisipi, wśród tu i ówdzie upstrzonej bagnami puszczy połyski-wało niewielkie jezioro. Właśnie miało się ku wieczorowi. Złota-wopurpurowe promienie zachodzącego słońca jeszcze gorzały na ciemnozielonych koronach drzew i muskały spokojną tafłę jeziora, ale w głębi boru już zapadał przedwieczorny zmrok.

Nad brzegiem jeziora leżała rozległa osada okolona fosą oraz ostrokołem, w którym liczne otwory strzelnicze wskazywały, że mieszkańcy często zmuszani byli do obrony swego życia i mie-nia.

Osadę zamieszkiwali Indianie Wahpekute, należący do Santee Dakotów, zwanych także Dakotami Wschodnimi. Oni to wtedy stanowili najdalej wysuniętą na wschód kontynentu Ameryki Pół-

nocnej część narodu Dakotów<sup>2</sup>, który wypierany przez Czipewe-

\* Mowa o jednym z licznych małych jezior leżących na północnym wschodzie od jeziora Mille Lacs.

\* Dakotowie nazywani byli: Dahcota, Dacota bądź Dacotah, a francuscy kupcy zwali ich Sioux -

Znienawidzeni Wrogowie, co obrażało Dakotów. Sami Dakotowie zwali siebie Dah-co-ta, czyli Sprzymierzeni bądź Spokrew-nieni; ta nazwa najwłaściwiej określa naród Dakotów, na który składało się siedem głównych plemion, tworzących konfederację, związek, zwany przez nich Ocheti Shakowin, co dosłownie znaczyło „siedem ogni rady plemiennej” (ang. the Seven Council Fires), czyli faktycznie „Związek Siedmiu Ple-mion”. Plemiona tworzące ten związek nigdy nie prowadziły wojen pomię-dzy sobą ani też nie wspomagały wroga występującego przeciwko któremuś bratniemu plemieniu.

jów już uzbrojonych w broń palną zmuszony był do stopniowego przesiedlania się z krainy puszczy i jezior na leżące na zachodzie Wielkie Równiny. Tak więc z wszystkich Dakotów jedynie Santee Dakotowie wiedli jeszcze nadal pół osiadły tryb życia i pozostawali najdłużej na ziemiach praojców, które wówczas rozciągały się na obszarach obecnego stanu Minnesota oraz na częściach obydwóch Dakot. W tej sytuacji plemię Wahpekute stanowiło jakby tylną straż migrujących na zachód Dakotów i wciąż toczyło uporczywe krwawe walki o swe ojczyste ziemie’ z napierającymi ze wschodu Czipewejami.

Tego jednak dnia zawsze ostrożni Wahpekute zapewne czuli się bezpieczni. Wierzeje w ostrokole stały otworem, a w osadzie, wesoły gwar głosów rozbrzmiewał wokoło.

Osada składała się z kilkudziesięciu nieregularnie rozrzuc-o-nych chat o kopulastych dachach.

Obszerne, okrągłe chaty bez otworów okiennych zbudowane były z ziemi i darniny. Wejścia do chat znajdowały się bezpośrednio w ścianie bądź też wiódł do nich wąski, ziemny korytarzyk. Na kopulastych dachach niektó-rych ziemianek leżały lekkie, przenośne, okrągłe łodzie ze skór bizonich rozpiętych na ramach z wierzbowych prętów, czasem obok nich bieleły się także czaszki bizonów. Przed chatami stały wysokie trójnogi lub długie tyki wbite w ziemię, na których za-wieszane były

godła i oznaki rangi oraz broń znamienitszych wojowników, a więc: skórzane tarcze pokryte magicznymi, sym-bolicznymi rysunkami, łuki, kołczany ze strzałami, lance i zawi-niątka ze świętymi przedmiotami.

Kobiety już powróciły z pobliskich poletek, na których upra-wiały kukurydzę, fasolę i dynie.

Smugi szarych dymów snuły się z otworów pośrodku owalnych dachów ziemianek. Wokół rozchodził się zapach gotowanych potraw, ponieważ wieczór był u Indian porą spożywania głównego posiłku dnia.

Przyrządzanie jedzenia oraz wszystkie najcięższe prace gospo-darskie i domowe należały do codziennych obowiązków starych kobiet. Toteż wszędzie rozbrzmiewały ich swarliwe, skrzekliwe głosy. Staruchy z włosami niedbale opuszczonymi na plecy, okry-wając zaledwie strzępami skór swe pomarszczone ciała, krzątały się niczym ruchliwe, pracowite mrówki, jednocześnie napędzając do różnych robót młodsze niewiasty.

Mężczyźni natomiast, pozostawiwszy kobietom całą troskę o sprawy gospodarskie, zażywali przedwieczornego wypoczynku. Wylegiwali się na skórach rozesłanych wprost na ziemi przed chatami lub szukali schronienia w przewiewnych altankach z ga-łęzi okrytych liśćmi, specjalnie zbudowanych przez kobiety dla nich, aby w gorące dni lata nie musieli przebywać w przegrza-nych, dusznych ziemiankach. Jak zwykle w wolnych chwilach wypoczynku wspominali niezwykle przygody, grali w „mokasy-ny” bądź też bawili się ze swymi maleńkimi synami. Sławniejsi wojownicy przysiedli obok swoich ulubionych młodych żon ob-wieszonych błyskotkami i wiedli przyciszone wesołe rozmowy.

Gderliwe głosy staruch oraz chichoty młodych mężatek mie-szały się z nadchodzącymi z brzegu jeziora śmiechami. To chłopcy i dziewczęta, podczas wspólnej kąpieli z młodymi kobietami w jeziorze, obryzgiwali się wodą wśród ogólnej wesołości. Mali chłopcy biegali tu i tam za ptakami strzelając do nich z dziecinnych łu-ków bądź uganiali się za umykającymi przed nimi sforami na-szczekujących kundli.

W gronie mężczyzn obserwujących grę w „mokasyny” znajdo-wało się dwóch młodzieńców, Tehawanka i Sha’pa. Pojedyncze orle pióra wpięte we włosy z tyłu ich głów świadczyły, że byli już wojownikami. Właśnie półgłosem wymieniali uwagi usiłując od-gadnąć, w którym mokasynie została ukryta mała kolorowa kostka. Nagle ucichli, zaczęli nasłuchiwać. Gracze również przerwali za-bawę, albowiem w pobliżu zabrzmiał donośny terkot grzechotki obwoływacza. Po chwili grzechotanie ustało i rozległo się woła-nie:

„Wojownicy Wahpekute, słuchajcie! Znany, sławny wojownik Śmiały Sokół wyrusza na wojenną wyprawę. Kto chciałby towa-rzyszyć Śmiałemu Sokołowi, niech przyjdzie dzisiaj o wschodzie księżycy do domu Przeciętej Twarzy!”

Tehawanka i Sha’pa oraz gracze w „mokasyny” zasłuchani w słowa obwoływacza trwali bez ruchu.

Odwaga Śmiałego Sokoła była powszechnie znana. Jego niezwykły czyn wciąż jeszcze wspo-minano podczas wieczornych gawęd, nie tylko wśród Dakotów.

Śmiały Sokół był Paunisem. Jako syn wodza zwał się swego czasu Petalesharo. To on ocalił od niechybnej męczeńskiej śmierci siostrę Tehawanki, Poranną Rosę. Szlachetnym czynem zyskał uznanie oraz wdzięczność Wahpekute. Toteż na jego życzenie bez wahania przyjęli go do swego plemienia, nadając mu jedno-cześnie nowe, zaszczytne imię Śmiałego Sokoła.

Jednak nie tylko ocalenie Porannej Rosy budziło dla niego podziw i szacunek wśród Wahpekute.

Otóż tylko on jeden w ich osadzie posiadał własnego konia, na którym zbiegł z Poranną Rosą od Paunisów. W tym czasie Wahpekute sami jeszcze nie posiadali koni. Na niezbyt odległe łowy oraz wyprawy wojenne chodzili pieszo, w przeciwieństwie do pobratymczych Teton i Yankton Dakotów, którzy dawno już porzucili półosiadły tryb życia i przenieśli się dalej na zachód, na otwarte Wielkie Rów-niny Wewnętrzne. Tam, jeszcze na długo przed pierwszym zetknięciem się z białymi ludźmi, zdobyli sunka wakan, czyli tajem-nicze duże psy, jak nazywali konie, i prowadzili nadal wolne, pełne przygód, wędrowne życie, podążając za wielkimi stadami bizonów, które stały się ich całym źródłem utrzymania 3.

Konie od dawna fascynowały Wahpekute. One to przecież umożliwiały szybkie przenoszenie się na większe odległości, a więc wyruszanie na dalekie, obfitsze polowania na bizona i przywoże-nie do osady większych ilości mięsa oraz ułatwiały odbywanie wypraw wojennych po sławę i zdobycz.

Toteż pożądlivym wzro-kiem spoglądali na wspaniałego wierzchowca przywiązanego do palika przed chatą Przeciętej Twarzy, u którego zamieszkał Śmiały Sokół po przyjęciu do plemienia Wahpekute.

Śmiały Sokół zachęcał Wahpekute do jak najszybszego zdobycia sunka wakan. Uczył ich, jak należy obchodzić się z koniem i jeździć na nim. Wśród jego pilnych uczniów znajdował się Tehawanka, któremu często pozwalał dosiadać swego rumaka. Nie dziwiło to nikogo. Śmiały Sokół zakochał się w Porannej Rosie, siostrze Tehawanki i zamierzał pojąć ją za żonę. Wiadome także 3 Często mylnie mniema się, że pierwotne życie Indian Wielkich Równin uległo zasadniczym zmianom dopiero po bezpośrednim zetknięciu się z Eu-ropejczykami. Tymczasem w rzeczywistości konie i broń palna, które wprost zrewolucjonizowały sposób bytowania, zwyczaje i rodzimą kulturę wielu plemion indiańskich, a zwłaszcza mieszkańców prerii i jej pobrzeży, właśnie dotarły do szeregu plemion na długo przed ich bezpośrednim kontaktem z białymi. Droga rozprzestrzeniania się koni w Ameryce Północnej wiodła z południowego zachodu w kierunku północnym i wschodnim, a broni pal-nej - od wschodniego wybrzeża na zachód.

10

było, że Sha'pa, przyjaciel Tehawanki, również skrycie wzdychał do Porannej Rosy, lecz ocalenie jej od niechybnej śmierci przez Śmiałego Sokoła dawało temu ostatniemu powszechnie uznawane prawo pierwszeństwa. Gdy obwoływacz obwieszczał teraz publi-cznie zamiar Śmiałego Sokoła wyruszenia na wojenną wyprawę, domyślano się, że odważny wojownik pragnie zdobyć cenne upo-minki, jakie zakochany mężczyzna obowiązany był, w myśl sta-rego zwyczaju, wręczyć rodzicom czy opiekunom wybranki, w celu okazania swego szacunku dla niej i jej rodziny.

Przygotowania poczynione przez Śmiałego Sokoła wskazywały, że podarunek mają stanowić konie tak upragnione przez Wahpekute.

Grono mężczyzn, które przed chwilą przerwało grę w „moka-syny”, już nie myślało o zabawie.

Gracze i kibice w dalszym ciągu w skupieniu wśluchiwali się w nawoływania obwoływacza, dochodzące jeszcze z oddali:

„... kto chciałby towarzyszyć Śmiałemu Sokołowi, niech przyjdzie dzisiaj o wschodzie księżyca do domu Przeciętej Twarzy!”

Tehawanka i Sha’pa wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wolnym krokiem ruszyli ku wyjściu z osady. Gdy wreszcie znaleźli się w lesie, gdzie mogli rozmawiać nie słyszani przez nikogo, Sha’pa pierwszy przerwał milczenie.

- Cóż zamierzasz, przyjacielu? - zagadnął.

Tehawanka jeszcze rozmyślał przez dłuższą chwilę, po czym powiedział:

- Pójdę do domu Przeciętej Twarzy! Śmiały Sokół zamierza zdobyć więcej sunka wakan. Ja również chcę mieć własnego konia. Czas najwyższy, aby Wahpekute wreszcie zdobyli sunka wakan. Wtedy zwiększą się nasze szanse w walce z Czipewejami.

- Wydaje mi się, że mówisz słusznie, ale czy mamy to zawdzięczać właśnie Śmiałemu Sokołowi?

- odpowiedział Sha’pa, a z głosu jego przebijała źle skrywana niechęć.

Tehawanka nieco surowym wzrokiem spojrzał na przyjaciela i rzekł:

- Dlaczego boczysz się na niego? To dzielny i szlachetny mężczyzna! Pamiętaj, że obecnie jest on Wahpekute!

- Słuszność jest po twojej stronie - powiedział nachmurzony Sha’pa. - Przecież on nic nie wiedział i nadal nie wie, że zniweczył moje zamiary. Chodzi o Poranną Rosę...

11

- Wiesz dobrze, że zawsze ci sprzyjałem - wtrącił Tehawanka. - Lecz w tej sprawie decydujący głos ma Poranna Rosa. Według naszych odwiecznych zwyczajów...

- Śmiały Sokół ma pierwszeństwo, ponieważ ocalił jej życie narażając samego siebie! - porywczo zawołał Sha’pa. - Nie musisz mi tego przypominać! Poza tym Poranna Rosa sprzyja Śmiałemu Sokołowi, a to właśnie przesądza sprawę na jego korzyść!

Znów szli zamyśleni przez jakiś czas. W końcu Tehawanka przerwał milczenie, pytając:

- Więc co postanawiasz?

- Spotkamy się o wschodzie księżycy u Przeciętej Twarzy - odparł Sha'pa i pospiesznie oddalił się od przyjaciela.

Tehawanka nawet nie próbował go zatrzymać. On również pragnął w samotności jeszcze raz przemyśleć wszystko. Zdobywanie koni mogło w zasadniczy sposób zmienić losy Wahpekute.

Dziadek Tehawanki, szaman i wódz, Czerwony Pies, kilkakrotnie wyprawiał się na zachód do bratnich Teton Dakotów. Poznał ich nowy sposób życia. W najgłębszej tajemnicy opowiadał o nich ukochanemu wnukowi, w którym upatrywał swego następcę. Zwierzył mu się również, dlaczego nie przedstawił ogółowi Wahpekute niepokojącego uroku nowego życia Teton Dakotów na sze-rokich równinach. Otóż sędziwy szaman nade wszystko kochał kra-inę puszczy i wielkich jezior, ziemię swych praojców i nadal pra-gnął za wszelką cenę bronić dostępu do niej wrogim Czipewejom.

„W tej ziemi, która jest naszą matką, spoczywają kości na-szych sławnych przodków - mawiał

Czerwony Pies. - Kto porzuca groby swych najbliższych, niewart jest chodzić po tej świę-tej ziemi. Gdyby Czipewejowie tu przyszli, zbezczęściliby nasze groby! Nie mogę i nie chcę porzucić ziemi praojców! Jak mógł-bym spojrzeć im w oczy, gdy duch mój przeniesie się do Krainy Wiecznych i Szczęśliwych Łowów?”

Słowa dziadka zawsze wywierały wielki wpływ na młodego Tehawankę. Ojczystą ziemię kochał i czcił na równi z wielkim przywódcą Wahpekute. Patrzył jednak inaczej na sprawę zdobycia koni przez własne plemię. Według niego mogłoby to zwiększyć ich szansę w walce z Czipewejami. Poza tym konie umożliwiłyby Wahpekute odbywanie dalszych wypraw łowieckich. Sprowadze-12

nie koni nie kojarzyło się w jego umyśle z koniecznością porzu-cenia ojczystej krainy puszczy i jezior.

Z opowiadań szamana poznał bezkresne stepy Wielkiej Rów-niny, po których wędrowali za stadami bizonów Teton Dakotowie i inne plemiona już posiadające konie. Przecież to właśnie Czer-wony Pies mówił, że sunka wakan pozwalały nomadom stepów urządzać dalekie wyprawy łowieckie oraz zabierać z odległych miejsc łowów większe zapasy żywności i skór, niż mogli to czynić Wahpekute, używając dotąd tylko psów jako jucznych zwierząt. Konie mogły także ciągnąć włóki z dłuższych drągów, co z kolei pozwalało na budowanie wyższych i obszerniejszych tipi podczas dalekich wędrówek. Dzięki koniom mieszkańcy bezkresnych ste-pów zyskali możliwość swobodnego, szybkiego poruszania się, co nie tylko zwiększyło szansę na pomyślne polowania, lecz również umo-żliwiało błyskawiczne atakowanie wrogów.

Tak rozmyślając i przekonując samego siebie o konieczności zdobycia koni przez Wahpekute, Tehawanka ostatecznie postano-wił wziąć udział w wyprawie Śmiałego Sokoła.

Puszcza była cicha i spokojna. Wiatr łagodnie szumiał w koro-nach drzew. Przez gałęzie jeszcze przeświecały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Niefrasobliwy świergot ptaków przygotowujących się do nocnego snu świadczył, że wokół nie czaiło się jakie-kolwiek niebezpieczeństwo.

Tehawanka szedł wolnym krokiem zasłuchany w odwieczną urokliwą pieśń prastarej puszczy. W



tej przepięknej krainie puszczy i jezior przyszedł na świat i wyrósł na mężczyznę. Ziemia, drzewa, zwierzęta, ptaki i wiatr przemawiały zrozumiałym dla niego językiem. Sam Tehawanka czuł się również częścią tej tajemniczej krainy. Chciał zdobyć konie dla Wahpekute, aby mogli skuteczniej bronić tej ziemi. Czyż mogłoby być wokół tak spokojnie, gdyby jego zamiary groziły niebezpieczeństwem? Nie, nie, tutaj sama natura słałaby mu ostrzeżenie. Idąc dalej zanosił modły do swego Ducha Opiekuńczego, który już kilkakrotnie nawiedzał go pod postacią złocistego orła.

Uspokojony powrócił do osady. Od razu można było zauważyć gromadki mężczyzn prowadzących ożywione rozmowy. Kobiety również szeptały po zakamarkach. Mimo zmroku dzieciarnia bawiła się w podchody wojenne. Wszędzie było widać niecodzienne podniecenie.

Tehawanka wszedł do najobszerniejszej w osadzie chaty, mogącej pomieścić kilkadziesiąt osób.

Tutaj właśnie mieszkał z siostrą i dziadkiem - szamanem i wodzem - Czerwonym Psem. W

przeciwieństwie do gwaru panującego w osadzie, w ziemiance szamana zalegała cisza. Tehawanka zatrzymał się, ogarnął go pół-mrok. Pomiędzy czterema centralnymi słupami podpierającymi owalny dach ziemianki ledwo żarzyło się ognisko. Dym snuł się nad nim i pogłębiał mrok.

Tehawanka stał w progu przez dłuższą chwilę. Gdy oczy jego przywykły do mroku, rozejrzał się po wnętrzu chaty. Obydwie żony szamana przykucnęły w kącie, natomiast Poranna Rosa i Mem'en gwałtownie siedziały skulone na posłaniu pod ścianą. Wszystkie kobiety spoglądały teraz na Tehawanke, gestami rąk nakazując milczenie. Młodzieniec pojął, że w tej chwili w chatce musiało dziać się coś niezwykłego. Wytężył wzrok, szukając swego dziadka.

Przed domowym ołtarzykiem, ustawionym przy tylnej ścianie ziemianki na wprost ogniska, klęczał sędziwy szaman. Głowę odchylił do tyłu, jakby spoglądał w pułap, a dłonie opierał na zawiniątku ze świętymi przedmiotami leżącym na ołtarzyku. Za ledwie Tehawanka ujrzał nieruchomą postać szamana, od razu pojął, dlaczego kobiety nakazywały milczenie. Szaman rozmawiał z duchami.

Tehawanka ostrożnie zbliżył się do ołtarzyka. Klęknął u boku swego opiekuna i wychowawcy. W nabożnym skupieniu spoglądał na jego jakby skamieniałą, poszarzałą twarz. W obecności ukochanego wielkiego i szanowanego przez wszystkich szamana młody Tehawanka zawsze tracił pewność siebie. Wiedział, że bez wahania podporządkuje się jego woli.

Sporo minęło czasu, zanim nieruchomy szaman wreszcie westchnął głęboko i zaczął zdradzać oznaki życia. Powolnym ruchem zdjął dłonie z zawiniątku ze świętymi przedmiotami. Powstał.

Widocznie już przedtem musiał wyczuć obecność wnuka, teraz odwrócił się ku niemu bez jakichkolwiek oznak zdziwienia. Długo spoglądał wprost w jego oczy. Pod wpływem przenikliwego, surowego wzroku Tehawanka jeszcze bardziej się przygarbił. Długo 14

tak trwali w milczeniu patrząc sobie w oczy, aż szaman wreszcie przemówił:

- Na wyprawę ze Śmiałym Sokołem zabierz, mój synu, za-winiątko ze świętymi przedmiotami, które należało do twego ojca. Odebrałeś je Czipewejowi, teraz należy do ciebie.

Tehawanka osłupiały spoglądał na szamana. Przecież dotąd nit. zwierzył się nikomu, prócz Sha'pa, ze swoich zamiarów. Tajem-niczny krótki uśmiech przebiegł po ustach szamana.

- Nie musisz nic wyjaśniać, mój synu - rzekł. - Wiem wszystko.

- Czcigodny ojcze, jeżeli jesteś przeciwny tej wyprawie, pod-porządkuję się twojej woli -

wzruszonym głosem szepnął Teha-wanka.

- Idź, mój synu, idź! - łagodnie odparł Czerwony Pies. - Jestem stary. Duchy przodków oczekują na mnie w Krainie Wiecz-nych Łowów. Odejdę niedługo. Wahpekute potrzebują rozważne-go, dzielnego przywódcy. Straszliwa zawierucha nadciąga wielkimi krokami ze wschodu. Wierzysz, że zdobycie sunka wakan wzmocni

15

f

-: ' , ^e^

siły nasze. Wierzysz również, że zdobycie sunka wakan nie ozna-cza porzucenia ziemi praojców.

- Znasz moje najskrytsze myśli, ojcze - szepnął zalękniony Tehawanka.

- Znam nie tylko twoje myśli, synu - powiedział szaman.

- Znam także twoją przyszłość. Twój los dopełni się na świętej ziemi naszych ojców. Ty jej nigdy nie opuścisz! Czeka cię sława i zaszczytna śmierć wojownika. Dumny jestem z ciebie, mój synu!

- Twe prorocze słowa, ojcze, głęboko zapadły w moje serce

- rzekł wzruszony Tehawanka. - Zgodnie z twoją wolą nigdy nie opuszczę ziemi naszych ojców.

Będę jej bronił aż do ostatniej chwili życia!

- Powiedziałem ci, że wiem o tym. Strzeż się białych ludzi, nigdy im nie wierz! Dobrze zapamiętaj moje słowa.

Szaman pochylił się ku Tehawance. Otoczył go ramionami i przycisnął do swej piersi.

- Dumny jestem z ciebie, mój wnuku - szepnął.

Tehawanka był zbyt przejęty i oszołomiony proroctwem sza-mana, aby mógł cokolwiek powiedzieć. Wsparł więc jedynie gło-wę na piersi dziadka i tak bez ruchu długo trwali w uścisku.

W końcu szaman zwolnił uścisk i poprowadził Tehawanę ku ognisku. Gdy siedli, Czerwony Pies klasnął w dłonie. Na to hasło Poranna Rosa i Mem'en gwa podbiegły do nich, a obydwie żony szamana zaczęły podawać naczynia z wieczornym posiłkiem.

Szaman, surowy dla obcych, w codziennym życiu rodzinnym był pogodnym, wyrozumiałym człowiekiem. Lubił przysłuchiwać się paplaninie swoich kobiet i sam często z nimi żartował. Nie wtrącał się do spraw gospodarskich. Tipi, zabierane tylko na czas wypraw poza osadę, umeblowanie oraz wszystko związane z do-mem stanowiło w myśl zwyczajów osobistą własność kobiet, którą mogły dowolnie rozporządzać. Toteż czuły się we własnym do-mu swobodnie, lecz mimo to sędziwy, tajemniczy szaman budził w nich lęk i duży szacunek. Teraz, gdy jak zwykle Je przywołał, cierpliwie czekały, aż pierwszy odezwie się do nich.

Szaman z przekornym uśmiechem zerkał na kobiety. Zapewne przysłuchiwały się jego rozmowie z wnukiem i teraz niecierpliwie oczekiwały na wyjaśnienia.

Starsza żona właśnie kładła do ogniska kawałki drewna hiko-16

rowego, którego dym nadawał aromat i specyficzny smak plastrom surowego mięsa opiekanych nad ogniem. Młodsza zaczęła nadziewać kawałki mięsiwa na długie patyki. Poranna Rosa i Mem'en gwa przyłączyły się do nich. Wkrótce rozszedł się zapach smażonego mięsa.

Mężczyźni w milczeniu spożywali podawane im przez kobiety mięsiwo oraz dzikie kartofle upieczone w popiele. Gdy zaspokoiли pierwszy głód, kobiety podsunęły im zebrane przez siebie świeże owoce, a więc: dzikie porzeczki, jeżyny i czereśnie. Po posiłku szaman nabił tytoniem krótką fajkę. Młoda żona usłużnie zapaliła mu ją węgielkiem z ogniska.

Czerwony Pies pyknął kilka razy z fajeczki i zagadnął:

- Czy zwróciłeś uwagę, mój synu, że dzisiejszego wieczoru kobiety stały się małomówne?
- Jakoś nagle zaniemówiły - przywtórzyl młodzieniec.

Kobiety, które z trudem powściągały swą ciekawość, zachi-chotały, a Poranna Rosa, ulubienica szamana, zaraz odezwała się:

- Mem'en gwa, zapytaj mego brata, czy naprawdę ma zamiar pójść na wyprawę wojenną ze Śmiałym Sokołem?

Nie mogła sama wprost rozmawiać z bratem. Obyczaj zabraniał siostrom i braciom bezpośrednich rozmów od chwili, gdy już zaczynali dorastać.

- Powiedz, czy pójdziesz ze Śmiałym Sokołem na wyprawę wojenną? - natychmiast zwróciła się Mem'en gwa do Tehawanki.

- Widzę, że muszę zaspokoić waszą ciekawość - odparł. - Właśnie mam taki zamiar. Jeżeli Śmiały Sokół wyrazi zgodę, pójdę z nim?

- On na pewno się zgodzi... - szeptęła Poranna Rosa i zaraz umilkła zawstydzona.
- Skoro ty to mówisz, na pewno tak będzie! - zawołała uradowana Mem'en gwa.
- Cóż wam tak zależy na tym, żeby właśnie ci dwaj junacy wyruszyli na wyprawę wojenną? Czy wiążecie z tym jakieś osobiste nadzieje? - z przekorą wtrąciła młodsza żona szamana.

Obydwie dziewczyny zmieszały się i poczerwieniały. Żony szamana parsknęły śmiechem, a starsza zaraz dodała:

- Słyszałam, że Śmiały Sokół pragnie zdobyć wie wakan.

## **2 Przekleństwo złota**

- Czy Śmiały Sokół sam zwierzył się tobie, moja matko? - zażartował Tehawanka.
- Nie śmieję się! - odparła. - Tak mówią żony Przeciętej Twarzy. Podśluchały rozmowę męża ze Śmiałym Sokołem.
- Kobiety są zbyt ciekawe i mają za długie języki - karzącym głosem odezwał się szaman. -

Dlatego mężczyźni pozostawiają je w domu, gdy wyruszają na wojenną ścieżkę.

- Tak to już jest, mężczyźni zawsze narzekają na kobiety, ale trudno im obejść się bez nich - mruknęła starsza żona.

- Właśnie dlatego Śmiały Sokół powinien już mieć żonę - powiedziała młodsza. - To odważny wojownik i doskonały myśliwy. Dobrze będzie miała z nim żona! Czas mu już na założenie własnego domu.

- Może sunka wakan są mu potrzebne na przedślubne podarunki? - domyślnie dodała starsza.

Poranna Rosa znów zarumieniła się i opuściła głowę, unikając ciekawskich spojrzeń żon dziadka.

Mem'en gwa z niepokojem przysłuchiwała się rozmowie. Obawiała się, czy gadatliwe żony Czerwonego Psa nie zaczną nagabywać Tehawanki, dlaczego chce również zdobyć sunka wakan.

Jednak na szczęście dla niej starsza żona właśnie wybiegła z chaty. Powróciła po chwili, wołając:

- Jak wcześnie wschodzi dzisiaj księżyc!

Tehawanka spojrzał na szamana. Ten uśmiechnął się i rzekł:

- Chyba czas na ciebie, mój synu!

Tehawanka podniósł się i wyszedł z chaty.

Ciemnożółty księżyc właśnie wylaniał się zza puszczy pora-stającej drugi brzeg jeziora.

Tehawanka szybkim krokiem ruszył w kierunku chaty Przeciętej Twarzy.

Sha hi'ye, czyli mówiący

niezrozumiałym językiem<sup>4</sup>

Śmiały Sokół siedział na skórze rozetlanej na ziemi tuż przy żarzącym się ognisku. Ubrany był

tylko w przepaskę biodro-wą. Na jego ramionach i piersiach widniały świeże, jeszcze krwa-wiące rany. Siedział tak zadumany od chwili, gdy właśnie tego ranka powrócił do osady. Przez cztery dni przebywał samotnie w ostępach puszczy, gdzie zasięgał rady Ducha Opiekuńczego i prosił dobre bóstwa o pomoc w zamierzonej wyprawie wojen-nej. Przez cztery dni nie brał do ust jakiegokolwiek pokarmu. Modlił się żarliwie i na znak gotowości do ponoszenia ofiar ka-leczył

swe ciało nożem. Za pomoc w pomyślnym przeprowadzeniu wyprawy wojennej obiecał bóstwom cztery miękko wyprawione skóry bizonie.

Prośby Śmiałego Sokoła oraz przyobiecane dary musiały dobrze usposobić duchy, które uchyliły przed nim rąbka tajemnicy

\* Sha hi'ye - w języku Dakotów „Szejenowie”, sami zwali siebie Tsis tsis'tas, co znaczyło

„ludzie”. Należeli do algonkińskiej rodziny językowej. W 1673 r. zamieszkivali zachodnią część stanu Wisconsin i w Minnesocie, pomiędzy rzekami Missisipi, Minnesotą i Rzeką Czerwoną Północną. Wypie-rani przez Dakotów przenieśli się w okolice jeziora Trayerse a potem nad rzekę Cheyenne w Dakocie Północnej, gdzie założyli osadę, później napad-niętą i zniszczoną przez Czipewejów. Niedobitki Szejenów przyłączyły się do innych grup nad rzeką Missouri na pograniczu Dakoty Północnej i Po-łudniowej. Tam w coraz większym stopniu przystosowywali się do wędrownego, łowieckiego życia i w końcu porzucili uprawę ziemi, przenosząc się w kierunku Gór Czarnych, a na początku XIX w. w okolice źródeł rzeki Platte.

W 1832 r. biali zbudowali Fort Bent w górnym biegu rzeki Arkansas.

Znaczna część Szejenów osiadła w jego okolicy, a reszta nadal wędrowała wokół źródeł Północnej Platte i rzeki Yellowstone. Dokonany w ten sposób 19

najbliższych wydarzeń. W czasie gorących modlitw słyszał gwar bitewny. Wokół rozbrzmiewały przerażone głosy i obca mowa. Huk broni palnej mieszał się z kwikiem koni. Tętent kopyt odda-łał się od odgłosów walki.

Śmiały Sokół wracając do osady długo rozważał, co miała oznaczać wizja zesłana przez duchy.

Dlaczego nie było słychać wojennych okrzyków Wahpekute? W wirze walki rozbrzmiewała tylko obca dla niego mowa. Uspokajał go jednak odgłos koni od-dalających się od pola walki. To zapewne

on i Wahpekute umy-kali na zdobytych sunka wakan. Wobec tego wyprawa powinna zakończyć się pomyślnie.

Teraz siedział ze skrzyżowanymi nogami i oczekiwał na ewen-tualnych towarzyszy wyprawy. Lada chwila księżyc miał wejść na niebie. Czy Wahpekute będą mieli do niego zaufanie jako do dowódcy wyprawy wojennej? Kto się zgłosi? Od tego mógł w du-żej mierze zależeć pomyślny przebieg wyprawy. Coraz większa niepewność ogarniała Śmiałego Sokoła. Po raz pierwszy od przy-jęcia go do plemienia Wahpekute ogłosił zamiar wyruszenia na wojenną ścieżkę.

Przecięta Twarz, u którego zamieszkiwał, pierwszy zasiadł po jego prawej stronie. Przecięta Twarz był oficerem w stowarzyszeniu „Złamane Strzały”. Zgłoszenie się oficera żołnierskiego stowarzyszenia już było znacznym sukcesem. Ku skrzącej radości Śmiałego Sokoła przyszedł również następny oficer -

Czarny Wilk, a za nim przybyli: Ogon Byka, Nom’pa apa, czyli podział Szejenów na Północnych i Południowych został usankcjonowany w 1851 r. przez traktat podpisany w Forcie Laramie.

Szejenowie Północni znad Arkansas aż do 1840 r. toczyli walki z Kio-wami, a później wspólnie z nimi występowali przeciwko innym plemionom i białym. W 1849 r. ponieśli dotkliwie straty spowodowane epidemią cholery, a w latach 1860-78 w wojnach z białymi.

Szejenowie Południowi przewodzili rewolucji w latach 1874-75, podczas gdy Północni wspólnie z Dakotami brali udział w pogromie Custer. Osta-tecznie Północni otrzymali rezerwat w Montanie, a Południowi w obecnej Oklanomie w 1867 r., lecz zmuszono ich do osiedlenia się tam dopiero po generalnym poddaniu się w 1875 r. W latach 1901-1902 ziemie Szejenów Południowych zostały dane im w posiadanie. W 1780 r. Szejenowie łącznie z Sutaio liczyli 3500 głów, a w 1937 r.

Szejenowie Południowi i Północni łącznie z Arapaho liczyli 4397 głów.

20

Dwa Uderzenia, Długi Pazur, Zielony Liść przepadający za grami hazardowymi, Szare Oczy, Długie Włosy, Żółty Brzuch, Dwie Twarze, Sha’pa i Tehawanka. Wszyscy siadali w lewym lub pra-wym półkolu wokół ogniska. Potem dołączyli do nich: Fruwający Ptak, Długa Lanca, Złamane Wiosło - brat szamana, Krzyk Pu-chacza, Mały Niedźwiedź, Głowa Sowy i Mrugające Oko.

Śmiały Sokół błyszczącymi z zadowolenia oczami liczył przy-bywających. Było ich dziewiętnastu, wszyscy znani z odwagi i do-świadczenia wojennego.

Śmiały Sokół spojrział na Przecięta Twarz, który w odpowie-dzi skinął głową.

- Przybycie moich sławnych braci wielce uradowało moje serce - zagaił Śmiały Sokół. -

Zamierzam wyruszyć na wypra-wę, żeby zdobyć sunka wakan. Najpierw przedstawię ogólny^

plan wyprawy, a potem moi bracia wypowiedzą swoje zdanie. Uczest-niżyłem już w wielu wyprawach przeciwko Komańczom, którym zabieraliśmy sunka wakan. Oni posiadają ich dużo i

twierdzą, że pieszy mężczyzna w ogóle nie jest mężczyzną. Wojownik na ko-niu ma znaczną przewagę nad pieszym. Wahpekute nieraz już doświadczyli tego na sobie.

- Do Komanczów bardzo daleka droga. Wiele wrogich ple-mion ją przegradza - wtrącił Czarny Wilk.

- Mój brat słusznie mówi - przytwierdził Śmiały Sokół. - Dlatego właśnie proponuję wyprawę na północny zachód do osady Sha hi'ye. Oni wprawdzie żyją jeszcze tak jak Wahpekute, ale już mają sunka wakan. Paunisi często wykopują topór wojenny przeciwko Szejenom.

- Pomysł dobry! - pochwalił Czarny Wilk, a za nim potak-nęli inni.

Wyprawa wojenna przeciwko Sha hi'ye, jak Dakotowie zwali w swoim języku Szejenów, od razu przypadła Wahpekute do ser-ca. Dakotowie wypierani zbrojnie z krainy puszczy i jezior przez Czipewejów, sami z kolei siłą zmusili do migracji swoich zachod-nich sąsiadów, Szejenów, z którymi wciąż jeszcze toczyli walki.

- Niektórzy z nas również byli już na wyprawach przeciwko Sha hi'ye, gdy mieszkali oni jeszcze w okolicy jeziora Traverse - powiedział Długi Pazur. - Razem z naszymi braćmi Teton Dakotami wygnaliśmy ich stamtąd.

21

- Sha hi'ye przenieśli się nad rzekę Cheyenne - wtrącił Długa Lanca. - Tam jeszcze nie napadałem na nich, ale znam drogę.

- Właśnie proponuję wyprawę w okolice Cheyenne - wy-jaśnił Śmiały Sokół. - W ciągu piętnastu nocy powinniśmy dojść do osady Sha hi'ye. Powrót będzie trwał krócej, ponieważ wró-cimy na zdobytych sunka wakan.

- Kiedy Śmiały Sokół chciałby wyruszyć w drogę? - za-pytał Żółty Brzuch.

.A—'Jutro o wschodzie księżyca, jeżeli wszyscy zdążyliby się przygotować. Drogę przez nasze tereny dobrze znamy, możemy wyruszyć na noc, wtedy jest chłodniej.

- Zdążymy się przygotować - rzekł Mały Niedźwiedź.

Wstępne wyjaśnienia zostały zakończone. Śmiały Sokół oznajmił swoje zamiary. Obecnie każdy powinien wypowiedzieć się, czy przyjmuje propozycję. Przecięta Twarz podniósł się, z domowego ołtarzyka podjął zawiniątko z ceremonialną świętą fajką oraz woreczek z tytoniem 5. Zawiniątko z fajką, które w myśl rytuału nigdy nie mogło dotknąć ziemi, położył na specjalnym drewnianym krzyżaku. Potem nasypał trochę tytoniu na skrawek czystej skóry, zmieszał go z drobno startą korą czerwonej wierz-by i odrobiną tłuszczu bizoniego, aby tytoń lepiej się palił. Z kolei ostrożnie wyjął z zawiniątka świętą fajkę. Lulka fajki wyrzeź-

5 Palenie tytoniu było dla Indian ceremonia o charakterze religijnym, odprawianą przy różnych uroczystych okazjach. Wiązało się z ceremoniałem ofiarnym ku czci Słońca. Dym dla Indian obydwóch Ameryk był pewną formą ofiary dla mocy nadziemskich (w rodzaju kościelnych kadzideł).

Obrzęd palenia tytoniu lub spalania narkotycznych kadzideł z żywicy, drewna lub pewnych liści oraz ceremonie z tym związane były znacznie starsze od osławionego palenia fajek pokoju. Nawet w regionach Ameryki, gdzie nie używano fajek, istniały obrzędy związane z paleniem. Na przykład w Ameryce Południowej palono długie cygaro, którego dym wdychano

palący w twarzę uczestników obrzędu. Indianin palił, gdy pragnął uzyskać dobro, zapobiec złu, otrzymać błogosławieństwo sił nadnaturalnych dla swych poczynań, przypieczętować zawierany pokój lub przymierze, uzyskać ochronę przed nieprzyjacielem, sprowadzić zwierzynę na swe tereny łowieckie czy też uśmierzyć burzę. Dym ofiarny miał rozjaśniać jego umysł, napełniać mądrością.

Chociaż prawdopodobnie wszystkie plemiona indiańskie paliły tytoń, to jednak nie wszystkie go uprawiały. Na Wielkich Równinach tytoń upra-

1

biona była z ciemnoczerwonego kamienia nakrapianego białymi żyłkami, a długi prosty drewniany cybuch ozdobiły pióra ptaków oraz kolce jeżozwierz. Przecięta Twarz nabił fajkę przyrządzoną mieszanką i następnie podał przywódcy wyprawy. Śmiałemu Sokółowi. Ten zapalił ją węgielkiem z ogniska, po czym pierwszy dokonał ceremoniału palenia. Napierw wydmuchnął dym ku ziemi, potem ku niebu i kolejno ku czterem stronom świata, dziękując w ten sposób Wielkim Duchom Ziemi, nieba i czterech wiatrów za już doznane łaski.

Po zapoczątkowaniu ceremonialnego palenia Śmiały Sokół podał świętą fajkę sąsiadowi, siedzącemu po jego lewej stronie. Ten, dopełniwszy obrzędu, przekazał ją następnemu uczestnikowi na rady. Gdy ostatni w lewym rzędzie skończył palenie, zwrócono fajkę tą samą drogą Śmiałemu Sokółowi, który teraz podał ją Przeciętej Twarzy, siedzącemu po prawej stronie.

Ceremoniał palenia dobiegł końca. Każdy, kto chciał wziąć udział w wyprawie, dokonywał obrzędu palenia, kto natomiast rozmyślił się po wstępnych wyjaśnieniach, ten tylko przekazywał fajkę sąsiadowi. Jedyne Długie Włosy i Głowa Sowy nie wypalili fajki. Zaraz też opuścili naradę.

Przecięta Twarz schował świętą fajkę do zawiniątka i z powrotem położył je na domowym ołtarzyku. Śmiały Sokół odezwał się:

- Wypaliliśmy świętą fajkę. Duchy będą sprzyjały naszym wiali Szejenowie podczas półosiadłego trybu życia (do około 1802 r.), później nabywali go od Arikara i białych kupców. Ciekawostką jest, że tytoń, jako jedyną roślinę, uprawiały trzy nomadyczne plemiona: Czarne Stopy, Sarsi i Crow. Uprawiali tytoń: Hidatsowie, Mandanowie, Arikara, Washo, Paunisi, Ute, Nawahowie i Zuniowie. Cree nabywali tytoń od kupców i mieszały z suszonymi, startymi liśćmi niedźwiedziej jagody (mały, wiecznie zielony krzew z rodziny wrzosowatych). Komańcze otrzymywali tytoń od Meksykanów.

przeważnie palili tylko mężczyźni, chociaż małe fajki były używane przez kobiety Czarnych Stóp i Cree, a u Paunisów palić mogły jedynie stare kobiety-lekarki. U Hidatsów bez ograniczeń mogli palić starsi mężczyźni, natomiast młodzi wojownicy nie palili, aby zachować sprawność fizyczną.



Używanie tytoniu podlegało ograniczeniom, a sama uprawa i obrzędowe palenie odbywały się w myśl obowiązujących rytuałów. “”? ^ ->/

6 Święta fajka pokoju, która również stanowiła swego rodzaju g&jt nie-tykalności dla posłów, w języku Dakotów zwała się wookiye ctimionbanpa.

23

poczynaniom. Święty dym uczynił nasze myśli jaśniejsze i napełnił je mądrością.

Na znak Przeciętej Twarzy jego żony podały duże gliniane misy napełnione po brzegi gotowanym tłustym psim mięsem. Częstowanie psim mięsem uczestników zamierzonej wojennej wyprawy stanowiło obrzęd posiadający symboliczne znaczenie. Pies od najdawniejszych czasów był

wiernym oraz posłusznym towarzyszem Indianina. Spożycie mięsa tego zwierzęcia podczas narady wojennej stanowiło przyrzeczenie, że wszyscy uczestnicy wyprawy będą wierni i posłuszni swemu przywódcy.

Każdy uczestnik narady, przewidując obrzędowy poczęstunek, przyniósł własną drewnianą miskę.

Obecnie wszyscy postawili je przed sobą, a Śmiały Sokół począł rozdzielać mięsiwo, posługując się drewnianą warząchwią. Uczujący jedli powoli, dokładnie opróżniali miski, wylizywali je z tłuszczu i stawiali przed sobą odwrócone dnem do góry na znak, że wszystko zostało przez nich zjedzone. Uczta była zakończona.

Oprócz ceremonialnego używania świętej fajki zwyczaj palenia tytoniu w towarzystwie przyjaciół był na preriach dość powszechny. Do tego celu jednak przeważnie używano innych fajek.

Sporządzano je z kości nogi zwierzyny płowej. Wyglądem przypominały one długie rurki. Palacz takiej fajki musiał trzymać ją w czasie palenia w pozycji pionowej, aby tytoń nie wysypywał się, toteż taką fajkę potem zwano po angielsku cloud blower, czyli „wydmuchiwacz chmur”.

Lulki tych fajek wyrabiano z czerwonego kamienia z kamieniołomu Pipe-stone, leżącego w południowo-zachodniej części stanu Minnesota, na plemiennych ziemiach Santee Dakotów.

Wbrew mylnym twierdzeniom, nawet współczesnych Indian, kamieniołom Pipestone nie jest unikatem na świecie, pokłady czerwonego kamienia są także w stanach Wisconsin, Ohio i Arizona, lecz jedynie Pipestone jest dla Indian świętym „miejszem religijnego kultu. Kamieniołom Pipestone, zwany Krajem Pokoju, jest traktowany przez Indian jako neutralne, święte miejsce, na które nikomu nie wolno wnosić broni. Nawet wrogie sobie plemiona na terenie świętego kamieniołomu zachowywały się pokojowo.

George Catlin, amerykański malarz i podróżnik, jako pierwszy białe do-kładnie opisał

kamieniołom Pipestone (lata 1830-32) i zebrał próbki czerwonego kamienia, który potem nazwano catlinitem. W 1937 r. kamieniołom Pipestone został zaliczony do pomników narodowych Stanów

Śmiały Sokół wydobył właśnie podręczną, zwykłą fajkę, nabił tytoniem, pyknął kilka razy dym i podał ją sąsiadowi. Gdy ostatni z obecnych pyknął z fajeczki, zaczęto szczegółowo omawiać plan całej wyprawy. W skupieniu słuchano wyjaśnień Śmiałego So-koła. On jeden wiedział, jak należy ujarzmić sunka wakan, do-siadać go i jeździć na nim. Posypały się pytania. Narada przeciągnęła się niemal do świtu.

Tehawanka nad samym ranem powrócił do domu swego dziad<sup>^</sup>-ka. Wszyscy już spali, było cicho i ciemno. Żar ogniska przysypanego popiołem ledwo migotał. Przy obydwóch bocznych ścianach ziemianki znajdowały się legowiska domowników, oddzielone od siebie skórzanymi zasłonami.

Tehawanka po omacku szedł do swego posłania. Nagle zza jednej zasłony wychyliła się dłoń i przytrzymała go za ramię.

- Jeszcze nie śpisz, Mem'en gwa? - szepnął zdumiony Tehawanka.

- Obydwie nie mogłyśmy zasnąć. Czekaliśmy na twój powrót - również szeptem odparła dziewczyna. - Powiedz, czy idziesz na wyprawę wojenną?

- Wyruszamy dzisiaj o wschodzie księżyca - szeptem odparł

Tehawanka.

Dłoń dziewczyny delikatnie przesunęła się po jego twarzy, po czym zniknęła za zasłoną.

Tehawanka po chwili legł na swoim posłaniu. Nie mógł zasnąć. Intrygująca przepowiednia szamana, pierwsza w życiu narada wojenna oraz niebezpieczeństwa związane z wyprawą wprowadziły go w stan niezwykłego podniecenia. Według proroczych słów dziadka czekała go sława i

chwalebna śmierć w obronie ojczystej krainy. Każdy indiański wojownik marzył o tak zaszczytnym losie. Duma rozpierała pierś Tehawanki. Mimo woli, jak to zwykle czynił w ważnych chwilach życia, zaczął wznosić modły do Ducha Opiekunczego. Już w półśnie słyszał

szum skrzydeł złocistego orła. Wreszcie zmorzył go krótki sen, ale i wtedy rozgorączkowany umysł nie zaznał spokoju. Śnił o podchodach do osady Sha hi'ye, ujarzmianiu niesfornego mustanga, aż wreszcie otworzył oczy.

Był już pełny dzień. Żony szamana przygotowywały dla Tehawanki zapas żywności na wyprawę. Na wojennej ścieżce nie można było polować ani oprawiać upolowanej zwierzyny. Naj-25

mniejsza nieostrożność mogłaby ostrzec wrogów o przebywaniu w pobliżu obcych ludzi. Należało więc posiadać prowiant nadający się do szybkiego i łatwego spożycia. Toteż żony Czerwonego Psa sporządziły dwa skórzane woreczki, jeden napełniły gotowaną tartą kukurydzą, drugi pożywnym pemmikanem.

Poranna Rosa i Mem'en gwa również nie próżnowały. Przygotowywały kilka par nowych mokasynów dla Tehawankl. W czasach, gdy Wahpekute wiedli życie piechurów, musieli na dalsze wyprawy zabierać odpowiedni zapas mokasynów, szydła i żyły do reperacji obuwia.

Tehawanka zaraz po przebudzeniu przystąpił do przeglądu broni. W północnej części Wielkich Równin Dakotowie i Indianie Crow<sup>7</sup> należeli do najlepszych wytwórców łuków. Wykonywali je z wszystkich gatunków drewna, a przeważnie z drzewa jesionowego, cedrowego, cisowego i białej śliwy. Łuki swoje często podklejali od wewnętrznej strony żyłami bizona w celu wzmocnienia i uelastycznienia drzewca. Tehawanka jednak wybrał teraz łuk z rogów górskich kozic, otrzymany w podarunku po przyjęciu go do grona wojowników podczas ostatnich uroczystości Tańca Słońca.

Czerwony Pies swego czasu dostał ten łuk od Teton Dakota<sup>7</sup>, którzy z kolei zdobyli go podczas napadu na Szoszonów.

Właśnie Szoszoni<sup>8</sup>, Czarne Stopy<sup>9</sup>, Nez Perce<sup>10</sup> i Szejenowie byli

<sup>7</sup> Crow, własna nazwa Absaroka, czyli Ludzie-ptaki; przez Dakotów zwani Kangitoka. Rodzina językowa sju. Spokrewnieni z Hidatsa, od których odzielili się w początkach XIX w.

Zamieszkiwali okolice rzek: Powder, Wind i Big Horn (dopływy Yellowstone). W 1780 r. liczyli 4000 głów, a w 1937 r. - 2173.

<sup>8</sup> Szoszoni (Shoshoni) znani także jako Snakes, czyli Węże, z powodu uprawianego tańca węża.

Dakotowie zwali ich Sin-te-hda, czyli Indianie Grzechotniki. Rodzina językowa Utaztecan-Tanoan.

Zamieszkiwali Idaho, Wyoming, Utah, Nevadę i skrawek Kalifornii. Po nabyciu Luizjany od Francji prezydent USA, Jefferson, wysłał ekspedycję pod dowództwem kapitanów Meriwethera Lewisa i Williama Ciarka, w celu zbadania terytoriów na północ od połączenia Missisipi z Missouri oraz wytyczenia szlaku do Pacyfiku. Lewis i Ciark pierwsi przeszli w poprzek kontynent.

Ekspedycja wyruszyła z St. Louis. W okolicy rzeki Missouri dołączył się do niej francuski kupiec Touissaint Charbonneau razem ze swym małym dzieckiem i żoną Szoszonką, Sacagawę, która oddała ekspedycji nieocenione usługi.

W 1805 r. ekspedycja dotarła do osady Szoszonów, której wodzem był brat Sacagawei. Szoszoni odtąd byli bardzo przyjaźni dla białych. Po odstąpieniu-26

mistrzami w sporządzaniu łuków z rogów łosi lub górskich kozic. Rogowe łuki uelastyczniali żyłami, przyklejanymi na wewnętrznej stronie broni. Ta doskonała broń była bardzo cenna, ponieważ na sporządzenie jednego łuku należało poświęcić około trzech miesięcy.

Po wybraniu łuku Tehawanka począł dobierać do niego strzały. Posiadał ich ponad trzydzieści, ale nie wszystkie mogły być uznane za niezawodne. Robienie dobrych strzał do łuków było czynnością wymagającą również wiele czasu, cierpliwości i staranności. Brzechwa strzały musiała być idealnie prosta, gładka i okrągła, aby strzała nie balansowała w czasie lotu. W tym celu drewniany pręt przesuwano przez odpowiedniej wielkości okrągłe otwory, wywiercone w płaskim kawałku rogu lub

kamienia. Trwało to tak długo, dopóki pręt nie osiągnął pożądanego kształtu.

Groty do strzał wykonywano wówczas z kamienia, którego obróbka prymitywnym ostrzem z rogu jelenia wymagała niezwyklej wprawy i cierpliwości. Tak więc nie tylko doskonałe łuki, lecz również niezawodne strzały do nich przedstawiały dużą wartość niu swych terytoriów rządowi USA Szoszoni zostali osadzeni w rezerwatach Lemhi i Fort Hali w Idaho oraz w rezerwacie Wind River w Wyoming. W 1845 r. było ich 4500 głów, a w 1930 r.

około 3994.

Sacagawę lub Sacajewę, czyli Kobieta Ptak, jako młoda dziewczyna została porwana przez Indian Minatari (tak zwano Atsina i Hidatsa) z górnej Missouri. Podczas jednej z wypraw Charbonneau ujrzał w obozie Minatari brankę. Zachwycony jej urodą odkupił ją i poślubił.

Sacagawę stała się duchem opiekuńczym wyprawy Lewisa i Clarka. Znała dobrze kraj za Missouri, mówiła językami kilku plemion, była więc przewodniczką oraz tłumaczką. Gdy ekspedycji brakło żywności, wskazywała jadalne dzikie rośliny, uratowała Clarka tonącego w wezbranej rzece, pośredniczyła w nawiązaniu przyjaźni z Szoszoni, otrzymała od wodza konie dla ekspedycji, wskazywała przejścia przez góry Montany. Po zakończeniu wyprawy Charbonneau porzucił ją wraz z dzieckiem, by dalej prowadzić życie trapera. Sacagawę zniknęła. Jedni twierdzili, że umarła z zawiedzionej miłości, inni - że powróciła z synkiem do kraju Szoszoni.

Sacagawę oddała ekspedycji Lewisa i Clarka tak wielkie przysługi, że stała się jedną z trzech czy\* czterech Indianek najbardziej znanych białym Amerykanom. Jej pomnik stoi w Bismarck, stolicy stanu Dakoty Północnej.

9 Czarne Stopy - Siksika, w języku Dakotów Shi-ha-sa-pa, czyli również Czarne Stopy, ponieważ nosili mokasyny farbowane na czarno. Rodzina Językowa algonkińska. Zamieszkiwali od północnego Saskatchewanu w Kanadzie do południowych źródeł Missouri w Montanie. Po zdobyciu koni wymienną i były troskliwie przechowywane. Wyrobem łuków oraz strzał przeważnie trudnili się starzy mężczyźni, którym wiek uniemożliwiał już branie udziału w wyprawach łowieckich i wojennych. Wykonaną przez siebie broń odstępowali młodszym wojownikom, otrzymując w zamian mięsivo i skóry.

Tehawanka długo przeglądał strzały. Starannie badał, czy brzechwa jest idealnie wyprostowana i gładka, sprawdzał osadzenie trzech piór na grubszym końcu strzały, które zwiększały dokładność lotu pocisku. Nie mniej uwagi poświęcał trójkątnym kamiennym grotom. Wreszcie wybrał

dwadzieścia strzał, które umieścił w kołczanie wykonanym z psiej skóry, zdobionej magicznymi rysunkami. Zadowolenie odmalowywało się na jego twarzy.

Łuk i strzały były doskonałe. Miało to duże znaczenie na wojennej ścieżce, ponieważ od niezawodności broni zależało życie wojownika. Oprócz łuku i strzał postanowił zabrać krótką maczugę, na której końcu osadzony był owalny kamień i stalowy nóż stale parli na zachód. Wojowali z wszystkimi sąsiadami z wyjątkiem Sarsi i Atsina, którzy z nimi współdziałali.

Utrzymywali przyjazne stosunki z angielskimi posterunkami nad Zatoką Hudsona w Kanadzie, od których otrzymywali broń palną i amunicję, natomiast byli wrogo usposobieni, do białych Amerykanów uzbrajających ich nieprzyjaciół. Epidemie ospy dziesiątkowały ich, lecz nigdy nie byli rugowani z ojczystych stron przez białych, co tak tragicznie dotknęło inne plemiona w Stanach Zjednoczonych. W 1780 r. liczyli 15000 głów, w 1923 r. w USA było ich 3124 i w Kanadzie 2236. Powoli przystosowują się do sposobu życia białych.

10 Nez Perce, z francuskiego „przedziurawione nosy”. Dakotowie zwali ich Po-ge-hdo-ke. Rodzina językowa Penutian, podgrupa Klamath-Sehap-tin. Zamieszkiwali część stanu Idaho, Waszyngtonu i Oregonu. W 1805 r. przez tereny przeszła ekspedycja Lewisa i Ciarka. Pierwsze starcia z białymi spowodował napływ górników i osadników po odkryciu złota na zachodzie. Na mocy traktatów w 1855 i 1863 r. odstąpili rządowi USA wszystkie swe ziemie z wyjątkiem dużego rezerwatu. Nez Perce z Wallowa Valley nie uznali ostatecznej cesji. W 1877 r. rozpoczęli wojnę, zakończoną mistrzowskim wycofywaniem się wędza Josepha ku granicy kanadyjskiej, do której niemal dotarł, zanim został ujęty. Wódz Joseph z 450 towarzyszami zostali osadzeni w Oklahomie. Na skutek dużej śmiertelności z powodu chorób przeniesiono ich do rezerwatu Colville w stanie Waszyngton, gdzie część Nez Perce dotąd przebywa. W 1780 r. liczyli 4000 głów, a w 1937 r.

około 1426.

28

były podczas ucieczki z niewoli u Czipewejów. Ukończywszy dobór broni przygotował długi rzemienny arkan.

Słońce już chyliło się ku zachodowi, Tehawanka właśnie ukończył przegląd broni. Poranna Rosa postawiła przed nim pęcherz zwierzęcy napełniony tłuszczem z grzbietu bizona oraz małe skó-

rzane woreczki ze sproszkowanymi farbami. Tehawanka ubrany jedynie w przepaskę biodrową, zanurzył obie dłonie w tłuszczu, po czym zaczął nacierać nim swe ciało łącznie z twarzą. Indianie zawsze tak czynili przed wyruszeniem w dłuższą drogę, aby chronić się przed słońcem, wiatrem i zimnem. Tehawanka po dokładnym natarciu ciała tłuszczem wsunął z kolei palce do woreczka z czerwonym proszkiem, który rozprowadził równo po całej twarzy. Następnie paznokciem narysował po trzy pasy na każdym policzku. W końcu wpiął orle pióro we włosy z tyłu głowy.

Kobiety przygotowały skórzaną torbę zaopatrzoną w szeroki pas do przewieszania przez ramię, a następnie włożyły do niej:

trzy pary mokasynów o twardej podeszwie, jakie nosiło się na Wielkich Równinach, szydło i żyły do reperacji obuwia, rzemiennie arkany, skórzaną koszulę, woreczki z tłuszczem i farbami, z tartą gotowaną kukurydzą i pemmikanem. Tehawanka przewiesił torbę przez opasane ramię, a przez lewe kołczan ze strzałami w ten sposób, że miał go na plecach i nie zdejmując mógł wyjmować prawą ręką pociski. Maczugę i nóż zatknął za pasem przytrzymującym opaskę biodrową. Gotowy do drogi zbliżył się do domowego ołtarzyka. Z wielką czcią wziął do rąk zawiniątko ze świętymi przedmiotami, dotknął nim czoła i serca, po czym zawiesił je na szyi. Święte zawiniątko spoczęło na jego piersi. Teraz przybliżył się do szamana. Stał przed nim. Ten obrzucił wnuka uważnym

spojrzeniem, zadowolony z przeglądu skinął głową i rzekł: - Niech twój Duch Opiekunczy czuwa nad tobą, mój synu. Idź i szczęśliwie wracaj do nas!

Tehawanka nisko pochylił się przed dziadkiem, po czym po-żegnał się z kobietami i wreszcie wyszedł z chaty.

Przed ziemianką Przeciętej Twarzy gromadzili się już wojow-nicy uczestniczący w wyprawie wojennej. Wszyscy ubrani byli jedynie w przepaski biodrowe. Dawało im to swobodę ruchów podczas wędrówki, w czasie podchodów i w razie ewentualnej walki z nieprzyjacielem.

29

Tehawanka niecierpliwie wypatrywał nadejścia swego przyja-ciela, Sha'pa. Nadszedł wreszcie, lecz, ku zdumieniu Tehawanki, zupełnie nie przygotowany do drogi.

- Sha'pa, co się stało? - zawołał Tehawanka, widząc wielki smutek malujący się na twarzy przyjaciela, który stanął przed nim z głową opuszczoną na piersi.

- Niestety, nie mogę pójść na wojenną wyprawę, brzuch strasznie mnie rozboleł - odparł Sha'pa nie patrząc Tehawance

w oczy.

- Nie mów głupstw! - skarcił go Tehawanka. - Przecież wieczorem podczas narady byłeś zdrowy i wypaliłeś świętą faj-kę. Mów zaraz, dlaczego dopiero teraz się rozmyśliłeś?!

Sha'pa ciężko westchnął i odpowiedział:

- Cóż, muszę tobie powiedzieć, żebyś nie posądzał mnie o tchórzostwo. Otóż, gdy po naradzie położyłem się spać, ujrzałem duchy zmarłych, które zaczęły rzucać we mnie kamykami.

***Tehawanka słysząc tak złą wróżbę sam zatrwożył się, a Sha'pa***

mówił dalej:

- Teraz zrozumiałeś, dlaczego nie mogę pójść na tę wypra-wę. Żal mi i wstydzę się bardzo, ale nie mogę!

- Tak Sha'pa - szepnął Tehawanka. - Każdy z nas mu-siałby postąpić tak samo. Nikomu nie wolno lekceważyć ostrze-żenia danego przez duchy. Zaraz wracaj do domu, wytłumaczę cię przed Śmiałym Sokołem.

- Dziękuję ci, przyjacielu - cicho powiedział Sha'pa i znik-nął wśród domostw.

Wkrótce siedemnastu uzbrojonych, przygotowanych do drogi wojowników znajdowało się już przed chatą Przeciętej Twarzy.

W myśl indiańskiego zwyczaju ogłaszający wojenną wyprawę zawsze obejmował dowództwo. Wszyscy uczestnicy musieli wypełniać jego rozkazy aż do czasu powrotu do osady. Dowódca-

-organizator ponosił pełną odpowiedzialność za przebieg wyprawy. Organizatorzy, którym nie sprzyjało szczęście, nie znajdowali potem chętnych do uczestniczenia w ich wyprawach. Po powrocie z wojennej ścieżki dowódca stawał się znów zwykłym wojownikiem. Obecnej wyprawie przewodził Śmiały Sokół. Tehawanka szepnął mu kilka słów usprawiedliwiających nieobecność Sha'pa, na którego przybycie jeszcze oczekiwano. Wódz w odpo-

wiedzi skinął głową, po czym przeliczył zgromadzonych wojowników. Wkrótce uniósł do góry prawą rękę dzierżącą łuk. Było to hasłem do wyruszenia w drogę.

Mieszkańcy osady wylegli przed domy. Wszędzie słyhać było podniecone głosy. Według zwyczaju, przed samym wyruszeniem na wojenną ścieżkę, wojownicy odbywali paradny marsz wokół osady, aby wszyscy mogli ich zobaczyć i podziwiać. Wśród blasku rozpalonych ognisk wojownicy kroczyli długim szeregiem jeden za drugim. Szyk taki Indianie zachowywali idąc pieszo, jak i później jeżdżąc na koniach. Poruszając się w ten sposób pozostawiali mniej śladów na ziemi i w razie wytopienia przez nieprzyjaciół mylili ich co do swej liczebności.

Pierwszy szedł Śmiały Sokół. Jego lewe ramię i plecy okrywała skóra białego wilka wyprawiona w całości, której używał jako przebrania na zwiadowcze podchody. Porzucił już zwyczaj Paunisów wygalać głowę z wyjątkiem czuba skalpowego. Obecnie, jako Wahpekute, zapuszczał długie włosy, które dopiero sięgały mu do ramion. Przewiązał je opaską przez czoło. Z tyłu głowy wpiął

trzy sokołe pióra. Twarz, tak jak wszyscy inni, miał pomalowaną na czerwono, lecz czoło jego przecinał szeroki biały pas na znak pełnienia roli dowódcy. Za nim kroczył Tehawanka. To zaszczytne miejsce w szyku wojennym młodzieniec zawdzięczał zawiniątku ze świętymi przedmiotami, które zabrał na wyprawę. Świętość ta niegdyś została odebrana jego ojcu przez Czipewejów, lecz Tehawanka, który później sam popadł w ich niewolę, nie tylko zdołał z niej umknąć, ale także odzyskał święte zawiniątko i wprowadził Czipewejkę, Mem'en gwę, córkę wodza.

Wahpekute przypisywali sukcesy odniesione przez młodego Tehawanke wielkiej magicznej mocy odzyskanego przez niego za-

„ Indianie malowali swe ciała dla celów ochronnych przed prażącym słońcem, śniegiem oraz przed insektami. Również malowali się dla ozdoby, dla zaznaczenia przynależności do niektórych stowarzyszeń, na różne ceremonie i obrzędy, na znak żałoby, jak i dla poinformowania ogółu o spełnieniu jakiegoś niezwykłego czynu. Na przykład wojownik po zabiciu wroga malował swą twarz na czarno, czyli kolorem śmierci. Farby wytwarzali z roślin, minerałów i z niektórych części ciała zwierząt, farbę czerwoną - z gliny zawierającej tlenki, czarną - ze sproszkowanego węglonego drewna, białą - z kaolinu, żółtą - z mchu drzew sosnowych, zieloną - z rud miedzi.

winiątko i sądzili, że owa świętość skutecznie wesprze ich na obecnie zamierzonej wyprawie.

Wojownicy z dumnie podniesionymi do góry głowami szli gę-siego przez osadę. Chrapliwymi głosami głośno śpiewali pieśń wojenną. Płomienie ognisk migotały na ich nagich lśniących ci-  
łach, nadając groźny wygląd 1]warzom pomalowanym w wojenne kolory. Młode kobiety  
błyszczącymi oczami spoglądały na juna-ków, wszyscy zachęcali ich okrzykami.

Wojownicy, przy wtórze okrzyków i wyciu psów, wreszcie przekroczyli wrota osady. Przez jakiś  
czas szli ścieżkami uczęsz-czanymi przez Wahpekute, lecz gdy tylko zaczęli zagłębiać się w puszcze,  
Śmiały Sokół dał dowód, że prowadzenie wyprawy wojennej nie było dla niego pierwszozną.  
Właśnie przystanął. Ci-chym głosem przywołał do siebie Szare Oczy i Dwie Twarze.

- Teraz moi bracia pójda pierwsi jako zwiadowcy i niech mają dobrze otwarte oczy i uszy - rzekł. -

Idźcie wprost na północny zachód. Jeśli nie napotkacie przeszkód, ujrzycie o świ-cie brzegi Ojca  
Wód 12 i tam poczekacie na nas wszystkich. Bę-dziemy szli za wami o kilka strzałów z łuku.

Hasłem wywoław-czym będą trzy następujące po sobie okrzyki kojota. Idźcie już!

Zwiadowcy zniknęli w ciemności. Śmiały Sokół odczekał dłuż-szą chwilę, po czym również ruszył

w drogę na czele wojowników. Szli w milczeniu bacznie nasłuchując. Przemykali przez puszcze  
cicho jak duchy, do których wznosili modły o powodzenie na wyprawie. Nocną ciszę rozdzierał

czasem krzyk drapieżnego ptaka, ale ani jedna sucha gałązka nie trzasnęła pod ostrożnie stawia-  
nymi stopami wojowników.

Puszcza rzedła, stawała się coraz przestronniejsza. Teraz drze-wa rosły już tylko tu i tam kępami,  
ustępowały miejsca bujnej trawie. Poświata księżycowa rozproszyła ciemność nocy. Wojow-nicy  
mogli przyspieszyć kroku. Wkrótce nad nimi szeroko rozpo-startło się niebo usiane gwiazdami, a  
przed nimi, niczym niezmie-rzony ocean, pod łagodnymi podmuchami wiatru kołysała się bez-kresna  
krajna wysokiej trawy. Byli na prerii, która tutaj wdzie-rała się w puszcze szerokim pasmem.

Śmiały Sokół odetchnął pełną piersią. Paunisi już od dawna

„ Ojcem Wód zwali Indianie rzekę Missisipi.

32

urządzali dalekie konne wyprawy na prerię w pogoni za łupem i stadami bizonów. Czuli się też na  
niej bezpieczni, nie przerażał ich ogrom otwartej przestrzeni. Toteż obecnie Śmiały Sokół po-czuł  
się jak w domu. Przystanął i spojrział w niebo, aby na pod-stawie gwiazd ustalić właściwy kierunek.

Po chwili uniósł do gó-ry prawe ramię i szybkim krokiem ruszył w dalszą drogę. Poszum falującej  
trawy głuszył kroki. Wysoka trawa, sięgająca dorosłemu człowiekowi do piersi, umożliwiała  
natychmiastowe ukrycie się w niej w razie niebezpieczeństwa.



Szli bez odpoczynku, aż wreszcie gwiazdy poczęły blednąć na niebie. Kończyła się krótka letnia noc. Niebo różowiło się na wschodzie. Świtało. Śmiały Sokół wyciągnął rękę ku zachodowi, wskazał czarne pasmo drzew rysujące się na horyzoncie. To rze-ka Missisipi już oznajmiała swą bliskość.

### *3 Przekleństwo złota*

#### *Podwójny napad*

Śmiały Sokół doprowadził wyprawę do nadrzecznych zarośli; w nich przyczał się, oczekując na przybycie zwiadowców. W przeciwieństwie do prażonej żarem słonecznym otwartej prerii, tutaj, w pobliżu rzeki, powietrze było wilgotniejsze, chłodniejsze. Wahpekute, zmęczeni nocną wędrówką, błyszczącymi oczami spoglądali ku przeciwległemu brzegowi Missisipi. Tam wiedli nowe życie pobratymczy Teton Dakotowie, tam znajdowała się kraina niezliczonych stad bizonów i dzikich koni.

Przez całe stulecia rzeki spływające ze stromych wschodnich zboczy Gór Skalistych do odległej o kilkaset mil potężnej Missisipi nanosiły ił i gruz, które w końcu utworzyły stopniowo obniżające się z zachodu na wschód olbrzymie płaskowzgórze, wyższe od otaczającego je kraju. Tak powstały

/Wielkie Równiny, rozciągające się od Gór Skalistych do wschodnich pobrzeży prerii i od delty rzeki Mackenzie w Kanadzie do południowego Teksasu w Stanach Zjednoczonych. Była to legendarna bezdrzewna kraina lekko falistych równin porośniętych kobiercem trawy, przerywana gdzieś przez szerokie i płytkie doliny rzek wypływających z Gór Skalistych, kryjąca w swym wnętrzu wyspy wieżowych gór oraz spieczone żarem słońca pustynie.

Wahpekute odpoczywali sycąc wzrok urokliwym dla nich widokiem bezkresnej krainy. Wkrótce jednak z niepokojem poczęli rozglądać się za zwiadowcami. Poszukiwania w najbliższej okolicy nie przyniosły rezultatu. Dopiero około południa rozbrzmiało tak oczekiwane trzykrotne przeciągłe wycie kojota. Przecięta Twarz natychmiast odpowiedział na nie. Wkrótce też obydwaj zwiadowcy stanęli przed Śmiałym Sokołem. Dwie Twarze zaraz rozpoczął relację z dokonanych przeszpiegów.

- Trochę na północ stąd odkryliśmy o świecie liczne ślady stóp, musieliśmy upewnić się, kto je pozostawił - rzekł.

- Moi bracia postąpili bardzo roztropnie - pochwalił Śmiały Sokół.

- Dobrze nam znany kształt mokasynów wskazywał, że to byli Czipewejowie - wtrącił Szare Oczy.

- Jednak często zakładają się mokasyny używane przez inne plemię w celu zmylenia wroga.

Dlatego poszliśmy za śladami.

- Czy udało się moim braciom wysledzić tych ludzi? - dalej pytał Śmiały Sokół.

- Szczęście nam sprzyjało - odparł Szare Oczy. - Podeśliśmy do nich blisko i obserwowaliśmy przez jakiś czas. To są Czipewejowie. Dołączyli do dużej grupy wojowników już obozujących w zakolu Ojca Wód na północ od jeziora Mille Lacs.

- Może chcą urządzić większe polowanie na bizona? - za-uważał Czarny Wilk.

- Nie, to nie jest wyprawa łowiecka! - zaprzeczył Dwie Twarze. - Nie ma wśród nich ani jednej kobiety, które podczas łowów pomagają zdejmować skóry, dzielą mięso i przenoszą je do obozów. Tam znajdują się sami wojownicy pomalowani w wojenne kolory.

- Czy moi bracia ustalili, ilu ich jest? - zapytał Śmiały Sokół

- Dużo, bardzo dużo! - odparł Długi Pazur i jednocześnie wykonał dwoma dłońmi gest wyrażający w mowie znaków „setki”.

- Skoro zebrali się tak licznie, oznacza to, że nie znajdują się na zwykłej wyprawie wojennej - odezwał się zafrasowany, Dwa Uderzenia.

- Odnieśliśmy wrażenie, że ci Czipewejowie oczekują na kogoś - dodał Dwie Twarze. -

Podkradliśmy się do nich bardzo blisko, czują się tak pewni siebie, że nawet nie rozstawili straży. Słyszeliśmy z ukrycia, jak rozmawiali, ale żaden z nas nie zna ich mowy.

- Moi bracia przynieśli bardzo ważne wiadomości - rzekł

34

35

Śmiały Sokół. - Gdybyśmy mogli odgadnąć, co oni zamierzają ...

Musimy zaraz odbyć naradę wojenną.

Nieoczekiwane wieści poważnie zaniepokoiły Wahpekute. W zwykłych wojennych wyprawach Indian Równin, urządzanych dla zdobycia sławy, łupu, niewolników lub dla dokonania odwetu, uczestniczyło jednorazowo zaledwie po kilku a najwyżej kilkunastu wojowników. Ich taktyka wojenna polegała na nieoczekiwanym, szybkim ataku i natychmiastowym wycofaniu się bez ponoszenia strat. W przypadku liczebnej przewagi wroga w ogóle nie podejmowano walki.

Bezpośrednie pojedyncze starcia zbrojne przypominały europejskie średniowieczne turnieje rycerskie, ponieważ Indianinowi nie chodziło o unicestwienie wroga, lecz jedynie o wykazanie własnej sprawności i odwagi. Zdobywanie nowej ziemi nigdy nie było celem takich wypraw.

Wojny oraz taktyka wojenna Indian Równin zasadniczo różniły się od wojen i sposobu ich prowadzenia przez narody europejskie. Indianie nie posiadali stałych armii ani zawodowych dowódców i nie prowadzili długotrwałych walk. Uczestniczenie większej części lub całego plemienia w jednej wyprawie wojennej zdarzało się bardzo rzadko i miało miejsce tylko wtedy, gdy chodziło o obronę własnych terenów łowieckich. W takiej wyjątkowej sytuacji już od długich lat znajdowali się właśnie Santee Dakotowie, którzy opierali się zbrojnemu naporowi Czipewejów migrujących ze wschodu na zachód. Nic więc dziwnego, że wieści przyniesione przez zwiadowców

zatrwożyły Wahpekute. Tak liczne zgrupowanie czy-pewejskich wojowników mogło być zapowiedzią nowego groźnego ataku na Dakotów.

Śmiały Sokół długo naradzał się ze swymi wojownikami, trudno im jednak było podjąć jakąkolwiek decyzję. Większość była zdania, że należy zaniechać napadu na Szejenów i natychmiast wracać do osady w celu zorganizowania obrony. Jednak kilku śmiałków radziło wstrzymać się z podjęciem decyzji i czekać, dopóki Czipewejowie nie ujawnią swoich zamiarów.

Wśród tych ostatnich znajdował się znany z waleczności Czarny Wilk.

- Dlaczego mamy od razu uciekać przed tymi śmierzdzący-mi kojotami?! - mówił oburzony. -

Najpierw spróbujmy do-wiedzieć się, co zamierzają. Może nie na nas planują napad? Jednak gdyby nawet chcieli dokonać napadu na naszą osadę, to jeden

:i6

wystarczy do ostrzeżenia naszych braci. My natomiast możemy pójść tropami Czipewejów i w decydującej chwili uderzyć na ich tyły-

- Popieram radę Czarnego Wilka - rzekł Przecięta Twarz.

- To wstyd umykać na pierwszy widok wrogów!

Wahpekute, którzy doradzali natychmiastowy powrót do osady, umilkli zawstydzeni. Czarny Wilk i Przecięta Twarz należeli do żołnierskiego stowarzyszenia „Złamane Strzały”, którego członkowie byli zobowiązani do podejmowania najniebezpieczniejszych zadań i walczenia w pierwszej linii.

- Nasz młodszy brat Tehawanka przebywał dłuższy czas w niewoli u Czipewejów i ma brankę Czipewejkę. Na pewno poznał ich mowę - powiedział Czarny Wilk.

Wszyscy zaraz spojrzeli na młodzieńca, ten zaś rzekł:

- Nie śmiałem zabierać głosu przed moimi starszymi braćmi, dlatego Czarny Wilk uprzedził mnie.

Właśnie chciałem pro-sić Śmiałego Sokoła, aby zezwolił mi pójść na przeszpiegi. Rozumiem mowę Czipewejów.

- Rada mego brata, Czarnego Wilka, godna jest dzielnego wojownika - odezwał się Śmiały Sokół. -

Mój młodszy brat, Tehawanka, pójdzie zasięgnąć języka, a Dwie Twarze i Czarny Wilk będą go osłaniali.

Tehawanka uradowany zaraz powstał, lecz Dwie Twarze, który razem z Szarymi Oczami wyszedł

Czipewejów, powstrzymał go mówiąc:

- Wyruszymy dopiero trochę przed zmierzchem. Czipewe-jowie obozują niedaleko stąd. Najłatwiej będzie podkraść się po zapadnięciu ciemności. Teraz wypocznijmy po całonocnej wę-drówce.

Śmiały Sokół przyzwalająco skinął głową, rozstawił warty i dopiero wtedy położył się pod drzewem.

Wahpekute, jak zwykle na wyprawie wojennej, zachowywali ostrożność. Porozumiewali się bezgłośnie mową znaków, nie roz-palili ognia, aby dym i swąd nie zdradziły wrogom ich obecności.

Zjedli tylko skromny zimny posiłek z zabranych na drogę zapasów, ponieważ sytość powodowała ociężałość i zmniejszała czujność, podczas gdy głód zaostrzał zmysły. Zaledwie zaspokoili pierwszy głód, natychmiast posnęli, czuwali jedynie strażnicy. W nadrzecznych chaszczach rozbrzmiewał swobodny świergot ptaków. Nawet 37

płochliwe bystrookie antylopy widłorogie nie wypatrzyły Wahpe-kute i przybiegły do wodopoju znajdującego się w pobliżu.

Czas wolno mijał. Wreszcie słońce zaczęło chylić się ku zacho-dowi. Dwie Twarze powstał, skinął głową ku Czarnemu Wilkowi i Tehawance. Zaczęli przygotowywać się do drogi. Natarli swe ciała tłuszczem, a następnie pomalowali twarze na czerwono i na-rysowali po trzy pionowe pasy na każdym policzku.

Śmiały Sokół zbliżył się do zwiadowców.

- Zaraz wyruszamy - szeptem poinformował go Dwie Twa-rze.

- Możecie już iść - potaknął Śmiały Sokół. - Niech moi bracia będą przezorni. Nienawiść do Czipewejów ukryjcie głęboko w swych sercach. Nie wolno nierozważnym czynem ostrzec ich o naszej obecności.

- Śmiały Sokół słusznie mówi - powiedział Czarny Wilk.

- Żaden z nas nawet palcem nie dotknie Czipeweja. Natomiast oczy i uszy będziemy mieli szeroko otwarte.

- Idźcie już, zaraz zapadnie zmierzch - rzekł Śmiały Sokół.

- Naszym hasłem będą trzy następujące po sobie okrzyki kojota.

Zwiadowcy ubrani jedynie w przepaski biodrowe i mokasyny uzbroili się tylko w noże, które zatknęli za rzemieniami przewią-zanymi w pasie. Nie tracąc czasu podążyli brzegiem rzeki. Cicho przemykali przez zarośla. Dwie Twarze szedł pierwszy, gdyż znał już miejsce, w którym obozowali Czipewejowie. Szli dość szybko, lecz gdy zapadł zmierzch, zwolnili kroku. Obawiali się nie-oczekiwanego napotkania straży czipewejskich, które mogły już być rozstawione.

Tehawance droga bardzo się dłużyła. Paliła go niecierpliwość.

Czy uda mu się podsłuchać wrogów i przeniknąć ich zamiary? Wreszcie Dwie Twarze przystanął.

Uniósł do góry głowę, zaczął głęboko wciągać powietrze, jakby pragnął coś zwęszyć. Po chwili szeptem zwrócił się do towarzyszy:

- Czipewejowie nie opuścili obozu. Są już bardzo blisko. Czu-ję dym ognisk.

- Tak, ja również czuję swąd - potwierdził Czarny Wilk.

- Pewni są siebie, ufają w swe siły.

- Niech moi bracia poczekają tutaj, sprawdzę, czy straże są rozstawione - szepnął Dwie Twarze i zniknął w krzewach.

38

Czarny Wilk i Tehawanka przykucnęli obok drzewa i tak trwali bez ruchu. Przymknęli powieki, aby przypadkiem błysk oczu nie zdradził ich przed wrogiem. Cali przemienili się w słuch. Przez długi czas panowała wokoło cisza. Nagle w górze zaszele-ściły gałęzie, po czym rozległ się pisk ptaków. Rozgorzała drama-tyczna walka na śmierć i życie, zakończona nieprzyjemnym krzy-kiem sowy. W gąszcz nadrzeczny poczęła wkradać się poświata księżycowa, w której krzewy i drzewa przybierały fantastyczne kształty.

Czarny Wilk położył dłoń na ramieniu Tehawanki. Obydwaj przywarli ciałami do pnia drzewa.

Ktoś skradał się do nich. Cichy skowyt kojota powtórzył się trzykrotnie. Tehawanka i Czarny Wilk wychylili się zza drzewa. Dwie Twarze wychynął z zarośli.

- Rozstawili straże, ale można przemknąć się pomiędzy ni-mi - powiedział szeptem. -

Przeprowadzę moich braci. Gdy mi-niemy linię straży, nasz młodszy brat podkradnie się sam do obozu, a my będziemy ubezpieczali go z tyłu. W razie niebezpieczeń-stwa ostrzeżeniem będzie podwójny krzyk sowy. Wtedy niech mój brat Tehawanka wycofuje się natychmiast.

- Nie zapomnij poleceń Śmiałego Sokoła - ostrzegł Czarny Wilk. - Tej nocy Czipewejowie są dla nas nietykalni! Od ciebie zależy los naszej wyprawy przeciwko Szejenom, a może nawet los naszej osady.

- Nie zapomnę o tym, Czarny Wilku - odparł Tehawanka. - Postaram się pozyskać zaufanie moich starszych braci.

- Postępuj rozważnie, nie spiesz się! - dodał Czarny Wilk.

- Idziemy! - ponaglił Dwie Twarze i ruszył pierwszy.

Ani jedna gałąź nie złamała się pod ich stopami, żaden krzew nie zaszeleścił. Wkrótce idący na przedzie Dwie Twarze ostrożnie osunął się na ziemię i zaczął pełzać. Czarny Wilk i Tehawanka

uczynili to samo. Na wschodzie od strony stepu rozbrzmiał sko-wyt kojotów. Zwiadowcy przystanęli, zaczęli nasłuchiwać, wkrót-ce jednak Dwie Twarze znów ruszył do przodu. Jego towarzysze pełzli za nim, starając się nie pozostawiać śladów.

Niebawem ujrzeli wartownika. Stał na niewielkim wzniesie-niu oparty plecami o pień drzewa.

Obydwie dłonie wsparł na koń-cu krótkiej włóczni wbitej przed nim w ziemię. Spoglądał na srebrzystą tarczę księżyca.

39

Zwiadowcy zdwoili ostrożność. Strażnik oddalony był od nich o jakieś czterdzieści kroków. Na szczęście wysoka trawa stano-wiła doskonałą kryjówkę. Wreszcie minęli wartownika. Wkrótce Dwie Twarze podniósł się z ziemi, a za nim Czarny Wilk i Teha-wanka. Teraz szli chyłkiem od drzewa do drzewa. Wyraźnie już mogli słyszeć szum płynącej rzeki.

Dwie Twarze przystanął. Czarny Wilk i Tehawanka zatrzy-mali się przy nim. Wśród rzadko rosnących drzew było dość wid-no. Księżyc w pełni zdawał się dotykać rozłożystych koron. Dwie Twarze gestami mowy znaków poinformował Tehawanę, że te-raz już sam musi pójść dalej.

Przypomniał mu także hasło - dwu-krotny krzyk sowy.

Tehawanka pod osłoną drzew wolno podkradał się ku brze-gowi rzeki. Wkrótce ujrzał nagle blaski indiańskich ognisk. Wtedy położył się na ziemi i zaczął pełzać. W ten sposób dotarł na skraj zarośli, dalej już rozciągała się obszerna polana aż do samego brzegu Missisipi.

Tehawanka ukryty za drzewem spoglądał na wrogi obóz. Od razu rozpoznał wojowników czipewajskich, ponieważ wielu z nich na twarzach pokrytych cynobrem miało namalowane charakterystyczne wzory, oznaczające stopień wtajemniczenia w tajnym bractwie „Midewiwin”, rozpowszechnionym wśród Czipewajów.

Obserwacje Tehawanki potwierdzały spostrzeżenia poczynione uprzednio przez Dwie Twarze i Szare Oczy. W obozie przebywali sami wojownicy bez kobiet i dzieci. Wielu z nich posiadało broń palną, która tak skutecznie pomogła im w pokonaniu Dakotów. Czipewajowie zachowywali się swobodnie. Zgromadzeni w dużej liczbie nie obawiali się napaści. Niektórzy już ułożyli się do snu inni gotowali strawę w kociołkach zawieszonych nad ogniskami, gwarzyli, palili fajki, oporządzali broń.

Tehawanka z wielką uwagą lustrował obóz. Głowił się, w jaki sposób mógłby wykonać ryzykowne zadanie. Zauważył, że od cza-su do czasu ten czy ów Czipewaj oddalał się z obozu w zarośla w celu załatwienia własnej potrzeby. To właśnie podsunęło mu sza-leńczy pomysł. Szybko roztarł

dłońmi wojenny malunek na swej twarzy, po czym powstał i swobodnym krokiem wyszedł z zarośli na polanę.

***Serce biło mu w piersi jak młot, gdy zbliżał się do pierwszej***

grupki wojowników obsiadających najbliższe ognisko. Minął ich... Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Liczył na to, że w tak liczny grupowaniu wojowników wszyscy nie mogli znać się osobiście. Mimo to istniała możliwość natknięcia się na kogoś, kto go już widział. Przecież przez dłuższy czas przebywał w niewoli u Czipe-wejów, a potem, uciekając, uprowadził córkę wodza.

Toteż Teha-wanka nie podchodził zbyt blisko do ognisk. Wkrótce był już na środku polany.

Podniecenie Tehawanki wzrosło niepomiernie. Oto w pobliżu rozłożystego drzewa siedzieli przy ognisku wodzowie poszczególnych grup Czipewejów. Pałac fajki rozmawiali. Tehawanka bez namysłu zbliżył się do drzewa. Leżał na trawie odwrócony plecami do rozmawiających. Stalowy nóż zatknięty za rzemiennym pasem przesunął na prawy bok, aby był dobrze widoczny. Nóż ten zabrał Czipewejowi, gdy uciekał z niewoli. Czipewejowie od dawna kupowali stalowe noże od białych ludzi, natomiast Wahpekute jeszcze ich nie posiadali. Tak więc stalowy nóż u boku Tehawanki mógł sugerować wrogom, iż „śpiący” jest Czipewejem. Wprawdzie mokasyny odmienne niż noszone przez Czipewejów mogłyby go zdradzić, ale pamiętając o tym krył stopy w trawie.

Udając uspienie skrzętnie nadstawiał uszu. Przez dłuższy czas Czipewejowie rozmawiali o łowach na bizona. Potem uzgadniali termin wspólnych obrzędów bractwa „Midewiwin”, a następnie któryś z nich zaczął użalać się na swe stare żony, a ktoś doradzał mu wzięcie następnej, młodszej.

Tehawanka już zaczął wątpić w pomyślne wykonanie trudnego, niebezpiecznego zadania, gdy nagle usłyszał:

- Wódz Czarna Chmura zapewne także przeżywa kłopoty z żonami. Mówiono, że niedawno wzięł sobie jeszcze jedną młodszą.

- Dlaczego mój brat Zimna Woda sądzi, że Czarna Chmura ma kłopoty?

Rozległ się gardłowy śmiech, a potem:

- Tak pomyślałem, bo jakoś nie spieszo mu na spotkanie!

- Niech mój brat nie żartuje! Czarna Chmura przyprowadzi swoich wojowników jutro przed zachodem słońca, tak jak się z nami umówił. On wie, że od tej wyprawy zależy przyszłość Czipewejów.

- Wobec tego jutro wieczorem zwołam naradę wojenną. Omówimy szczegóły ataku na gniazdo Szejenów.

- Musimy całkowicie zburzyć ich osadę i raz na zawsze przegnać stamtąd, wtedy równiny za Rzeką Czerwoną staną przed nami otworem. Będziemy mogli spokojnie polować na bizona.

- Mój brat Chytry Bóbr wyraził nasze myśli. Tak musimy uczynić: Duchy zmarłych ustami naszych szamanów przepowiedziały nam zwycięstwo. Jutro wieczorem odbędziemy wspólną naradę wojenną, a o świcie zwiadowcy wyruszą w kierunku rzeki Cheyenne. Następnego dnia wszyscy pójdziemy za nimi w kilku grupach, otoczmy miasto, aby ani jeden Szejen żywy nie uszedł.

- Plan Zimnej Wody jest bardzo dobry, jutro wspólnie z Czar-ną Chmurą omówimy szczegóły.

Inne głosy popierały Zimną Wodę. Potem potoczyła się rozmowa na temat poprzednich zwycięstw i niezwykłych przygód.

Tehawanka z trudem panował nad podnieceniem. Czipewejo-wie planowali atak na tę samą osadę Szejenów, która była celem wyprawy Wahpekute. Co w tej niezwyklej sytuacji postanowi Śmiały Sokół? Czy zaryzykuje podwójny atak? Wątpliwości mógł rozstrzygnąć tylko Śmiały Sokół, wódz wyprawy. Najpierw jednak należało jak najszybciej przekazać mu zdobyte informacje.

Tehawanka leżał pod drzewem odwrócony plecami do rozmawiających wodzów. Oby tylko któryś z nich nie zwrócił na niego uwagi! Spod w półprzymkniętych powiek zerknął w kierunku zarośli.

Aż zdumiał się teraz, że były tak odległe. Spostrzegł również, że podsłuchiwanie trwało zbyt długo. Księżyc, który przedtem wznosił się nad samą polaną, obecnie już prawie krył się za koronami wysokich drzew. Długie półcienie słały się na murawie.

Tehawanka nieznacznie uniósł głowę. Ogniska między nim a zaroślami już prawie wygasły.

Większość Czipewejów pogrążona była we śnie. Tehawanka, niby to śpiąc, odwrócił się na plecy, a potem na drugi bok. Nareszcie ujrzał wodzów. Było ich sześciu. Rozmawiali jeszcze, ale widać było, że ich również zaczyna ogarniać senność. Tehawanka, nadal udając śpiącego, cierpliwie czekał, dopóki księżyc całkowicie nie skryje się za pasmem drzew. Zdawało mu się, że trwało to całą wieczność, lecz w końcu nocna ciemność ogarnęła polanę.

43

Tehawanka odwrócił się na brzuch. Powoli odsuwał się od drzewa. Gdy dzieliło go od niego już kilkanaście kroków, wolno siadł, jakby dopiero co zbudził się, i ziewnął. Powstał, ruszył w kierunku drzew. Przez ramię zerknął ku wodzom. Właśnie powstawali, by rozejść się do swych wojowników. Tehawanka przyspieszył kroku. Z uczuciem ulgi wszedł między zarośla. Panowała tutaj nieprzenikniona ciemność. Duma rozpieierała pierś młodego zwiadowcy. Był w obozie wojennym wrogów, zdobył niezwykle ważne informacje nie tylko dla wyprawy Śmiełego Sokoła, lecz dla wszystkich Santee Dakotów. Taki czyn był wysoko oceniany przez radę starszych.

Radosne uniesienieomal go nie zgubiło.

- Przystańmy na chwilę! - rozbrzmiał nieoczekiwanie czyjś głos prawie tuż przed Tehawanką, który dopiero teraz spostrzegł majaczące w ciemności sylwetki. Instynktownie zamarł bez ruchu przy drzewie, lecz zaraz oprzytomniał, przykucnął, przywarł do pnia. Ktoś przystanął przy tym samym drzewie, znajdował się tak blisko, że Tehawanka mógł dotknąć jego ud. Tehawanka przy-mknął oczy,



wstrzymał oddech. Przez krótką chwilę nic się nie działo, a potem struga gorącej cieczy bryznęła prosto na jego twarz. Tehawanka drgnął, jak pod smagnięciem bicia, kurczowo zacisnął wargi. Gorąca ciecz spływała z twarzy na nagie ciało. Wreszcie Czipewej westchnął głęboko i rzekł:

- Teraz możemy jeszcze choć trochę odpocząć przed świtem.

Sowy przez całą noc harcowały w gęstwinie, jakby ktoś je nie-pokoił. Nawet nie mogłem podrzemać!

Odeszli. Tehawanka jeszcze przez długą chwilę trwał bez ruchu, porażony nieprzyjemnym wydarzeniem, lecz wzmianka o sowach uzmysłowiła mu, że to zapewne jego towarzysze na-woływali do odwrotu. Prawdopodobnie niepokoił się i wskazywali miejsce swej kryjówki.

Tehawanka powstał, otrząsnął się jak po wyjściu z wody. Wo-kół było cicho. Zaczął przemykać przez gęstwinę. Po pewnym czasie przystanął, dwukrotnie krzyknął naśladowując głos sowy. Odzew na hasło nastąpił natychmiast. Po kilkudziesięciu krokach ktoś przytrzymał Tehawankę za ramię. Był to Czarny Wilk. Dwie Twarze również wynurzył się zza drzewa, kładąc dłoń na ustach Tehawanki nakazał milczenie. Natychmiast też ruszył pierwszy, pociągając młodzieńca za sobą. Czarny Wilk szedł ostatni. Nieba-44

wem opadli na ziemię, teraz przekradali się pełzając. Tym razem wymijanie straży trwało bardzo długo. Po dopiero co dokonanej zmianie wart należało zachować dużą ostrożność.

Niebo różowiło się na wschodzie. Dwie Twarze coraz częściej dawał towarzyszom znak zatrzymania, nasłuchiwał. Wreszcie gdy zajaśniał dzień, powstał i poprowadził dalej zachowując milczenie. Na brzegu Missisipi nie zatrzymali się ani na chwilę. Dopiero po obejściu całego zakola rzeki Dwie Twarze przystanął i rzekł:

- Tutaj już nic nam nie grozi. Możemy odpocząć.

- Nasz młodszy brat zaniepokoił nas długą nieobecnością - pierwszy odezwał się Czarny Wilk. -

Czy udało ci się wkraść do obozu Czipewejów?

- Tak, byłem w ich obozie - odparł Tehawanka. - Wiem już, co zamierzają. Postanowili zniszczyć osadę Szejenów leżącą nad rzeką Cheyenne.

- Czy nasz brat dobrze zrozumiał, co oni mówili?! - zawołał zdumiony Czarny Wilk.

- Dlaczego chcieliby ją zniszczyć?! - zawtórował niedowierzająco Dwie Twarze.

- Czipewejowie chcą przegnać Szejenów, aby bez przeszkód mogli polować na stada bizonów na równinach za Rzeką Czerwoną.

- Od kogo mój brat to usłyszał? - zapytał Czarny Wilk.

- Udało mi się podsłuchać rozmowę sześciu Wodzów, między którymi byli Zimna Woda i Chytry

Bóbr. Oczekują jeszcze na przybycie Czarnej Chmury.

- Hough\ - zawołał Czarny Wilk. - Znam dobrze tych trzech czipewejskich psów! To oni przewodzili największym najazdom na Dakotów!

- Hough\ - zawtórował Dwie Twarze. Ja także ich znam!

Możemy zaufać zdobytym przez naszego brata wiadomościom.

- Zamierzaliśmy zabrać konie tym Szejenom - powiedział Tehawanka. - Co Śmiały Sokół uczyni w tej sytuacji?

- Co uczyni? - powtórzył Czarny Wilk i roześmiał się zło-wrogo. - Podczas podwójnego ataku z łatwością zabierzemy ko-nie. Nasz młodszy brat dokonał śmiałego czynu, godnego do-

świadczanego wojownika! Spieszmy do Śmiałego Sokoła z pomyśl-nymi wiadomościami!

# IV

la wojennej 6cle\*o<

Wiadomość, że wrodzy Czipewejowie mają zamiar zniszczyć osadę tak samo wrogich Szejenów, uradowała wojowników Wahpekute. Śmiały Sokół po wysłuchaniu relacji zwiadowców rzekł:

- Nasz młodszy brat Tehawanka dokonał znacznego czynu wojennego. Wykapał odwagę i roztropność. Jedynie wąż potrafi wśliznąć się niepostrzeżenie do obozu wrogów i przeniknąć ich zamiary. Uczestnikom wypraw wojennych przysługuje przywilej przybierania nowych imion, upamiętniających ich niezwykle czyn. Nasz młodszy brat Tehawanka zasłużył na wyróżnienie.

Jako dowódca wyprawy nadaję mojemu bratu imię Przebiegły Wąż. Po powrocie do osady obwoływacz obwieści to ogółowi.

- Hough! Nasz młody brat zasłużył na wojenne imię! - powiedział Czarny Wilk.

- Hough! Hough! - przywótwórzyli inni.

## GESTY MOWY ZNAKÓW

Tehawanka pochylił głowę, aby nie uzewnętrzniać radości i dumy. Nadanie imienia wojennego przez wojownika jak Śmiały Sokół stanowiło duże wyróżnienie. Wojownik otrzymujący imię wojenne stawał się kimś, z kim należało się liczyć.

Śmiały Sokół tymczasem mówił dalej:

- Przebiegły Wąż rozwiął nasze obawy. Jeżeli natychmiast wyruszy w drogę, to przybędziemy nad rzekę Cheyenne wcześniej niż Czipewejowie. Rozejrzemy się w sytuacji, upatrzymy sunka wakan, które uprowadzimy tuż przed atakiem Czipewejów. Szejenowie mając na karku drugich wrogów nie będą nas ścigać.

- Czipewejowie zamierzają otoczyć osadę Szejenów, więc nam również odetną odwrót - zauważył

Zielony Liść.

- Czipewejowie idą pieszo, a my będziemy umykali na zdobytych sunka wakan. Z łatwością powinniśmy się przemknąć. Moi bracia przekonają się, jak dużą przewagę posiada nad pieszym wojownik na koniu! - pewnie odparł Śmiały Sokół.

- Wiem już o tym dobrze! - mruknął Czarny Wilk. - Gdyby Paunisi nie napadli nas na sunka wakan, nie udałoby się im uprowadzić Porannej Rosy!

***Śmiały Sokół nachmurzył się, po czym spojrzał prosto w oczy***

Czarnego Wilka i powiedział:

- Mój ojciec i ja byliśmy przeciwni składaniu krwawych ofiar Gwieździe Porannej. Dlatego Poranna Rosa odzyskała wolność, a ja jestem obecnie między wami. ,

- Nie zamierzałem urazić Śmiałego Sokoła. Teraz jesteś Wah-N ożywać

Tipi

Jechać

Szybko

Km

47

pekute, wszyscy cię szanujemy - pospiesznie usprawiedliwił się Czarny Wilk. - Szkoda czasu na narady, plan Śmiałego Sokoła odpowiada nam!

- Houghh! Plan jest dobry! - potwierdził Przecięta Twarz.

- Zabierzemy sunka wakan sprzed samego nosa tych śmier-dzących kojotów! - zawołał Długi Pazur. - Zaskoczmy Czipewejów, którzy nic o nas nie wiedzą, podczas gdy my, dzięki Przebiegłemu Wężowi, znamy ich plany.

- Zdobędziemy sunka wakan i unikniemy pościgu Sze jenów

- dodał Zielony Liść.

- Tak właśnie będzie! - przywodził Nom'pa apa.

- W pobliżu widziałem drzewo bawełniane powalone przez wicher, możemy wykorzystać je do przeprawy przez rzekę -

.^u^utuJfk

zapropował WSEWSf

- Skorzystamy z tej rady. Rzeka szeroka, widoczność do-bra. Musimy ukryć się za pnem drzewa, aby Czipewejowie przy-padkiem nie spostrzegli nas. Niech moi bracia starannie zatrą ślady! - polecił Śmiały Sokół.

Zepchnięcie dużego drzewa z urwistego brzegu do wody oraz zatarcie śladów pochłonęło sporo czasu, toteż słońce już prawie stało w zenicie, gdy Wahpekute, kryjąc się za pnem drzewa, rozpoczęli przeprawę na przeciwległy brzeg Missisipi. Porywisty nurt nie przerażał ich, ponieważ jako mieszkańcy krainy jezior oswo-jeni byli z wodą i przeważnie dobrze pływali.

Drzewo niesione prądem rzeki z wolna zbliżało się ku drugiemu brzegowi. Wahpekute ukryli torby

podróżne oraz broń wśród ga-

łęzi wystających ponad wodą, a sami, przytrzymując się pnia, i'<ojot, wilk

Poluje

Strzelaj

48

płynęli obok i nadawali mu pożądaną kierunek. Wreszcie znaleźli się o kilka kroków od brzegu. Na znak Śmiałego Sokoła wojownicy zaczęli kolejno odpływać od drzewa, które już zahaczało ga-

łęziami i korzeniami o kamieniste dno. Wkrótce wszyscy byli na brzegu.

Długi Pazur, Żółty Brzuch i Długa Lanca, którzy znali te okolice z poprzednich wypraw przeciwko Szejenom, poprowadzili towarzyszy na północny zachód. Według zapewnień przewodników siedem dni marszu przez prerię dzieliło ich od rzeki Bois de Sioux, wypływającej z jeziora Traverse. Rzeka ta, płynąc w kierunku północnym, łączyła dalej swe wody z rzeką Otter Tail płynącą ze wschodu, tworząc po połączeniu Rzekę Czerwoną Północną, która znajdowała ujście w jeziorze Winnipeg w Kanadzie. Rzeka Che-yenne, ku której dążyli Wahpekute, była właśnie dopływem Rzeki Czerwonej Północnej<sup>13</sup>.

W miarę oddalania się wojowników Wahpekute od brzegu Missisipi całkowicie zniknęły drzewa i zarośla. Wędrowka przez prerię była uciążliwa, ponieważ wbrew swej nazwie Wielkie Równiny w rzeczywistości wcale nie były płaską krainą. Bezkresną prerię tworzyły niezliczone, łagodne pagórki, wądoły i rozpadliny, a Rzeką Czerwoną Północną (Red River of the North) ma długość około 500 km; główne jej dopływy: Sheyenne, Red Lake i Assiniboine. Nie należy jej mylić z Rzeką Czerwoną (Red River) długości 1920 km, która wypływa z wysokich równin Nowego Meksyku, płynie pomiędzy Teksasem i Oklahomą przez Arkansas i Luizjanę, a w dolnym odcinku dzieli się na dwa nurty: Old River uchodzącą do Missisipi i Atchafalaya płynącą okresowo do Zatoki Meksykańskiej.

Zimno, zima

4 Przekleństwo złota

Silny

Smutny

49

poprzecinane tu i tam dolinami już dawno wyschniętych rzek oraz małych jezior. Tylko dzięki kobiercowi trawy, upstrzonym łubinami i słonecznikami, pozornie wyrównującemu zagłębienia w ziemi, preria sprawiała wrażenie jednostajnej, płaskiej krainy. Trawa ta, czasem sięgająca kolan mężczyzny na koniu, a czasem niezbyt wysoka o skręcających się w pierścienie końcach łodyg, pod podmuchami wiatru falowała niczym wielki wiecznie ruchliwy ocean. Gdy przystawało się w

jakimkolwiek miejscu, wokół roztaczał się kolisty widnokrąg, jakby stało się na niewielkim wzniesieniu. Tam znów, gdzie jałowa ziemia pozbawiona była wszelkiej roślinności, pięły się ku niebu, jak obronne wieżyce, pojedyncze mesy, czyli wysokie wzgórza o platformowych szczytach i prawie prostopadle ściętych przez wichry i ulewy zboczach.

Wojownicy Wahpekute bez odpoczynku dążyli w kierunku północno-zachodnim. Pot perlił się na ich nagich, natartych tłuszczem ciałach. Słońce bezlitośnie gorzało na bezchmurnym niebie.

Toteż wojownicy wciąż wypatrywali błotnistych wądołów, w któ-

rych czasem znajdowali choć trochę mętnej, gęstej wody. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności. Deszcze zazwyczaj padały w tych okolicach podczas wiosny i w jesieni, a w lecie przeważnie panowała sucha, upalna pogoda. W niektórych latach, zwłaszcza na zachodzie równin, deszcze w ogóle nie padały. Wtedy następowały okresy morderczej suszy, podczas których szalały burze piaskowe. Natomiast we wschodniej części równin czasem padało zbyt Duży

Dużo

Maty

50

wiele deszczów, powodując niebezpieczne powodzie. Tej właśnie wiosny opady były dość obfite, dzięki czemu trochę wody jeszcze przetrwało w głębszych wądołach. ‘

Wilgoć nagromadzona podczas wiosennych ulew wywierała ożywczy wpływ na życie czworonożnych i pierzastych mieszkańców prerii. Wśród licznych podziemnych osad piesków preriowych rozbrzmiewały ostrzegawcze, szczekliwe pogwizdy. Tu i tam prze-mykały króliki o oślich uszach, to znów uciekał borsuk spłoszony pojawieniem się ludzi. Czasem, rozbłysnął sygnał

ostrzegawczy śmigłych antylop widłorogich i zaraz widać było stado brunatno-żółtych zwierząt uciekające z zawrotną szybkością. W pobliżu błotnistych wądołów buszowały śpiewające wróble i skowronki, poja-wiały się drozdy, kosy, głuszce i kury preriowe. Na tle nieba często zaczerśniła się sylwetka szybującego sokoła, orła lub sępa.

Wygłodniali Wahpekute z żalem spoglądali na buszujące wśród traw zwierzęta i ptaki, jednak na wyprawie wojennej nie odważali się polować na nie. Czasem tylko udawało się im schwytać jaszczurkę, którą zjadali na surowo, bądź też znajdowali jaja w gniazdach gołębi preriowych i wypijali je podczas marszu.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Długa Lanca szedł na przdzie wypatrując dużego bajora, które miało znajdować się już gdzieś w pobliżu. Nagle przystanął, pochylił się ku ziemi.

- Hough\ Niedawno przeszło tędy stado bizonów! - zawołał do nadchodzących towarzyszy.

51

- Duże stado! - powiedział Śmiały Sokół, badając szerokie pasmo zdeptanej trawy i ślady wyciśnięte w zwirowatej ziemi.

- Bizony pewno poszły do tego samego wodopoju, do którego my zdążamy - mówił zafrasowany Długa Lanca. - Źle będzie, jeżeli stado zatrzyma się tam na noc!

- Czy nie ma gdzieś w pobliżu innej wody? - zapytał Śmiały Sokół.

Długa Lanca zastanawiał się chwilę.

- Nie, tu nie ma drugiego wodopoju - odparł.

W dali rozbrzmiał przeciągły skowyt wilków, któremu zaraz zawtórowało posępne wycie kojotów.

- Wilki i kojoty krążą wokół stada - powiedział Nom'pa apa.

- Musimy zdwoić ostrożność - wtrącił Mały Niedźwiedź. - Nadchodzi pora łowów. Gdzie jest zwierzyna, tam również mogą być myśliwi.

- Mały Niedźwiedź słusznie ostrzega - potwierdził Czarny Wilk. - Oprócz Szejenów i Czipewejów często tutaj zapuszczają się zdradzieccy Assiniboini<sup>14</sup> oraz obecni ich sprzymierzeńcy Cree<sup>15</sup>.

Śmiały Sokół powinien rozesłać zwiadowców.

<sup>14</sup> Assiniboini - w języku Czipewejów „ci, którzy gotują za pomocą kamieni”. Dakotowie zwali ich Hoke, czyli buntownicy. Assiniboini należeli do rodziny językowej sju. Stanowili odgałęzienie grupy Wazikute Yanktonai Dakotów, od których oderwali się i przenieśli w okolice jeziora Winnipeg, a potem nad rzekę Saskatchewan. Zawarli przymierze z Cree, aby przez nich uzyskać dostęp do brytyjskich faktorii nad Zatoką Hudsona i otrzymywać broń palną oraz inne przedmioty europejskiego pochodzenia. Prowadzili cią-

Ja

52

mam

10

zim - lat

- Tak zrobimy, tylko najpierw sprawdzimy, czy bizony za-trzymały się u wodopoju - zdecydował

Śmiały Sokół. - Na szlaku 'wydeptanym przez zwierzęta nasze ślady będą trudne do odkrycia przez wrogów. Ruszamy!

Zaledwie jednak doszli do niewielkiego wzniesienia, idący na przedzie Długa Lanca przypadł do

ziemi. Pozostali Wahpekute na-tychmiast skryli się w trawie, po czym ostrożnie podpełzli do przewodnika.

W szerokim wądole sfora wilków rozszarpywała leżącego na ziemi wielkiego bizona, który zapewne osłabiony chorobą lub zniedołężniały ze starości włókł się za stadem i padł ofiarą żar-

łocznych, wiecznie głodnych drapieżników. Bizon jeszcze poryki-wał boleśnie, gdy wilki z rozprutego kłami brzucha wywlekały trzewia i zajadle walczyły o nie między sobą, ale już nie miał siły do obrony. O kilka kroków za uczującymi wilkami czaiły się kojoty, łakomie wysuwając spiczaste łby .ku żerowisku.

głe walki ze spokrewnionymi Dakotami, od których odłączyli się jeszcze przed pierwszymi kontaktami z białymi Ogólna liczba Assiniboinów w 1780 r. wynosiła około 10 000, w 1930 r. w USA było ich 1581, a w 1937 r. jeszcze 2232 powróciło z Kanady.

15 Cree - z francuskiego Kristinaux, sami Cree zwali siebie Kenisto-noag, a Dakotowie nazywali ich Shi-e-a-la. Należeli do algonkińskiej rodziny językowej. Zamieszkiwali w Kanadzie od Zatoki Jamesa do rzeki Saskatchewan. W pierwszej połowie XVII w. francuscy kupcy i misjonarze natknęli się na Cree, którzy wkrótce zaczęli odgrywać ważną rolę jako przewodnicy i myśliwi dostarczający futer. W 1667 r. angielska Hudson Bay mieszkam

w tipi

53

Wahpekute wycofali się, ominęli wądół nie płosząc uczując-ych drapieżników prerii. Niebawem zaczęli zbliżać się do zapo-wiedzianego przez Długą Lancę wodopoju. Z pagórka ujrzeni bi-zony.

Były ich setki. Ze względu na wilki i kojoty krążące w pobliżu bizony zachowywały ostrożność.

Rosłe byki, jako straż przednia, otaczały stado. Dopiero wewnątrz koliska utworzonego przez

„strażników” żerowały samice, również otaczając kołem swój przychówek. Bagnisty wodopój roił

się od bizonów. Jedne piły mętną żółtawą wodę, inne pławiły się w bajorze, szukając ochrony przed dokuczliwymi owadami.

Na skraju moczarów dwa olbrzymie byki toczyły zażartą walkę. Kilka młodych samic, o przewodnictwo nad którymi zapewne walczyły buhaje, obojętnie przyglądało się rozprawie. Byki po-Company rozpoczęła rywalizację z Francuzami o wpływy na Cree. W tym czasie Cree zawarli przymierze z Assiniboinanai, co umożliwiło im urzą-dzanie wspólnych wypraw na południe, aż do Rzeki Czerwonej Północnej, na terytorium obecnego USA, gdzie walczyli z Dakotami, Czarnymi Stopami i innymi plemionami. Broń palna oraz zachęty kompanii futrzarskich były dla Cree bodźcem do dalekich myśliwskich wypraw na zachód, północ i po-łudnie. Szlakami wytyczonymi przez nich wędrował szkocki kupiec i ba-dacz Ameryki Północnej, urzędnik kanadyjskiej North-West Fur Company, a zarazem komendant Fortu Chippewyan nad jeziorem Athabaska - Sir Alexander



Mackenzie oraz inni kupcy. Późniejsza historia Cree ściśle wiązała się z poczynaniami Hudson Bay Company i North-West Fur Company. Dzięki swej ważnej roli w rozwoju handlu futrami Cree uniknęli wydziedziczenia z własnej ziemi i eksterminacji. W czasie pierwszych kontaktów z białymi liczyli 20 000 głów, a obecnie jest ich około 10 000.

Mój

ojciec

jsst duży

i silny

54

chyłały nisko potężne kudłate łby i szarżowały na siebie. Głuchy łoskot uderzeń rozbrzmiewał co chwila. Błoto bryzgało wokół walczących, oblepiało ich cielska, oślepiało. Naraz jeden byk pośliznął się na moczarowej mazi, padł na bok, rozpędzony przeciwnik przetoczył się przez niego.

Teraz leżały nieruchomo ciężko oddychając, po czym dźwignęły się na nogi. Przednimi kopytami poczęły uderzać w błotną maź, nisko pochyliły łby i z ponurym rykiem znów rzuciły się do walki.

Śmiały Sokół przysunął się do Długiej Lancy.

- Bizony nie zamierzają odejść stąd prędko - szepnął.

- Pozostaną dłużej - potwierdził Długa Lanca. - Do bajora wpływa podziemny strumyk o słonawej wodzie, którą zwierzęta bardzo lubią.

- Wobec tego będziemy musieli zrezygnować z wody i obejść stado - powiedział Śmiały Sokół.

- Tak będzie najbezpieczniej - przywodził Długa Lanca. - Gdybyśmy je teraz spłoszyli, rozjuszony byki mogłyby poprowadzić stado prosto do nas. Wtedy bylibyśmy zgubieni. Nigdy nie można przewidzieć, co uczyni niepokojone stado bizonów.

- Nie mamy wyboru, musimy ominąć stado - wtrącił Czarny Wilk. - Byki mogą walczyć bardzo długo o przewodnictwo nad stadem. Widziałem raz taką walkę. Trwała całe dwie noce, zanim pokonany byk odszedł samotnie, żałośnie porykując.

Wahpekute jeszcze przez jakiś czas obserwowali bizony. Jak okiem sięgnąć wszędzie widać było ciemnobrunatne grzbiety ol-brzymich zwierząt.

- Na szczęście szliśmy pod wiatr, więc nie zwęszyły nas -

Ojciec

ma

tuk

duży

55

szepnął Śmiały Sokół. - Obejdziemy stado od południa. Chodź-my już, niedługo wieczór!

Dopiero o zmroku Śmiały Sokół zarządził odpoczynek. Zatrzymali się w kotlinie porosłej kępami krótkiej trawy. Śmiały Sokół rozstawił strażę, po czym wszyscy spożyli skromny zimny posiłek.

Ułożyli się do snu osłonięci skarpą przed chłodnym wieczornym wiatrem. Ze względu na konieczność zachowania ostrożności nie rozpalili ogniska, mimo że wokół było pod dostatkiem wysuszonego gnoju bizonów, który na prerii zastępował drewno opałowe.

Przez całą noc Śmiały Sokół pilnował zmiany wart. Wilki i kojoty krążyły w pobliżu. Za ledwie nastał świt, zbudził wojowników, którzy dokonali przeglądu mokasynów. Zdarte przez twardą zwirowatą ziemię zamienili na nowe. Zużyte mokasyny zakopali w ziemi, aby przypadkiem znalezione przez wrogów nie zdradziły ich obecności, zatarli ślady po nocnym biwaku, po czym natychmiast wyruszyli w drogę.

### *Ósmy dzień wędrówki przez prerię dobiegał końca. Wojownicy*

Wahpekute prażeni słońcem, osmalani wiatrem, wygłodniali i spragnieni upodobnili się do drapieżnych sępów szybujących ponad prerią. Uporczywie dążyli na północny zachód, jedząc tylko raz dziennie wieczorem, nie rozpalając ogniska. Nużącą wędrówkę utrudniały głębokie nory wilków i borsuków oraz rozległe osady piasków preriowych. Twarda popękana z upału ziemia niszczyła mokasyny, sucha wysoka trawa kaleczyła ciało.

Dopiero o świcie dwunastego dnia wędrówki przewodnicy Wahpekute skierowali się wprost na zachód. Około południa w dali zarysowało się czarne pasmo drzew. Zbliżali się do rzeki Bois de On

poluje

na bizonn

Sioux. Niebawem na rozkaz Śmiałego Sokoła przyczaili się na niewielkim wzniesieniu w wysokiej trawie. Długi Pazur i Żółty Brzuch poszli na przeszpiegi. Według zdania Długiej Lancy jeszcze tylko dzień drogi dzielił ich od osiedla Szejenów.

Wojownicy w milczeniu oczekiwali na powrót zwiadowców. Młody Tehawanka, czyli obecnie Przebiegły Wąż, spod oka obserwował towarzyszy wyprawy. Na ich twarzach, jakby wykutych z kamienia, nie widać było podniecenia czy obawy, chociaż już w każdej chwili mogli natknąć się na wrogów. Przebiegły Wąż, najmłodszy w tym gronie, również nie lękał się walki.

Bój na śmierć i życie nie przerażał indiańskich wojowników.

Od najmłodszych lat wpajano w nich przekonanie, że odwaga oraz brawura wykazane na wojennych wyprawach stanowiły dla męż-

czynny jedyną drogę do osiągnięcia wyróżnień, powodzenia i sławy. Dożycie starczych lat nie przynosiło chluby wojownikowi, natomiast śmierć w młodym wieku podczas walki była zaszczytną, wspaniałą przygodą. Już od dzieciństwa obserwowali sławnych wojowników, którzy przy wieczornych ogniskach oraz podczas publicznych uroczystości opowiadali o swych niezwykłych wojennych czynach i nawet odtwarzali je pantomimicznie. Byli świadkami odznaczania bohaterów, uwielbiali ich, widzieli korzyści czerpane ze sławy. Tak więc młody Przebiegły Wąż od dawna tęsknił

do niezwykłych przygód wojennych, marzył o sławie. Niebezpieczną walkę, zdobywanie łupów i branie jeńców uważał za okazję do wykazania odwagi. Wyprawy wojenne dla większości plemion Wielkich Równin stanowiły swoiste zawody sportowe, w których własne życie było chlubną stawką. Młody Przebiegły Wąż był In-On

zabija

bizona

57

56

dianinem z krwi i kości, toteż obecnie palił się do bohaterskich czynów wojennych.

Zwiadowcy wreszcie powrócili.

- W najbliższej okolicy nie odkryliśmy niczego podejrzanego - oznajmił Żółty Brzuch. - Byliśmy na przeciwległym brzegu rzeki. Widzieliśmy jedynie ścieżki do wodopojów wydeptane przez zwierzęta.

- Rzeka jest niezbyt szeroka - dodał Długi Pazur. - Nie-daleko stąd w kierunku północnym znajduje się bród. Teraz możemy pójść brzegiem w górę rzeki. Stąd już niedaleko do miejsca połączenia Cheyenne z Bois de Sioux.

- Przepawimy się na drugi brzeg i tam odpocznimy do świtu. Potem pójdziemy tak, jak proponuje mój brat - zdecydował Śmiały Sokół.

Wahpekute przeszli brodem na zachodni brzeg rzeki Bois de Sioux i zatrzymali się na biwak. Po wielodniowej wyczerpującej wędrówce przez prażoną słońcem prerię nareszcie doznawali ulgi w ożywym cieniu drzew bawełnianych i wierzb.

Na bogatej nadrzecznej glebie bujnie krzewiła się stepowa roślinność. Wśród karłowatych krzewów dzikich czereśni, wiśni, śliwek oraz śliwek piaskowych rosły czerwone porzeczki, borówki,

czernice, głóg, rzepa preriowa spotykana wszędzie na wysokich stepach, słodkie kartofle i dziki groch.

‘Przez jakiś czas w nadrzecznych chaszczach rozlegało się charakterystyczne chrupanie, .gdyż wygłodniali oraz spragnieni od-miany pożywienia Wahpekute objadali się tak ulubionymi przez nich dzikimi wiśniami, które żuli razem z pestkami<sup>16</sup>. Potem wo-Ja

nazywam rif

malv

58

jownicy przystąpili do naprawy mokasynów, rozmawiając jedy-nie niemą mową znaków. Przed zmierzchem zjedli skromny posi-łek z zapasów zabranych na drogę, po czym ułożyli się do snu.

Tylko wartownicy kolejno wyznaczani przez Śmiałego Sokoła czuwali przez całą noc, pilnie wsłuchując się w przeciągłe wycie wilków i kojotów.

Zaledwie świt zaróżowił wschodni kraniec nieba, Śmiały So-kół dał hasło do wyruszenia w drogę.

Obecnie szli lewym brze-i giem Bois de Sioux płynącej ku północy. Dostatek wody czynił

wędrówkę mniej męczącą, toteż już około południa Długi Pazur zatrzymał się i rzekł:

- Rzeka Cheye-mne płynie ku Bois de Sioux szerokim łukiem mocno wygiętym w kierunku południowym. Jeżeli teraz skieru-jemy się wprost na zachód, to powinniśmy dojść do brzegu Cheyenne już w niewielkiej odległości od osady, która leży prawie w połowie łuku koryta rzeki.

- Możemy również iść dalej na północ brzegiem Bois de Sioux aż do jej połączenia z Cheyenne i dopiero stamtąd pójść na za-chód wzdłuż koryta rzeki, ale to dłuższa droga - wyjaśnił Żółty Brzuch.

- Pójdziemy krótszą drogą - powiedział Śmiały Sokół. - Musimy mieć czas na rozejrzenie się w sytuacji, zanim nadciągną Czipewejowie.

***Poszli na zachód przez otwartą równinę. Jeszcze na długo przed***

<sup>16</sup> Półosiadłe jak i prowadzące wędrowny tryb życia plemiona prerii uzu-pełniały swe pożywienie dzikimi owocami oraz roślinami rosnącymi na Wiel-kich Równinach. Czereśnie i wiśnie (w języku Dakotów - champah} je-dzone były w stanie świeżym razem z pestkami oraz suszone i rozcierane, również z pestkami, na domieszkę do pemmikanu. Śliwki piaskowe (*Prunus americana*) i drzewne, zwane przez Dakotów cauntał, jedzono surowe, su-szone i gotowane. Czerwone porzeczki [mush tin’poo tah) gotowano na zupę i używano ich zamiast wiśni jako domieszki do pemmikanu.

Indianie spo-żywali także jagody, jadalne owoce głogu niesłusznie zwane dziką różą, które jedli świeże i suszone. Powszechnie leczona była dzika rzepa prerio-wa (teep se nah), spożywana surowa, gotowana oraz suszona i sproszko-wana na pożywną mąkę. Gotowano ją z żołądkiem bizona, ogonem

bobra lub z tłustym psim mięsem, dodając czasem dzikiego grochu (pżes pies ana}, był to najsmaczniejszy indiański pokarm. Jedzono również odmianę słod-kich kartofli (ang.

Jerusalem artzchofces) oraz odroślą i pąki niektórych drzew i krzewów.

59

zapadnięciem wieczoru powietrze stało się wilgotniejsze. Zbliżali się już do Cheyenne, Żółty Brzuch i Długi Pazur znów poszli na zwiady. Wieści przyniesione przez nich uradowały wszystkich Wahpekute. Osada Szejenów musiała znajdować się już bardzo blisko. Wskazywały na to ścieżki wydeptane w pobliżu rzeki, na których były liczne ślady stóp męskich, kobiecych i dzieci. Nie brakło na nich także śladów kopyt końskich.

Śmiały Sokół poprowadził wojowników ku rzece, gdzie przy-czaili się w ukrytym w chaszczach nadrzecznym wykrocie. O świ-i cię Wahpekute wykąпали się w rzece, po czym pomalowali swe ciała na wojenne barwy i sprawdzili stan broni. Gdy byli już go-towi, Śmiały Sokół począł

wydawać polecenia:

- Moi bracia Długa Lanca i Żółty Brzuch udadzą się teraz w dół rzeki Cheyenne aż do jej połączenia z Bois de Sioux. Tam będziecie wypatrywali nadejścia parszywych psów czipewejskich.

Gdy pojawią się, jeden z was pospieszy powiadomić nas o tym, a drugi będzie dalej ich śledził, lecz musi również przybyć tutaj przed atakiem na osadę. Natomiast Długi Pazur oraz Mały Niedź-

wiedź pójdą z po\wrotem tą samą drogą, którą przybyliśmy i również dotrą do brzegu Bois de Sioux. Jeżeli wrogowie nie nadejdą z tamtej strony do jutra do południa, moi bracia szybko powrócą do nas. Ja i Przebiegły Wąż pójdziemy tymczasem na przeszpiegi ku osadzie Szejenów, aby na miejscu obmyślić plan uprowadzenia koni. Podczas mojej nieobecności Czarny Wilk obejmuje dowództwo. W razie konieczności zmiany kryjówki Czarny Wilk musi w jakiś sposób uprzedzić nas o tym. Niech wszyscy moi bracia mają szeroko otwarte oczy i uszy, wrogo'wie są przed nami i za nami!

Po wydaniu poleceń Śmiały Sokół oddał pod opiekę Przeciętej Twarzy swoją torbę podróżną oraz broń, pozostawiając sobie je-dynie nóż zatknięty za rzemieniem przewiązanym w pasie. Prze-rzucił

przez ramię na plecy wilczą skórę wyprawioną w całości, po czym gotów do drogi stanął przed Przebiegłym Wężem, koń-czącym przygotowania do wyruszenia na zwiad.

- Niech mój brat także zabierze wilczą skórę, przyda się pod-czas podchodów - powiedział. -

Przecięta Twarz teraz nie po-trzebuje swojej, więc może wypożyczyć.

***Wkrótce trzy pary zwiadowców opuściły biwak. Jedna udała***

60

się w kierunku wschodnim, druga na południowy wschód, a trze-cia ku zachodowi.

Przebiegły Wąż podążał o kilka kroków za Śmiałym Sokółem. Przez jakiś czas szli ścieżkami wydeptanymi wzdłuż brzegu rzeki, który dość stromo opadał ku wodzie. Obydwaj uważnie przepatrywali zachodni horyzont. Naraz Przebiegły Wąż przystanął.

- Niech Śmiały Sokół spojrzysz bardziej na południowy zachód!

Widać dymy ognisk! - zawołał cicho.

Śmiały Sokół natychmiast zatrzymał się i spojrział we wskazywanym przez Przebiegłego Węża kierunku. Marszczył czoło, coraz bardziej natężał wzrok, lecz dopiero po dłuższej chwili dostrzegł kilka nikłych szarych smużek dymu na jasnym tle nieba.

- Hough\ Masz bardzo bystry wzrok - powiedział z uznaniem. - Dopiero teraz spostrzegłem dymy!

Osada Szejenów leży bardziej na południu, niż sądzili zwiadowcy.

- Zapewne tak wygina się zakole rzeki - dodał Przebiegły Wąż. - Teraz możemy pójść wprost w kierunku dymów, brzegiem rzeki droga będzie dłuższa.

- Słusznie radzi mój brat - przywodził Śmiały Sokół. - Do osady Szejenów musimy podejść od strony prerii, na samym brzegu rzeki na pewno kręci się wiele kobiet i dzieci.

Zagłębili się w step. Dzięki bliskości rzeki tu i tam rosły kępy karłowatych krzewów, które mogły ułatwić podchody oraz ukrycie się w razie niebezpieczeństwa. Śmiały Sokół i Przebiegły Wąż szli na południowy wschód, dopóki dymy z osady nie zostały poza nimi na północy-zachodzie. Wtedy dopiero zawrócili na północ w kierunku osady. Teraz podchodzili do niej od strony stepu. Naraz obydwaj przystanęli jednocześnie. Pomiędzy nimi a osadą począł wznosić się nad stepem długi tuman kurzawy.

- Hough\ Znaczna gromada ludzi podąża wprost na nas! - pierwszy odezwał się Śmiały Sokół.

- Szejenowie albo też może Czipewejowie uprzedzili nas i właśnie okrążają osadę - niepewnie powiedział Przebiegły Wąż.

- To nie są Czipewejowie, którzy idą pieszo tak jak my - zaprzeczył Śmiały Sokół. - Ci tutaj zbyt szybko zbliżają się do nas. To kopyta końskie i włóki ciągnięte przez nie po suchej ziemi wzniesają taką kurzawę! To są Szejenowie, którzy wyjechali ze swojej osady w kierunku otwartego stepu.

61

- Szybko szukajmy kryjówek, jadą prosto na nas, jeśli mają z sobą psy, będziemy zgubieni! -

ostrzegł Przebiegły Wąż.

- Musimy ukryć się pod wiatr do nadjeżdżających - rzekł

Śmiały Sokół rozglądając się wokoło.

- Wiatr wieje ze wschodu, więc ukryjmy się w krzewach po zachodniej stronie od nadjeżdżających wrogów - dodał Przebiegły Wąż.

Nisko pochyleni pobiegli w kierunku kępy karłowatych zaro-

śli, wśród których przyczaili się skuleni. Był już na to najwyższy czas. Głuchy tętent kopyt końskich potężniał z każdą chwilą, a w chmurze pyłu można było już rozróżnić pojedynczych jeźdź-

ców. W pobliżu swej osady nie zachowywali ubezpieczonego szyku. Beładną gromada jechali wojownicy oraz garstka młodych chłopców.

### ***Na czele kawalkady galopowało na srokatych mustangach***

trzech rostrych wojowników, trzymających w uniesionych do góry dłoniach laski uderzeń, tak charakterystyczne dla żołnierskiego stowarzyszenia Szejenów, zwanego „Żołnierze Psy”. Aby dać do-wód swej odwagi oraz brawury, Żołnierz Pies, sam będąc w danej chwili faktycznie bez broni w ręku, starał się w wirze walki dotknąć laską uderzeń ciała uzbrojonego wroga, nie wyrządzając mu jakiegokolwiek krzywdy. Za taki wyczyn Indianie Wielkich Równin przyznawali najwyższe odznaczenia wojenne.

Za Żołnierzami Psami pędzili galopem wojownicy w pełnym uzbrojeniu. Prawie wszyscy posiadali długie lance, których wypo-lerowane groty migotały w słońcu. Oprócz łuków niektórzy mieli także broń palną. Nieco w tyle za dorosłymi wojownikami jechało kilkunastu młodych chłopców na koniach ciągnących włóki. Sfora na pół dzikich indiańskich psów biegła pomiędzy mustangami do-siadanymi przez młodzież.

### ***Gromada zbrojnych Szejenów, ponagląca, konie chrapliwymi***

okrzykami, przemknęła niczym wichur nie opodal ukrytych Wahpekute i zaczęła szybko niknąć w dali, ciągnąc za sobą po stepie długi tuman kurzawy.

Śmiały Sokół i Przebiegły Wąż przez dłuższy czas trwali bez ruchu śledząc niknący na południu obłok kurzawy. Zdawało się im, że wciąż jeszcze słyszą chrapliwe okrzyki szejeńskich jeź-

dźców, którzy, pędząc jak wichur, niemal otarli się o nich. Młody Przebiegły Wąż, który po raz pierwszy ujrzał tak liczną grupę wojowników galopujących na koniach, wprost popadł w zachwyt, zapominając o niebezpieczeństwie. Ochłonął dopiero, gdy poczuł

na swoim ramieniu dłoń.

- Hough! Mieliśmy szczęście! Szejenowie czują się bezpieczni na swoich ziemiach. Gnali na złamanie karku! - odezwał się Śmiały Sokół. - Gdyby jechali wolniej, ich psy na pewno zwęszyłyby nas!

- Oby tylko teraz nie napotkali nadchodzących Czipewejów!

Zdążyliby w porę ostrzec osadę. Tym samym pokrzyżowaliby również nasze plany - zafrasował się Przebiegły Wąż.

- Próżne obawy! Szejenowie pojechali na południe. Na pewno wyruszyli na polowanie, zabrali chłopców i juczne konie. Nie wróćą prędko! Tymczasem Czipewejowie, w myśl naszych rachub, powinni przybyć w te okolice o dwa wieczory później od nas, a więc dopiero pojutrze.

Nie będą mogli zwlekać z atakiem. Tak wielu obcych w pobliżu osady z łatwością mogłoby zdradzić swą obecność. Muszą dokonać napadu następnego dnia o świcie. Mamy cały wieczór na rozejrzenie się w sytuacji. Teraz podkradniemy się do osady.

Szli bardzo wolno. Bystrooki Przebiegły Wąż szedł pierwszy uważnie przepatrując okolicę, natomiast Śmiały Sokół postępował

za nim starannie zacierając ślady. Toteż dopiero około południa 63

dotarli na wzgórze, z którego już z bliska ujrzeni osadę Szejenów.

Ukryci wśród skąpych zarośli rozpoczęli obserwację.

Duża osada zbudowana była na brzegu rzeki, który w tym miejscu tworzył jakby półwysep wysunięty ku północy w rozległym zakolu Cheyenne. Ostro ścięte krawędzie brzegu opadały do wody prawie pionowymi wysokimi zboczami, dzięki czemu dostęp do osady od strony rzeki był

prawie uniemożliwiony przez samą naturę. Jedyne południowa część półwyspu przechodziła otwartą równiną w szeroki falisty step, lecz tutaj Szejenowie ubezpieczyli się wysokim wałem ziemnym.

Osada składała się z kilkudziesięciu dużych, okrągłych, wielo-rodziny domów ziemnych o owalnych dachach<sup>17</sup>. Obok nich „mieściły się schowki ziemne na zapasy żywności. Pomędzy wa-

łem obronnym a wzgórzem, na którym przyczaili się zwiadowcy Wahpekute, leżały poletka obsiane kukurydzą, dyniami, fasolą i słonecznikami. Na poletkach tu i tam było widać małe platformy wzniesione na słupach. Z nich to kobiety lub dzieci krzykiem oraz „grzechotaniem płoszyły ptactwo szukające łatwego żeru. Wzdłuż brzegu rzeki rosły karłowate krzewy owocowe. Tam widać było młode kobiety i dzieci zbierające owoce.

- Duża, bardzo duża osada - szepnął Śmiały Sokół. - Doskonałe miejsce do obrony. Czipewejowie nie będą mieli łatwego zadania.

- Duża, ludna osada - przywodził Przebiegły Wąż. - Krzątają się w osadzie, ale stąd jest zbyt daleko, żeby można było rozeznąć szczegóły.

- Podejźmy bliżej, gdy kobiety zejda z pola - powiedział Śmiały Sokół. - Spójrz! Poletka kukurydzy dochodzą niemal do wału otaczającego osadę. Pod ich osłoną z łatwością się podkrad-



niemy.

17 Szejenowie wyparci przez Dakotów z okolic jeziora Traverse (patrz notka nr 4) przenieśli się nad rzekę Cheyenne w Dakocie Północnej, gdzie założyli wielką osadę w pobliżu obecnego miasta Lisbon. Na podstawie wykopalisk archeolodzy stwierdzili, że osada składała się z około 70

wielorodzinnych dużych, okrągłych ziemianek. W podziemnych schowkach znaleziono pozostałości jarzyn, garncarstwa, kości bizonów oraz ślady kontaktów z białymi ludźmi. W latach 1780-1790 Czipewejowie dokonali napadu na osadę i zniszczyli ją całkowicie, podczas gdy większość wojowników szejeńskich przebywała na polowaniu.

## ***5 Przekleństwo złota***

- Kukurydza jest wysoka, dobrze, że jeszcze nie rozpoczęli głównych zbiorów! - szepnął

Przebiegły Wąż.

- Jeszcze przed zapadnięciem nocy musimy upewnić się, gdzie Szejenowie wypasają swe sunka wakan - powiedział Śmiały Sokół. - Jednak najpierw obserwujmy osadę.

Czas dłużył się na czatach. Słońce wreszcie zaczęło chylić się ku zachodowi. Poletka z wolna pustoszały. Kobiety powracały do domów. Szły mocno pochylone do ziemi. Prawie każda miała na plecach wiklinowy kosz naładowany plonami, przytrzymywany pasem przełożonym przez głowę na wysokości czoła. Oprócz koszy niektóre kobiety niosły także kołyski z niemowlętami. Starsza dzieciarnia szła obok matek, dźwigając dynie.

Śmiały Sokół dotknął ramienia towarzysza.

- Na polach zostały już tylko strachy na ptaki - zażartował.

- Przedzierzgnijmy się w wilki i spróbujmy podejść bliżej do osady.

Niebawem dwa „wilki” schodziły z pagórka w kierunku pobliskiego gąszczu kukurydzy. Szły czającym się chodem, przypadały do ziemi, gdy na którymś posterunku strażniczym rozbrzmiewała grzechotka płosząca ptaki kołujące nad poletkami.

Śmiały Sokół pierwszy dotarł do gąszczu zieleni, ostrożnie rozgarnął zwisające, długie liście, po czym wśliznął się pomiędzy kukurydzą. Po chwili Przebiegły Wąż znalazł się przy nim. Powoli pełzali po ziemi, nie dotykając ciałami łodyg kukurydzy. Sporo czasu upłynęło, zanim ujrzeli z bliska osadę.

## ***Od razu rzuciła się w oczy przeważająca liczba kobiet i dzieci***

18 Indianie dokonywali przeważnie dwóch zbiorów kukurydzy. Pierwszy odbywał się w połowie sierpnia i trwał od 7 do 10 dni. Wtedy zbierano część jeszcze zielonej kukurydzy, którą gotowano lub pieczono, łuskano, suszono i wsypywano do woreczków w celu przechowywania na późniejszy użytek. Drugi, główny zbiór następował we wrześniu lub na początku października. Wówczas już

zrywano dojrzałe kolby, które przenettono do osady w wiklinowych koszach. Kolby odzierane z liści przez młodych mężczyzn były wiązane w podłużne pęki (przypominające kiście bananów), które wie-szano do ususzenia na specjalnych rusztowaniach. Po ususzeniu całe rusztowanie obudowywano jakby parawanem i młócono kukurydzę cepami z drzewa bawełnianego lub jesionowego. Wyłuskane ziarna kukurydzy magazynowane były w specjalnych schowkach ziemnych. Schowek stanowiła wykopana w ziemi jama, kształtem przypominająca dzban, głęboka do 8 stóp.

66

wśród starszych mężczyzn. Niewielu wojowników przebywało obecnie w osadzie. Będąc w domu, zazwyczaj trzymali pod ręką swe ulubione najlepsze konie na wypadek nagłej potrzeby. Przywiązywali je wtedy do żerdzi umieszczonych przed ziemiankami. Żerdzie obecnie były puste.

Kobiety po powrocie z pól krzątały się wokół spraw gospodarskich. Przygotowywały wieczorny, główny posiłek dnia, lepiły naczynia z gliny bądź wyplatały wiklinowe kosze. Niektóre, starsze, szyły odzież i mokasyny, ozdabiając je paciorkami, włosami i kolcami jeżozwierza, z czego Szejenki były szczególnie znane w północnej części Wielkich Równin. Starsi mężczyźni przed chatami robili łuki i strzały, obserwując rozbawioną dzieciarnię.

Zwiadowcy Wahpekute ukryci w kukurydzy wolno pełzli wzdłuż wału. Po pewnym czasie nabrali całkowitej pewności, że niewielu w pełni sił mężczyzn przebywało obecnie w osadzie. Wreszcie ujrzeli przerwę w nasypie. Długie pale ułożone z boku zapewne służyły do barykadowania wejścia w razie niebezpieczeństwa. Teraz jednak wejście stało otworem i można było przez nie patrzeć w głąb osady. Zaledwie zwiadowcy zdążyli się przyczołgać, rozbrzmiało rżenie i parskanie koni. Zaraz też pojawiło się kilku jeźdźców. Byli to starsi chłopcy. Dwóch z nich dosiadało koni ciągnących włóki z przytroczonymi pakunkami. Jeźdźcy minęli ukrytych w pobliżu zwiadowców. Wolno oddalali się na północny wschód.

Siniały Sokół natychmiast przerwał obserwację osady. Dłonią dał znak towarzyszowi, aby podążył za nim. Przekradali się skrajem poletek, z dala omijając stanowiska strażnicze. Już prawie o zmroku wynurzyli się z gąszczy kukurydzy na otwarty step. Dopiero gdy pagórek zasłonił osadę oraz poletka, Śmiały Sokół powstał z ziemi, po czym przewiesił wilczą skórę przez ramię.

Przebiegły Wąż również podniósł się i zdjął przebranie.

- Młodzi Szejenowie zapewne udali się na pastwisko sunka wakan z prowiantem dla strażników - odezwał się Śmiały Sokół.

- Musimy podążyć za nimi, doprowadzą nas do koni. .

- Pojechali brzegiem rzeki, pewno gdzieś w pobliżu wody trzymają sunka wakan - powiedział

Przebiegły Wąż. - Gdybyś-my nie przyszli tutaj krótszą drogą przez otwarty step, sami już odkrylibyśmy miejsce wypasu.

- Ale za to teraz wiemy, że większość szejenkich wojowni-ków przebywa na polowaniu. To znacznie ułatwi nam porwanie sunka wakan. Idziemy!

Zanim mrok nocy ogarnął step, zwiadowcy doszli do brzegu rzeki, po czym podążyli w dół jej biegu. Gwiazdy rozbłysnęły na niebie, a potem srebrny księżyc wychylił się zza horyzontu. Wkrót-ce ujrzeli blask płonącego ogniska. Teraz zawrócili na południe. Dopiero po oddaleniu się od rzeki, znów przebrani w wilcze skóry, rozpoczęli podchody od strony stepu pod wiatr. Niebawem znajdowali się tylko o jeden strzał z łuku od tabunu mustangów.

Na widok kilkudziesięciu tak upragnionych koni błysk radości pojawił się w oczach zwiadowców. Przypadli w skąpych kartowa-68

tych zaroślach. Najpierw zwrócili uwagę na Szejenów pilnujących koni. Biwakowali na brzegu rzeki. Byli to nieco starsi chłopcy. W pobliżu ogniska urozmaicali sobie czas do wieczornego posiłku grą w „mokasyny”. Co chwila wybuchały śmiechy oraz okrzyki niezadowolenia. Kilka dużych, silnych, chudych psów, pochodzą-cych ze skrzyżowania owczarków z wilkami, niecierpliwie krążyło wokół ogniska, warcząc i szczerząc na siebie kły. Łakomie wysu-wały długie pyski ku opiekającemu się nad ogniem kawałowi tłu-stego mięsiwa.

Pogardliwy uśmiech pojawił się na ustach Śmiałego Sokoła.

Odwrócił się do Przebiegłego Węża i szepnął:

- Gdybym był Szejenem, kazałbym wychłostać tych młodzi-69

ków, a potem pognął do pracy razem z kobietami. Nie zasługują nawet na pchnięcie nożem!

Przebiegły Wąż skinął głową.

- Niebezpieczne są tylko ich psy. Musimy na nie bacznie uwa-zać - odparł cicho.

- Wiatr wieje od nich, teraz nie zwęszą nas - uspokoił go Śmiały Sokół. - Dopóki nie dostaną resztek jedzenia, nie ruszą się od ogniska. Są złe, bo drażni je zapach mięsa.

Umilkli. Przebiegły Wąż ciekawie spoglądał w kierunku biwa-ku. Zaintrygowany odezwał się szeptem:

- Srvtm są ci Sze jenowi?’ Nikt r1:” dogląda mięsiwa k^re samoczynnie obraca się nad ogniskiem.

- To stary zwyczaj Szejenów, zwłaszcza tych mieszkających na południu nad Missouri - wyjaśnił

Śmiały Sokół. - Właśnie oni chętnie mówią, że „sprytny mężczyzna potrafi zmusić słoń-ce i wiatr, aby pracowały dla niego”19.

Naraz przy ognisku wszczął się nieopisany tumult. Na pół dzi-kie psy, zniecierpliwione długim

oczekiwaniem na jedzenie, skończyły sobie do gardeł. Zapalczywie walcząc, wyrzuciły drewnianą miskę, do której skapywał tłuszcz z opiekane mięsiwa. Gorący tłuszcz bryztał na rozwścieczone psiska. Do głośnych gniewnych warknięć dołączyło się żałosne skowyczenie.

Szejenowie przerwali grę w „mokasyny”. Kilku schwyciło długie rzemienne bicze. Brutalnie smagane psy rozbiegły się po ste-

„ Powiedzenie Szejenów odnosiło się do wykorzystywania przez Indian Wielkich Równin słońca i wiatru do suszenia mięsa i skór zwierzęcych oraz do sposobu samoczynnego obracania przez wiatr mięsa pieczonego nad ogniskiem. Ów pomysłowy sposób opiekania mięsa polegał na tym, że w pobliżu ogniska wkopywano w ziemię grubą gałąź, której drugi, rozwidlony koniec wystawał do góry. Na tym rozwidleniu opierano długi kij, którego jeden koniec przygwożdżony był do ziemi, podczas gdy drugi wznosił się do góry tworząc z ziemią kąt ostry. Na górnym końcu kija zawieszano na długim rzemieniu kawał mięsiwa, zwisało ono nieco z boku płonącego ognia, a więc z dala od dymu. Pośrodku rzemienia przymocowywano wachlarzowatą cienką deseczkę. Dzięki niej nawet najłżejszy podmuch wiatru skręcał ramię, jednocześnie obracając mięso, gdy zaś wiatr ustawał, ramię rozkręcał się samoczynnie obracając mięso w odwrotnym kierunku. W ten sposób mięsiwo opiekało się równo ze wszystkich stron bez pomocy rąk ludzkich.

70

pie. Strażnicy już nie podjęli gry. Zaczęli chwycić konie, z których dwa objuczyli pustymi włókami. Wkrótce gromadka chłopców odjechała w kierunku osady. Pozostali na pastwisku obsiedli oryginalny rozeń. Najstarszy pokroił mięso na równe części i kolejno rozdzielił między towarzyszy. Jedli w milczeniu. Wiecznie głodne psy znów podeszły do strażników. Pomne bolesnych cięć przywarowały o kilka kroków od chłopców, śledząc błyszczącymi ślepiami każdy ich ruch.

Zwiadowcy Wahpekute nie spuszczali oka z biwaku. Przede wszystkim przeliczyli strażników pozostałych na pastwisku. Było ich trzynastu, dwunastu starszych chłopców i jeden młodzieniec, prawdopodobnie pełniący rolę dowódcy. Tj zbrojeni byli w łuki i noże, tylko ten najstarszy miał strzelbę.

Kwik koni zwrócił uwagę zwiadowców na tabun. Dopiero teraz spostrzegli, że parę mustangów, skubiąc trawę, podeszło bardzo blisko do ich kryjówki w zaroślach. Zwłaszcza jeden znajdował się już zaledwie o kilka kroków. Wyraźnie zdradzał niepokój. Co chwila wyciągał szyję i unosił łeb.

Strzygł uszami, wietrzył szeroko rozwartymi chrapami. Naraz wspiął się na tylne nogi, po czym zaczął mocno bić kopytami o ziemię. Zarżał głośno. Na to hasło najbliższe mustangi natychmiast poderwały się do panicznej ucieczki. Z miejsca pogalopowały w kierunku rzeki, pociągając za sobą cały tabun.

Śmiały Sokół natychmiast rozpoczął odwrót. Czas naglił. Strażnicy zaalarmowani przestraszeniem mustangów przerwali posiłek. Chwyтали broń jednocześnie nawołując psy, które żarłocznie rzuciły się na resztki wieczerzy. Zwiadowcy tymczasem szybko wycofywali się na południowy wschód.

Nawoływania strażników oraz naszczekiwanie psów z wolna cichły. Zwiadowcy zawrócili na północ. Niebawem usłyszeli szum rzeki. Podążyli brzegiem w kierunku kryjówki Wahpekute.

Dopiero o świcie usłyszeli odzew na krzyk stepowej sowy. Po chwili znaleźli się w gronie towarzyszy. Wśród nich od razu spostrzegli Długą Lancę, który razem z Żółtym Brzuchem miał wypatrywać Czipewejów nad brzegiem rzeki Cheyenne i Bois de Sioux.

- Dobrze, że Śmiały Sokół powrócił - powitał ich Czarny Wilk. - Długa Lanca przyniósł bardzo ważne wieści.

- Niech mój brat. Długa Lanca, mówi - rzekł Śmiały Sokół.

71

- Nie zdołaliśmy dojść do połączenia Cheyenne z Bois de Sioux - rozpoczął relację Długa Lanca. -

O wiele wcześniej natknęliśmy się na Czipewejów. Widocznie szli pospiesznie dzień i noc.

Wkrótce będą tutaj. Żółty Brzuch śledzi ich przednie straże. Tylko patrzeć jego powrotu.

- A więc Czipewejowie przybędą o jeden wieczór wcześniej, niż sądziliśmy - powiedział Śmiały Sokół. - Wobec tego musimy przyspieszyć uprowadzenie sunka wakan. Czipewejowie zapewne dokonają napadu jutro o świcie. Nie mogą zwlekać, jeżeli chcą za-skoczyć Szejenów.

Uprowadzimy sunka wakan dzisiaj w nocy, uprzedzając napad Czipewejów na osadę.

- Dotąd nie otrzymaliśmy jakiegokolwiek wiadomości od Długiego Pazura i Małego Niedźwiedzia - wtrącił Czarny Wilk.

- Może Czipewejowie idą jedną gromadą? - wtrącił Dwa Uderzenia.

- Jeżeli zamierzają okrążyć osadę, powinni się rozdzielić - odparł Śmiały Sokół. - Oby tylko Długi Pazur i Mały Niedźwiedź nie dali się odciąć od nas! Gdy słońce stanie w zenicie, musimy ruszyć ku pastwisku.

- Długi Pazur i Mały Niedźwiedź nie dadzą się zaskoczyć! - uspokoił go Czarny Wilk. - O ile nie zdążą powrócić, dołączą do nas w drodze powrotnej.

- Niech Czarny Wilk rozstawi straże - powiedział Śmiały Sokół. - Muszę teraz obmyślić plan działania.

Jeszcze przed południem powrócili Długi Pazur i Mały Niedźwiedź. Oni również nie dotarli do Bois de Sioux. Napotkali Czipewejów podążających na zachód. Wkrótce po nich przybył Żółty Brzuch, który z kolei oznajmił, że wrogowie przyczaili się w nad-rzecznych chaszczach niedaleko od

biwaku Wahpekute. Wysłali zwiadowców w kierunku osady Szejenów. Na dowód, że z bliska podpatrywał wrogów, przyniósł dwa porzucone przez nich moka-syny.

Śmiały Sokół zaraz zgromadził wokół siebie wszystkich Wahpe-kute, po czym kreśląc palcem na wygładzonym piasku plan oko-licy, zaczął mówić:

- To jest zakole Cheyenne. Tutaj my się znajdujemy. Na tym .tromym cyplu leży osada, ogrodzona wałem od strony stepu. Pra-wie do samego wału podchodzą poletka kukurydzy. Nie rozpoczęli 72

jeszcze głównych zbiorów. Tutaj, na wschód od osady trzymają sunka wakan. Kilkadziesiąt mustangów. Dozoruje ich dwunastu wyrostków i jeden starszy. Uzbrojeni są w łuki i noże. Starszy ma strzelbę. To opieszali chłopcy, nie będziemy mieli z nimi kło-potu.

- Łatwo zdobędziemy trzynaście skalpów! - ucieszył się Zie-lony Liść.

Śmiały Sokół spojrzał karcącym wzrokiem na porywczego wo-jownika i rzekł:

- Nie, nie zabijemy chłopców. Odbierzemy im broń i pozwoli-my odejść, aby mogli zaalarmować osadę.

- Hough! Czy Śmiały Sokół zapomniał, że Czipewejowie ude-rzą dopiero o świcie!?! - zaproponował

Przecięta Twarz. - Śmiały Sokół chce zabrać sunka wakan w nocy, więc Szejenowie zdążą zorganizować pościg za nami!

73

- Nie urządzą pościgu! - pewnie odparł Śmiały Sokół. - Większość wojowników Szejenów wyruszyła na łowy. Widzieliśmy jak wyjechali na otwarty step na południe. Nieprędko wrócą.

W osadzie pozostali starsi mężczyźni, kobiety i dzieci. Możemy z łatwością zabrać sunka wdkan. Umożliwiając ucieczkę z pastwis-ka młodemu strażnikom, którzy na pewno poderwą na nogi całą osadę, utrudnimy parszywym Czipewejom napad na Szejenów. W ten sposób damy się we znaki obydwóm naszym wrogom.

- Hough! Hough! Hough! - rozbrzmiały okrzyki podziwu

i radości.

Zuchwały plan napadu przedstawiony przez Śmiałego Sokoła wprost olśnił wojowników Wahpekute. Jak wszyscy Indianie Wiel-kich Równin, tak i oni lubowali się w wojennych czynach, w któ-rych śmiałość oraz szybkość działania graniczyły z zuchwalstwem i chytryością, zapewniającą sukces bez zagrożenia własnemu życiu.

Śmiały Sokół spod przymrużonych powiek z zadowoleniem ob-serwował entuzjazm Wahpekute.

Dopiero po chwili znów się ode-zwał:

- Niech moi bracia teraz uważnie słuchają. Od dokładnego wykonania moich poleceń zależy pomyślne zakończenie naszej wyprawy wojennej. Niedoświadczeni chłopcy dozorujący tabunu nie są groźni. Musimy ich rozbroić i przegnać. Wykonanie tego powierzam Przeciętej Twarzy.

Pójdą z nim: Ogon Byka, Nom'pa apa, Zielony Liść, Fruwający Ptak, Złamane Wiosło, Krzyk Puchacza, Mrugające Oko, Dwie Twarze i Szare Oczy. W miarę możliwości należy oszczędzić chłopców. Ich psy mogą okazać się groźniejsze. Zabijcie je, żeby nie przeszkadzały. Przecięta Twarz poprowadzi wojowników na zachodnią stronę pastwiska i przyczai się w nadrzecznych zaroślach. Uderzy dopiero wtedy, gdy usłyszy trzykrotny krzyk sowy. Będzie to znak, że reszta nas już opanowała tabun. To zadanie biorę na siebie. Mustangi są bardzo płochliwe, łatwo wpadają w panikę. Wtedy już nic ich nie powstrzyma. Trzeba umieć podchodzić do nich. Ze mną pójdą: Przebiegły Wąż, Żółty Brzuch, Długa Lanca i Mały Niedźwiedź. Pomogą dopilnować, żeby sunka wakan nie rozpierzchły się po stepie. Gdy opanujemy tabun, Przecięta Twarz unieszkodliwi strażników. Czarny Wilk i Długi Pazur pozostaną tutaj. Będą ubezpieczać nas od strony stepu. Musicie mieć szeroko otwarte oczy i uszy. Czipewejowie 74

są już blisko. Nie mogą nas zaskoczyć. Po opanowaniu tabunu i unieszkodliwieniu strażników wszyscy dosiadają mustangów. Ja poprowadzę tabun, moi bracia podążą po bokach i z tyłu. Czy Przecięta Twarz i Czarny Wilk wszystko dobrze zapamiętali?

- Hough! Jestem gotów! - potwierdził Przecięta Twarz.

- Hough! - jak echo przywodził Czarny Wilk.

- Teraz starannie usuńcie ślady biwaku. Zaraz ruszamy! - rozkazał Śmiały Sokół, zacierając dłonią plan okolicy narysowany na piasku.

Szli szeregiem jeden za drugim przepatrując otwarty step oraz zarośla. Idący na końcu Czarny Wilk zacierał ślady. Toteż dopiero tuż przed zmierzchem znaleźli się w bliskości pastwiska. Przypadli w wądole. Śmiały Sokół znów wyruszył na zwiad. Tym razem zabrał z sobą Przecięta Twarz i Czarnego Wilka. Na czas swej nieobecności zlecił dowództwo Żółtemu Brzuchowi.

Przebiegły Wąż siedział nieruchomo wśród milczących towarzyszy. Przymknął powieki. W

wyobraźni już widział siebie na wymarzonej sunka wakan, pędzącego w zawody z wiatrem po szerokim stepie. Tak bardzo pragnął mieć rumaka, którego żaden koń nie byłby w stanie prześcignąć! Czyżby obecnie miało już ziścić się jego najgorętsze marzenie? W uniesieniu zaczął

się modlić:

„Wszemocy Wi! Potrzebuję Twojej pomocy! Proszę Cię, pomóż mi teraz! Chcę, muszę zdobyć wspaniałego sunka wakan! Jeżeli wysłuchasz mej prośby, Wi, to podczas obrzędu Tańca Słońca odbędzie święty, ofiarny taniec!”

Długo zanosił żarliwe modły, lecz tym razem próżno nasłuchiwał łopotu skrzydeł złocistego orła, pod którego postacią już kilka-krotnie nawiedzał go Duch Opiekuńczy.

Poruszenie wśród współuczestników wyprawy przywróciło go rzeczywistości. Otworzył oczy.

Jeszcze na pół przytomny ujrzał przed sobą Śmiałego Sokoła. Zorientował się, że zwiadowcy powrócili. Otrząsnął się z niemocy. Poświata księżycowa rozjaśniała step. Gwiazdy migotały na niebie.

Śmiały Sokół przykucnął przy Przebiegłym Wężu, a przy nim Mały Niedźwiedź, Żółty Brzuch i Długa Lanca.

- Spałeś? To dobry znak! Nie denerwujesz się przed walką - cicho zagadnął Śmiały Sokół. - Teraz słuchaj uważnie! Wytropi-75

łem przodownika tabunu. Ognisty ogier o jasnej sierści nakrapia-nej ciemnymi płatami. Na zadzie z lewej strony ma wymalowany czerwony znak, otwarta dłoń z rozłożonymi palcami. Pomożesz mi okiełznać go. Pamiętasz, jak cię uczyłem? Dolną szczękę należy przewiązać rzemieniem. Nie będziesz się bał?

- Postaram się wypełnić polecenie - odparł Przebiegły Wąż.

- Umiesz obchodzić się z sunka wakan - powiedział Śmiały Sokół. - Mój bardzo szybko nabrał do ciebie zaufania. Będziesz dobrym jeźdźcem. Teraz jednak obydwaj będziemy mieli do czy-nienia z obcymi końmi. Należy podchodzić do nich pewnie, bez obawy. One od razu to wyczuwają. Jeżeli uda się nam opanować przodownika tabunu, reszta pójdzie gładko.

- Nie zawiodę Śmiałego Sokoła - szepnął Przebiegły Wąż dumny z wyróżnienia. »

- Ufam ci, przygotuj arkany! Przecięta Twarz i Czarny Wilk już wydają rozkazy wojownikom.

Zaraz zaczynamy!

Na znak Śmiałego Sokoła pierwsza wyruszyła grupa Przecię-tej Twarzy, której zadaniem było unieszkodliwienie młodych Sze-jenów. Miała ona najdłuższą drogę do przebycia, ponieważ musiała podkraść się do brzegu rzeki od zachodniej strony.

Teraz czas oczekiwania jeszcze bardziej dłużył się Przebiegłemu Wężowi. Nękał go niepokój.

Dlaczego Duch Opiekuńczy nie dał mu jakiegokolwiek znaku, że jego prośby zostały wysłuchane?

Czyżby przyrzeczona ofiara była zbyt mała? A może...

Rozmyślania Przebiegłego Węża przerwał Śmiały Sokół, który właśnie odezwał się:

- Już możemy wyruszać! Czarny Wilk i Długi Pazur niech postępują w pewnej odległości za nami i ubezpieczają od strony stepu. Gdy usłyszycie tętent tabunu, bądźcie gotowi. Przebiegły Wąż będzie jechał na końcu z sunka wakan dla was.

Chyłkiem szybko szli przez step. Wkrótce usłyszeli rzenie ko-ni. Przypadli do ziemi, dalej podkradali się na czworakach. Wresz-cie znaleźli się w karłowatych zaroślach na skraju pastwiska.



W pobliżu kilka mustangów skubało trawę. Nieco dalej konie popasały gromadkami. Obok klaczy swawoliły żrebaki. Niektóre mustangi gziły się, tarzały w trawie.

Tak jak poprzedniej nocy, na brzegu rzeki płonęło ognisko.

Kilku młodych Szejenów gwarzyło przy nim, inni owinięci w derki 76

spali na ziemi. Zapewne ukończyli już wieczorny posiłek. Psy wy-legiwały się w pobliżu ognia.

Śmiały Sokół dotknął ramienia Przebiegłego Węża. Głową wskazał tabun. Obydwaj unieśli się z ziemi, nie spuszczając wzroku z Szejenów przy ognisku. W tej jednak chwili jeden strażnik powstał, podszedł do drzewa, o które oparta była strzelba, wziął

ją do rąk, po czym gwizdnął na psa. Wolnym krokiem ruszył na obchód tabunu.

Śmiały Sokół i Przebiegły Wąż szybko znów ukryli się w za-roślach. Śmiały Sokół mową znaków polecił Przebiegłemu Wężowi i Małemu Niedźwiedziowi, aby nakryli się wilczymi skórami, sam natomiast bacznie obserwował strażnika. Po chwili dał znak Żółtemu Brzuchowi i Długiej Lancy, żeby cofnęły się głębiej w za-rośla.

Strażnik wolnym krokiem szedł wokół pastwiska. Za nim leni-wie podążało psisko. Coraz bardziej zbliżali się do kępy zarośli. Śmiały Sokół pochylił się ku „wilkom”.

„Wy psa, ja strażnika!” - powiedział mową znaków, po czym z największą ostrożnością zaczął przekradać się przez krzewy na prawo od „wilków”.

Strażnik spokojnie minął zarośla, lecz wlokący się za nim pies nagle stanął. Uniósł do góry łeb węsząc w powietrzu. Ostrożnie, krok za krokiem ruszył ku zaroślom. Sierść jeżyła się na jego karku. Ujrzał przyczajone „wilki”. Nie okazał przestachu. Sam będąc na pół dzikim mieszańcem nieraz spotykał wilki na stepie, czasem nawet razem z nimi uprawiał łowy. Indianie nie troszczyli się o pożywienie dla psów dozorujących konie na pastwisku. Toteż zawsze zgłodniałe psiska same musiały zdobywać żer dla siebie. Teraz więc pies ujrawszy „wilki” przestał szczerzyć kły, nawet przyjaźnie machnął ogonem, ale wciąż był niezdecydowany. Od wilków zalatywał dobrze mu znany odór ludzkiego ciała. „Wilki” cofnęły się nieco głębiej w krzewy, jakby wabiły go do siebie.

Pies znów machnął ogonem, wreszcie ostrożnie wsunął długi pysk w zarośla. Udający wilka Mały Niedźwiedź tylko na to czekał. Po-derwał się z ziemi, błyskawicznym ruchem schwycił psa za gardło.

Żyłaste, twarde dłonie zacisnęły się jak kleszcze. Pies na pół zdławiony gwałtownie szarpnął się do tyłu, lecz Mały Niedźwiedź nie zluźnił morderczego uścisku. Chrapliwe skowyczenie zaraz zamar-

ło, bowiem Przebiegły Wąż szybko zarzucił wilczą skórę psu na łeb, po czym całym ciężarem swego ciała przygniótł do ziemi. Pra-wą dłonią wy dobył nóż z pochwy u pasa. Stalowe ostrze aż po rękojęść zagłębiło się pod lewą łopatką zwierzęcia. Pies przez krót-ką chwilę konwulsyjnie darł

ziemię pazurami, po czym znierucho-miał. Mały Niedźwiedź i Przebiegły Wąż wciągnęli go głębiej w zarośla.

W międzyczasie Śmiały Sokół unieszkodliwił strażnika. Gdy ten usłyszawszy szamotaninę odwrócił się ku zaroślom, Śmiały Sokół dopadł go z tyłu i uderzył krótką maczugą w głowę. Straż-

nik zwał się na ziemię jak kłoda. Żółty Brzuch i Długa Lanca bacznie obserwowali szybko następujące po sobie wydarzenia. To-też zaraz spieszyli z pomocą Śmiałemu Sokołowi. Razem z nim przenieśli ogłuszonego strażnika w zarośla. Rzucili na ziemię obok martwego psa.

- Związać go i zakneblować - cicho rozkazał Śmiały Sokół.

- Prędeż, zaraz odzyska przytomność!

Żółty Brzuch wepchnął garść trawy do ust strażnikowi, podczas gdy Długa Lanca krępował ręce i nogi.

Śmiały Sokół pochylił się nad nieprzytomnym strażnikiem. Z szyi jego zdjął naszyjnik z wysuszonych roślin, który przy po-trząsaniu wydawał cichy grzechot.

- Teraz zostawcie go! - rozkazał. - Idziemy do sunka wa-kan. Przebiegły Wąż ze mną, wy dwaj w tyle za nami! Zabierzcie strzelbę Szejena, leży tam, gdzie go ogłuszyłem!

Ruszył pierwszy. Przystanął na skraju zarośli. Najpierw spoj-rzał w kierunku ogniska, po czym zerknął na tabun. Ognisko na brzegu rzeki oddalone było o trzy lub cztery strzelania z łuku, tabun natomiast popasał o kilkanaście kroków. Większość strażni-ków już spała przy ognisku. Tylko czterech jeszcze gawędziło. Obok nich drzemały psy. Śmiały Sokół uśmiechnął się, nic nie zauważyli! Konie również nie okazywały niepokoju. Śmiały Sokół skinął na Przebiegłego Węża.

Chyłkiem podążyli do koni. Żółty Brzuch i Długa Lanca przekradali się w pewnym oddaleniu.

Śmiały Sokół z Przebiegłym Wężem już dochodzili do gromadki mustangów popasających najbliżej zarośli. Pierwszy koń zaniepo-kojony podniósł łeb. Śmiały Sokół lekko potrząsnął naszyjnikiem 78

Szejena. Cichy, znajomy grzechot uspokoił mustanga. Opuścił łeb ku trawie. Śmiały Sokó-t szedł

dalej wolnym, pewnym krokiem, potrząsając naszyjnikiem. Mustangi już nie zwracały na nich uwa-gi. Kluczyli przez pewien czas po pastwisku. Naraz Śmiały Sokół przystanął, zatrzymując również swego towarzysza.

- Patrz! Tam obok klaczy ze źrebięciem! - szepnął, dłonią wskazując kierunek.

Koń o jasnej sierści upstrzonej ciemnymi płatami ocierał swój łeb o szyję białej klaczy, przy której swawoliło źrebię.

- Idź tuż za mną - szepnął Śmiały Sokół. - Trzymaj w po-gotowiu arkan!

Śmiały Sokół podszedł do klaczy z przeciwnej strony od ogiera. Klacz zaczęła przestępować przednimi nogami z jednej na drugą, lecz Śmiały Sokół swobodnie wyciągnął rękę, zaczął łagodnie głaskać ją po szyi. Jednocześnie nieznacznie przesunął się ku przodowi klaczy, która teraz poufale trąciła go w ramię swoim kształtnym łbem. Ogier cicho zarżał, przednimi nogami począł bić o ziemię. Lada chwila mógł poderwać tabun do ucieczki. Śmiały Sokół nie spuszczał z niego oka, pieszczotliwie głaszcząc głowę klaczy lewą dłonią, wciąż przysuwał się do ogiera. Naraz stąpił o duży krok, prawą dłonią nakrył mu chrapy. Ogier aż przysiadł na zadzie, potem chciał stanąć dęba, lecz Śmiały Sokół mocniej zacisnął dłoń na chrapach, podczas gdy drugą przytrzymał dolną szczękę.

79

- Tsss, tsss, tsss... - łagodnym głosem uspokoił mustanga, po czym cicho zawołał: - Przewiąż ramię przez dolną szczękę!

Przebiegły Wąż trochę drżącymi rękami wykonał polecenie.

Luby dreszcz przeniknął jego ciało, gdy dłonie dotknęły końskiego pyska.

- Tsss, tss... - szeptał Śmiały Sokół, biorąc arkan z rąk towarzysza.

Ogier jeszcze drobił nogami, lecz wkrótce przestał się boczyć.

Śmiały Sokół zaraz poprowadził go do pobliskiej grupy mustangów. Długa Lanca i Żółty Brzuch postępowali tuż za nim. Kiełznanie następnych koni szło o wiele szybciej, ponieważ mustangi, widząc ujarzmionego swego przodownika, nie zdradzały strachu. |

Niebawem z głębi pastwiska rozbrzmiał trzykrotnie donośny, przejmujący krzyk sowy preriowej<sup>20</sup>, uważanej przez Indian za „siostrę złego ducha”. Ochryply krzyk drapieżnika tym razem był

naprawdę zapowiedzią nieszczęścia.

Zaledwie przebrzmiał złowróżbny głos, na brzegu rzeki rozgorzała walka. Bolesne skowyczenie psów rażonych strzałami z łuków zmieszało się z wojennymi okrzykami. To Przecięta Twarz ze swoimi wojownikami jak huragan uderzył na szejjeńskich strażników. Gwałtowna walka trwała bardzo krótko. Przerażeni chłopcy, smagani własnymi biczami przez Wahpekute, umykali co tchu w kierunku osady.

Śmiały Sokół już na koniu kołował wśród zaniepokojonego wrzawą tabunu, zganiając konie w zwartą gromadę. Przecięta Twarz wraz z wojownikami wkrótce dosiadali koni.

Śmiały Sokół, wprawnie kierując koniem uciskami kolan, wolno podążał w kierunku zarośli. Klacz i źrebak szły stępa tuż za J

M Sowa preriowa (*Speotylo hypogaea*) żyje w Ameryce Północnej na pre-j riach. Wierzch ciała ma czerwono-szaro-brunatny z podłużnymi, zaokrąg-J lonymi białymi plamkami, pierś szarobrunatną, brzuch żółtawobiały. Osiągnięta długość do 23 cm. Podobna jest do sowy pampasowej, żyjącej w Ameryce Południowej. Obydwa gatunki są charakterystycznymi ptakami Ameryki. Zamieszkują

podziemne nory wykopane przez ssaki, razem z ich prawo-witymi właścicielami lub z ich straszliwymi wrogami - grzechotrdkami. Żywią się owadami, płazami i gadami, zabijają nawet drobne jadowite węże. Bezpodstawne jest mniemanie, że sowy we dnie nie widzą. Odzywają się jedynie w nocy nieco ochrypłym i przejmującym głosem a w dzień tył- , ko w razie wielkiego niebezpieczeństwa. Indianie nienawidzili sów i tępili je.

80

ogierem. Reszta koni, poganiana z boków i tyłu przez Wahpekute, ruszyła w ślad za swym przodownikiem. Powoli mustangi formo-wały coraz bardziej zwartą gromadę. Śmiały Sokół co chwila zer-kał do tyłu, aby upewnić się, czy wojownicy dobrze sobie radzą z mustangami. Na samym końcu tabunu jechał Przebiegły Wąż z dwoma luzakami. Tabun stępa minął kępę zarośli.

Przebiegły Wąż zaraz wypatrzył Czarnego Wilka i Długiego Pazura. Oni również go dojrzeli.

Podał im arkany, na których prowadził mus-stangi. Po chwili w trójkę jechali za tabunem.

Gwiazdy bladły na niebie, a Śmiały Sokół wciąż prowadził ta-bun stępa. Chciał dać czas wojownikom na oswojenie się z końmi.

Wreszcie świt zaróżowił wschodni horyzont. Wtem, gdzieś w zachodniej stronie stepu, podniósł się przygłuszony przeciągły krzyk wojenny. Zanim przebrzmiał, rozległ się huk broni palnej. Odgłosy wrzawy bitewnej, napływające z zachodu, wzmagaly się z każdą chwilą. W dali, na szarym tle porannego nieba już kłębiły się czarne chmury dymu przenizane snopami czerwonych iskier.

Śmiały Sokół, zaledwie usłyszał odgłosy bitwy, znów ogarnął wzrokiem uprowadzany tabun.

Konie szły stępa zwartym szykiem. W szarym świetle poranku widać było Wahpekute jadących po bokach tabunu. Upewniwszy się, że wojownicy wykonują poprzed-nio wydane rozkazy, Śmiały Sokół krzyknął donośnie, podniósł do góry wyprostowana prawą rękę, po czym szybkim ruchem opuścił ją na wysokość ramienia, wskazując na wschód. Natychmiast roz-legły się przeraźliwe okrzyki jeźdźców. Długie bicze z suchym trzaskiem śmignęły w powietrzu. Śmiały Sokół również uderzył ogiera arkanem po zadzie. Tabun z miejsca ruszył galopem, cią-gnąc za sobą ogon kurzawy.

Przebiegły Wąż z Czarnym Wilkiem i Długim Pazurem galopo-wali w niewielkiej odległości za tabunem. Wiatr smagający twarze wprawiał ich serca w przyspieszony rytm. Upajali się widokiem ziemi szybko umykającej spod końskich kopyt. Bezkresne równiny nareszcie stanęły otworem przed nimi. Teraz poczuli się naprawdę władcami szerokiego stepu.

Przebiegły Wąż, bardziej wprawiony w konnej jeździe, wy-przedził towarzyszy. Mrużył oczy na pół oślepiiony chmurą pyłu wzniesaną przez galopujący tabun. Popędzając konia stopniowo zbliżał się do tylnej straży Wahpekute.

b Przekleństwo złota

81

Nieoczekiwanie z prawej strony rozległ się huk broni palnej.

Jedna z kul niemal otarła się o tył głowy Przebiegłego Węża. Ten odruchowo przygarbił się, chwycił obydwoma rękami końską grzywę. To ocaliło go od upadku z mustanga, który przestraszony strzałami gwałtownie rzucił się w bok. W tej samej chwili minął

Przebiegłego Węża w szalonym pędzie Czarny Wilk ponoszony przez swego wierzchowca. Czarny Wilk z trudem utrzymywał się na nim. Przebiegły Wąż usłyszał za sobą bolesny kwik konia, a po nim głuchy odgłos uderzenia o twardą ziemię. Przez ramię spojrzął za siebie. Koń Długiego Pazura leżał na ziemi, rżał żałośnie, niezdarnie przebierał nogami, lecz już nie mógł powstać. Obok dogorywającego konia leżał nieruchomo Długi Pazur. Z prawej strony biegła ku niemu gromada Czipewejów. Ich okrzyk triumfu już niósł się po stepie.

Przebiegły Wąż krótkim spojrzeniem ocenił grozę sytuacji. Indianie Wielkich Równin podejmowali nawet największe ryzyko dla zabrania z pola walki zabitego towarzysza.

Pozostawienie oznaczało oddanie w mściwe ręce wrogów, którzy mogli okaleczyć zwłoki. Wtedy zmarły przenosił się do Krainy Wielkiego Ducha jako kaleka i już na zawsze zmuszony był wieść życie upośledzo-nego wśród duchów zmarłych przodków. Wpojone od najmłodszych lat wierzenia sprawiły, że Przebiegły Wąż natychmiast ściągnął arkanem łeb mustanga i zmusił go do zawrócenia. Ostroymi smag-nięciami przynaglił do największego wysiłku.

Czipewejowie tymczasem prześcigali się, biegnąc do powalo-nego wroga. Przebiegły Wąż rozognionym wzrokiem mierzył od-ległość. Widział, że zdąży dopaść pierwszy. Z ust jego wyrwał się drapieżny okrzyk wojenny Dakotów:

- Hokka-hey! Hadree, hadree, succomee, succomee! Krew!

Przybyliśmy wypić waszą krew! -

Po chwili osadził konia tuż przy bezwładnym towarzyszu. Zeskoczył na ziemię nie wypuszczając z ręki arkanu. Pierwszy biegł

rosły Czipewej wymachując strzelbą. Za nim znajdowało się dwóch następnych, a dalej jeszcze kilku. Przebiegły Wąż sięgnął prawą ręką do kołczanu na plecach, jednym ruchem wydobył łuk i strza-

łę. Jęknęła gwałtownie zwolniona cięciwa. Strzała utkwiała głęboko w piersi najbliższego Czipeweja. Z rozkrzyżowanymi szeroko ramionami padł, na ziemię. Prawie natychmiast furknęła druga 82

strzała<sup>21</sup>. Następny wróg wrzasnął trafiony w brzuch. Trzeci zбитy z tropu odwagą przeciwnika stanął, oglądając się za siebie. Dalsi Czipewejowie również zatrzymali się, aby ponownie nabić strzel-by.

Przebiegły Wąż wykorzystał chwilowe zaskoczenie wrogów. Pochylił się nad Długim Pazurem.

Na jego ciele nie było widać rany ani śladów krwi. Oszołomiony upadkiem konia Długi Pazur właśnie westchnął głęboko i otworzył oczy.

Przebiegły Wąż ujął odzyskującego przytomność towarzysza pod ramiona i podniósł z ziemi. Ten szybko odzyskiwał pełną świadomość. Widząc powalonego własnego konia oraz dwóch Czipewejów leżących o kilka kroków od nich, od razu pojął grozę sytuacji.

Przebiegły Wąż wskoczył na wierzchowca.

- Wsiadaj za mnie! - krzyknął, pomagając Dłугоmu Pazurowi wspiąć się na mustanga.

Wierzchowiec obciążony podwójnym ciężarem wolno ruszył z miejsca. Świsnął arkan! Pojechali cwałem. Zanim Czipewejowie zdążyli ponownie nabić strzelby, uciekinierzy już znajdowali się poza zasięgiem kul.

„Indianie używali stosunkowo krótkich łuków, chociaż w czasach pieszych wędrówek nieco dłuższych. Po zdobyciu koni, podczas jazdy wierzchem łatwiej można było posługiwać się krótszym łukiem (około 105 cm długości). Łuki były używane przez Indian jeszcze przez długi czas po zdobyciu koni, ponieważ nabijanie przez lufę ówczesnych muszkietów sprawiało wiele trudności, co uniemożliwiało szybkie strzelanie. Łuki miały dużą przewagę nad muszkietami nabijanymi przez lufę. W czasie koniecznym na ponowne naładowanie muszkietu wprawny łucznik mógł wystrzelić z łuku od 12 do 15 strzał.

# VI

## *Indiańskie wesele*

Od samego rana w osadzie Wahpekute wrzało jak w pszczelim ulu. Gromadki mężczyzn żywo dyskutowały przed do-mami. Młode, zwłaszcza niezamężne dziewczęta starannie czesały włosy, wyszukiwały najlepsze stroje i ozdoby, natomiast starsze kobiety krzątały się przy ogniskach.

Wokół rozchodził się nęcący zapach gotowanych potraw. Nawet zawsze rozbawiona dzieciarnia, obecnie coraz to wybiegała przed osadę, aby sprawdzić, czy przy-padkiem nie widać wojowników powracających z wyprawy wojen-nej.

O świcie tego właśnie dnia Krzywy Nos, który był na zwiadach na pobrzeżach lasu, przybiegł do osady. W tych niespokojnych czasach Wahpekute zawsze rozsyłali zwiadowców na przespīgi.

Zwiadowca umyślnie powrócił wcześniej, aby jak najprędzej oznaj-mić wszystkim wieść wielkiej wagi dla całego plemienia. Śmia-ły Sokół już powracał z pomyślnie zakończonej, niezwyklej dla Wahpekute, wyprawy wojennej!

Wielu wojowników często wyruszało na wojenną ścieżkę. Zawsze z niepokojem oczekiwano na ich powrót. W przypadku odnie-sionego sukcesu witano radośnie, a niepowodzenie, rany i śmierć wspólnie opłakiwano, zlorzecząc wrogom oraz zaprzysięgając im pomstę. Od niepamiętnych czasów szukanie sławy i łupu na wojennych ścieżkach stało się częścią codziennego, surowego życia Wahpekute, upowszedniając tak radość, jak i ból po utracie najbliższych. Po wszystkich dotychczasowych wyprawach wojennych życie mieszkańców osady zawsze toczyło się dalej niezmiennym trybem.

Tak właśnie działo się, aż do czasu wyprawy poprowadzonej 84

przez Śmiałego Sokoła. On to po raz pierwszy w dziejach plemie-nia Wahpekute, które dotąd prowadziło tryb życia praocjów, po-stanowił sprowadzić konie. Chciał je zdobyć na Szejenach.

Wy-ruszyli z nim najwięksi junacy plemienia.

Pomyślny wynik wyprawy miał zrewolucjonizować życie wszystkich Wahpekute. Toteż przybycie Krzywego Nosa z wieścią, że Śmiały Sokół już biwakuje na skraju prerii zaledwie o pół dnia drogi od osady, wprowadziło Wahpekute w stan niezwyklego podnie-cenia.

Wiadomość o powrocie Śmiałego Sokoła przekazywał, zazwy-czaj opanowany, Krzywy Nos z pałającymi gorączką oczami.

- Widziałem ich, rozmawiałem! - mówił podniesionym gło-sem. - Mają sunka wakan, dużo sunka wakan! Kto wziął udział w wyprawie, będzie posiadał własnego sunka wakan! Wszyscy są cali, zdrowi, choć Czipewejowie zastępowali im drogę. Tehawanka zdobył imię wojenne. Wkradł się do obozu Czipewejów, podsłu-chał wodzów! Uratował życie Długiemu Pazurowi, pod którym

Czipewejowie zastrzelili sunka wakan. Przybędą tutaj przed zachodem słońca. Teraz sunka wakan odpoczywają. Tylko cztery wieczory jechali z rzeki Cheyenne!

Tak pomyślne wieści uradowały wszystkich mieszkańców osady. Postanowili godnie uczcić powrót junaków. Teraz niejeden czynił sobie wyrzuty, że nie wziął udziału w wyprawie Śmiałego Sokoła!

Emocjonująca wiadomość lotem błyskawicy dotarła do chaty wodza-szamana. Ani jeden muskuł nie drgnął w kamiennej twarzy Czerwonego Psa, gdy posłaniec przekazywał mu niezwykle wiadomości. Potem przez długi czas siedział nieruchomy, więcej podobny do posągu z brązu niż do żywego człowieka. Przymrużone oczy wpatrzone w żar ogniska nie pozwalały odgadnąć burzy zmiennych uczuć szalejącej w jego sercu.

Oto Wahpekute, którym od wielu lat przewodził, stanęli na rozstajnych drogach. Którą z nich wybiorą?! Czy nadal pozostaną na ziemi praojców, by bronić jej przed wrogami? Jeżeli Wahpekute, a za nimi również inni Santee Dakotowie, znękanymi długotrwa-

łym oporem ruszą na wspaniałych sunka wakan na otwarte równiny zachodu, któż wtedy stawi czoła podstępny białym przyby-

szom o zarośniętych ustach, których kolor skóry upodabniał do duchów, złych duchów?!

Tutaj, na ziemi praojców Dakotów, leżała największa świętość wszystkich Indian, Kraj Pokoju.

Dawno, dawno temu cztery boskie żółwie z czterech stron świata nawiedziły Ziemię straszliwymi potokami deszczu. Woda wszędzie wzbierała coraz wyżej i wyżej, grożąc zatopieniem wszystkim ludziom. Zatrwożone potopem plemiona Indian zebrały się w jednym miejscu na prerii. Wody tymczasem stale wzbierały, więc Indianie coraz bardziej ścieśniali się, aż wreszcie zbici niemal w jedną ogromną bryłę, wszyscy potonęli. Z ich martwych, stłoczonych ciał i krwi uformowała się duża, czerwona skała. Z potopu ocalała tylko jedna niewinna dziewczyna. Zdołała uczepić się nóg szybującego orła, w którego wcielił się sam Wielki Duch. Zaniósł on dziewczynę na szczyt czerwonej skały. Tam wodziła ona bliźnięta, które dały początek wszystkim ludziom na Ziemi.

Zgroza ogarniała Czerwonego Psa na samą myśl, że stopy białych intruzów mogłyby dotknąć uświęconego czerwonego kamienia, będącego ciałem i krwią Indian. Wtedy ceremonialne fajki pokoju z tajemniczego czerwonego kamienia na pewno straciłyby swą wielką czarodziejską moc.

Jakby w odpowiedzi na posępne rozmyślenia potężnego szamana żar znajdującego się przed nim ogniska nagle rozbłysnął żywym płomieniem. Ogniste jęzory poczęły przybierać dziwne kształty, aż w końcu zarysowała się w nich sylwetka mężczyzny pomalowanego w barwy wojenne.

Rysy twarzy groźnego wojownika stawały się z każdą chwilą coraz wyraźniejsze. Był to Tehawanka, ukochany wnuk i duma potężnego szamana. Płomienie ogniska wystrzelały coraz wyżej, a razem z nimi olbrzymia postać wojownika. Na dużym pióropuszu na jego głowie mieniły się odbłaski ognia, dłonie silnie obejmowały wojenną maczugę Dakotów...

Szaman spoglądał wprost w oczy wnuka, jakby chciał prze-



‘ Legenda o powstaniu czerwonego kamieniołomu Pipestone nawiązuje do biblijnego Wielkiego Potopu, o którym mówią liczne legendy Indian Ameryki Północnej i Południowej. Istnieją także inne wersje legendy o kamieniołomie Pipestone. Wspominali je: Henry Wadsworth Longfellow, George Catlin oraz Henry Rowe Schoolcraft (odkrywca źródeł Missisipi).

86

niknąc jego najtajniejsze myśli. W oczach wojownika gorzały ogniste płomienie, lecz wzrok był zimny, bezlitosny. Usta z wolna rozchyliły się, jakby za chwilę miał z nich rozbrzmieć straszliwy okrzyk wojenny Dakotów.

- Wnuku mój... wojna, a więc wojna! - bezdźwięcznie szepnął Czerwony Pies. Dręczące myśli natychmiast rozwiały się ra-zem z niknącym w płomieniach zarysem wojownika.

Szaman jeszcze przez jakiś czas siedział bez ruchu. Wreszcie westchnął głęboko, już całkowicie przytomnym wzrokiem rozejrzał się po ziemiance.

Na to tylko czekała jego wnuczka, Poranna Rosa. Zaraz podbiegła do niego i przykucnęła z boku.

- Ojczy mój, Tehawanka wraca! Zdobył wojenne imię! Teraz zwą go Przebiegły Wąż. Nadał mu je Śmiały Sokół!

Czerwony Pies uśmiechnął się do ulubienicy, po czym zapytał:

- Gdzież to podziewa się Mem'en gwa? Czy może czeka przy wrotach na Przebiegłego Węża?

Poranna Rosa klasnęła w dłonie i roześmiała się.

- Mem'en gwa stroi się - powiedziała. - Wszystkie dziew-czeta szykują się na powitanie wojowników.

- Więc nie trać czasu i ty, moja córko - rzekł rozweselony szaman. - Wydaje mi się, że nie tylko powrót brata tak bardzo cię raduje?

Poranna Rosa zapłoniona pobiegła w głąb ziemianki. Zniknęła za zasłoną, gdzie zaraz rozległy się dziewczęce przekomarzania.

Szaman przywołał swe żony, by zarządzić ucztę na powitanie wojowników.

Dopiero na krótko przed zachodem słońca dzieciarnia wypatru-jąca przed wrotami osady powrotu junaków wbiegła z krzykiem pomiędzy chaty.

„Jadą! Jadą! Jadą!” - rozlegały się zewsząd wołania, do któ-rych zaraz dołączyło się szczekanie sfory psów.

Wahpekute wylegli przed domy. Od chaty wodza aż do wrót w ostrokołe otaczającym osadę ustawili się gęstymi szpalerami młodzi i starzy, kobiety, dziewczyny, wszyscy ubrani w najlepsze stroje. Wybitniejsi wojownicy wystąpili w pełnym uzbrojeniu oraz z przyznanymi im przez radę starszych odznaczeniami. Toteż wielu nosiło wpięte we włosy orle pióra, niektórzy przywdziali całe 87

pióropusze. Dzieciarnia, jak zwykle prawie naga, próbowała zdo-bywać sobie najlepsze miejsca na czele szpaleru, aby nic nie uro-nić z tak niezwykłego widowiska.

Przed obszerną ziemianką wodza-szamana zebrali się członko-wie rady starszych, a. wkrótce sam Czerwony Pies stanął na czele i dostojników plemienia. Na jego widok przycichła wrzawa, bowiem potężny szaman przywdział ceremonialny, czarodziejski pió-ropusz z orlich piór, w którym na obydwóch skroniach znajdowały się oryginalne rogi bizona. Takie odznaczenie mieli prawo nosić tyl-ko nieliczni, bardzo zasłużeni mężczyźni, obdarzeni nadnaturalną mocą. Szaman ubrany był

również w obrzędową koszulę z jeleniej skóry, obramowaną na szwach i u dołu kępami ludzkich włosów. W rękach dzierżył szamański bębenek. Strój wodza-szamana uzmysłowił wszystkim wielką wagę niezwykłego wydarzenia.

Obłok kurzawy szybko zbliżał się do osady. Niebawem już było słychać potężniejący z każdą chwilą tętent koni. Wreszcie groma-da jeźdźców pełnym galopem minęła wrota i wpadła pomiędzy zabudowania. Przeciągly triumfalny okrzyk wojenny rozbrzmiał donośnie. Zaledwie jeźdźcy znaleźli się w powitalnym szpalerze, ostro osadzili konie, sprawnie formując paradny szyk. Na czoło wysunął się wódz wyprawy, Śmiały Sokół. Dosiadał zdobycznego ogiera, za którym, trochę bocząc się, podążała klacz ze źrebakiem. W niewielkiej odległości za wodzem jechał wojownik z twarzą po-krytą czarnym kolorem śmierci na znak, że zabił wrogów. Na pier-siach miał zawiniątko ze świętymi przedmiotami, tak dobrze znane wszystkim Wahpekute. Toteż w powitalnym tłumie coraz rozlega-ły się wołania:

- Tehawanka! Tehawanka!

Tehawanka, czyli obecnie Przebiegły Wąż, nucił pieśń śmierci, w której przewijały się wspomnienia walki z Czipewejami, a jed-nocześnie zerkał na wystrojone kobiety, posyłające mu płomienne, pełne zachwyty spojrzenia. Z trudem ukrywał radość i dumę.

Za młodym junakiem jechali dalsi uczestnicy wyprawy, wio-dąc na arkanach po dwa luźne konie, obok których biegło kilka źrebiąt. Kawalkada przededefilowała wzdłuż szpaleru widzów, któ-rzy upojeni widokiem tyłu koni zdobytych na jednej wyprawie, hałaśliwie objawiali swój podziw i uznanie. Młode tancerki przy wtórze bębenków tańczyły i śpiewały.

88

Po dwukrotnym okrążeniu osady Śmiały Sokół poprowadził kawalkadę w kierunku chaty wodza-szamana. O kilka kroków przed Czerwonym Psem uniósł do góry prawą rękę. Jeźdźcy osa-dzili konie. Śmiały Sokół zeskoczył na ziemię. Dał znak Przebieg-łemu Wężowi, który nosił zawiniątko ze świętymi przedmiotami, aby uczynił to samo. Obydwaj zbliżyli się do rady starszych ple-mienia.

Przystanęli przed Czerwonym Psem. Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, okazując w ten właśnie sposób szacunek dostojnikom.

- Wróciliście... - pierwszy odezwał się wódz-szaman. -

Przywieźliście niezwykłą dla nas zdobycz... sunka wakan. Widzę znak śmierci na twarzy jednego z was, więc walczyliście i zwyciężyliście. Witamy was, czy wszyscy wrócili cało?

- Ojciec mój, zawiniątko ze świętymi przedmiotami, które pu-zwolileś nam zabrać na wojenną ścieżkę, skutecznie chroniło nas przed kulami zdradzieckich wrogów. Wszyscy wróciliśmy szczęśliwie - odparł Śmiały Sokół.

- Wahpekute wreszcie zdobyli pierwsze sunka wakan<sup>23</sup>. To-bie, potężny szamanie, przede wszystkim należy się udział w naszej zdobyczy.

Siniały Sokół wybrał dwa mustangi i przywiązał arkanami do żerdzi przed ziemianką Czerwonego Psa. Szmer pochwały rozległ się wśród Wahpekute. Śmiały Sokół znów stanął przed radą starszych i mówił dalej:

- Była to moja pierwsza wyprawa wojenna z wojownikami

„Niemożliwe jest ściśle ustalenie daty zdobycia koni przez Santee Dakotów. Jeszcze w 1766 r.

Santee Dakotowie w centralnej Minnesocie podróżowali łodziami, żywili się dzikim ryżem, rybami, żółwiami oraz uprawianą przez siebie kukurydzą, fasolą i dyniami, uzupełniając pokarm mięsem. Był to więc tryb życia typowy dla półosiadłych plemion pogranicza krainy jezior i lasów.

Dopiero około 1772 r. konie stały się bardziej powszechne wśród Santee Dakotów, a około 1796 r.

już całkowicie zastąpiły łodzie. Tak więc czas zdobycia koni przez Santee Dakotów mniej więcej zbieżny jest z czasem, w którym trwa akcja niniejszej powieści.

Dla porównania warto przypomnieć, że Teton Dakotowie, którzy o kilkadziesiąt lat wcześniej rozpoczęli migrację na Wielkie Równiny i dotarli aż do Gór Czarnych, Wyomingu i południowo-wschodniej Montany, już w 1700 r. nie posiadali łodzi i nie zbierali dzikiego ryżu. Prowadzili typowy tryb życia nomadów Wielkich Równin, którego podstawę stanowiły konie i bizona.

89

Wahpekute. Wszyscy byli dzielni, lecz niektórzy szczególnie przyczynili się do pomyślnego zakończenia wyprawy. W obecności rady starszych dokonam podziału łupu. Czarny Wilk, Przecięta Twarz i Przebiegły Wąż otrzymują po trzy sunka wakan. Przebiegły Wąż to nadane przeze mnie wojenne imię mojemu młodszemu bratu, Tehawance. Długi Pazur, Żółty Brzuch, Długa Lanca i Dwie Twarze wezmą po dwa sunka wakan, a wszyscy pozostali po jednym.

Żrebięta pozostają przy swoich matkach. Houghl

- Zapraszam Śmiałego Sokoła oraz wszystkich uczestników wyprawy do mojej chaty - rzekł

Czerwony Pies. - Rada star-szych chętnie ucieszy swe uszy waszymi opowiadaniem o czynach dokonanych na wojennej ścieżce. Przyjdźcie po zachodzie słońca.

Czerwony Pies odszedł. Uczestnicy wyprawy uzgodnili, że wszystkie konie zostaną odprowadzone na pobliską polanę leśną.

Przebiegły Wąż wkrótce podążył za Czerwonym Psem do

domu. Najpierw uroczyście złożył na ołtarzyku zawiniątko ze świę-

tymi przedmiotami, a potem zasiadł przy ognisku obok szamana, który bardzo był ciekaw wojennych przeżyć wnuka. Przebiegły Wąż szczegółowo opowiadał przebieg wyprawy. Co chwila przerywały mu okrzyki kobiet, które zawsze wysoko ceniły odwagę mężczyzn. Zanim zdążył ukończyć opowiadanie, w głębi osady po-częła terkotać grzechotka obwoływacza. Wkrótce terkot rozbrzmiał w pobliżu chaty szamana, a zaraz po tym słychać było donośny głos:

„Wszyscy Wahpekute słuchajcie uważnie! Śmiały Sokół, jako dowódca wyprawy przeciwko Szejenom, nadał wojownikowi Teha-wance wojenne imię Przebiegły Wąż!” Terkot grzechotki obwoływacza oddalał się i cichnął, a w chacie Czerwonego Psa wciąż jeszcze rozlegały się podniecone głosy ko-biet. Szaman wreszcie uspokoił je ruchem dłoni i odezwał się:

- Dzielnie spisałeś się, mój wnuku! Rada starszych wkrótce oceni twe czyny. Niech kolor śmierci pozostanie na twojej twarzy na dzisiejszy wieczór.

Uczta wyprawiona przez Czerwonego Psa na cześć uczestników wyprawy przeciwko Szejenom przeciągnęła się do późnej nocy.

Mimo to Śmiały Sokół zaraz po południu sprowadził z pastwiska sześć swoich koni i uwiązał je przed ziemianką. Żony Przeciętej Twarzy zaczęły objuczać konie pakunkami, w których były skóry bizonie wyprawione do szycia tipi, skóry przeznaczone na ubrania, na mokusy i różne kobiece ozdoby. Sam Śmiały Sokół przytro-czył czipewską strzelbę zdobytą podczas wyprawy.

Najbliżsi sąsiedzi widząc te przygotowania zaraz zaczęli snuć domysły, że Śmiały Sokół zamierza się żenić. Nikt też nie dziwił się, że Przecięta Twarz oraz jego żony podjęli rolę swatów. Przecięta Twarz nie miał własnego syna, lecz tylko trzy córki, więc usynowił Śmiałego Sokoła. Fakt usynowienia nakładał na niego i jego żony obowiązki rodzicielskie. W myśl zwyczajów rodzice występowali w roli swatów swego syna.

Zakładanie własnej rodziny odbywało się wśród Indian Wiel-kich Równin według ogólnie uznanych reguł. Młody mężczyzna mógł myśleć o ożenku dopiero po złożeniu dowodów, że potrafi samodzielnie troszczyć się o utrzymanie swej rodziny, a więc przy-nosić mięso upolowanej przez siebie zwierzyny i zdobywać wojen-ne łupy. Dopiero potem przez dłuższy czas zastanawiał się nad wyborem odpowiedniej dziewczyny, a gdy już powziął decyzję, prosił swoich rodziców o omówienie sprawy z rodziną wybranki. Jeżeli rodzice pochwalali wybór syna, wyruszali w swaty.

Śmiały Sokół był dobrym myśliwym oraz dzielnym wojowni-kiem. Wiele dziewcząt tęsknie wzdychało do niego, a ich ojcowie dumni byłiby z takiego zięcia. Nikt jednak nie miał wątpliwości, o kogo chodziło Śmiałemu Sokołowi. Przecież ocalił wnuczkę Czer-wonego Psa od niechybnej męczeńskiej śmierci i od tej pory oby-dwoje młodzi mieli się ku sobie. To Śmiały Sokół

wyczekiwał na nią, gdy chodziła do jeziora po wodę lub do lasu po drewno, czy też zbierać dzikie owoce. To jego flet często o zmierzchu słał tęskne umowne tony w stronę ziemianki Czerwonego Psa, wywołujące Poranną Rosę na schadzki. Nikogo nie gorszyły zaloty dzielnego Śmiałego Sokoła. Flirty uprawiane przez młodych mężczyzn były powszechnie tolerowane, w przeciwieństwie do młodych dziewcząt, nad których właściwym zachowaniem czuwały starsze kobiety. Śmiały Sokół nie był spokrewniony z Poranną Rosą, więc i pod tym względem nic nie stało na przeszkodzie w zawarciu małżeństwa<sup>24</sup>.

M Wszyscy Indianie Wielkich Równin posiadali zwyczajowe reguły, wy-kuczające zawieranie małżeństwa pomiędzy najbliższymi krewnymi, a w 90

91

Tak jak nikogo nie gorszyły zaloty Śmiałego Sokoła, tak i ni-kogo nie dziwiła wielka wartość przygotowanych przez niego przedślubnych podarunków. Poranna Rosa była skromną pracowi-tą dziewczyną, a te właśnie zalety panien były bardzo wysoko ce-nione przez Indian Wielkich Równin. Wartość materialna przed-ślubnych podarunków kandydata na męża świadczyła u Indian o wielkości szacunku dla dziewczyny oraz jej najbliższych.

Podczas gdy sąsiedzi snuli domysły i rozważali szansę na za-warcie małżeństwa przez Śmiałego Sokoła z Poranną Rosą, przed chatę wyszedł Przecięta Twarz ubrany w schludny domowy strój, a zaraz za nim pojawiły się jego trzy żony. Statecznym krokiem ruszył w głąb osady. Żony udały się za nim prowadząc objuczo-ne konie. Zatrzymali się dopiero przed sadybą Czerwonego Psa.

Kobiety przywiązały konie do palików wbitych w ziemię, po czym razem z Przeciętą Twarzą weszły do chaty.

Przybycie swatów zostało już wcześniej wypatrzone przez żo-ny szamana. Toteż Czerwony Pies i Przebiegły Wąż powitali gości w progu, po czym poprowadzili na honorowe miejsca przy ognisku. Na znak szamana jego żony usiadły przy nich, tylko Poranna Rosa i Mem'en gwa skromnie trzymały się na uboczu, ciekawie zerkając ku ognisku.

Po krótkiej grzecznościowej pogawędce Przecięta Twarz powie-dział:

- Przyszliśmy jako przyjaciele w ważnej sprawie naszego sy-na, Śmiałego Sokoła. Chciałby już rozpalić własne ognisko do-niektórych plemionach nawet pomiędzy nie spokrewnionymi członkami tego samego klanu.

Jednakże szeroko rozpowszechniony zwyczaj uwzględniał przy zawieraniu małżeństwa w większym stopniu konieczność zachowania więzi rodzinnej niż małżeńską zależność dwojga ludzi.

Tak więc w celu zachowania więzi rodzinnej wdowiec zenił się z siostrą swej zmarłej żony (sororat), a wdowa z bratem zmarłego męża (lewirat). W plemionach utrzymujących te zwyczaje mężczyzna mógł także ożenić się z córką brata własnej żony lub z siostrą ojca własnej żony.

Indianie Wielkich Równin uznawali wielożeństwo, to znaczy, że jeden mężczyzna mógł mieć kilka żon (poligynia), jednakże zazwyczaj rzadko mieli więcej niż po cztery lub pięć, a większość małżeństw była mono-gamiczna (małżeństwo jednego mężczyzny z jedną kobietą). W przypadkach wielożeństwa Indianin nie był krępowany normami sororatu, lecz przede wszystkim na następne żony brał jej siostry, uważając, że w większej zgodzie będą współżyły z sobą siostry niż kilka nie spokrewnionych kobiet.

92

mowę. Przypadła mu do serca Poranna Rosa i po jej ocaleniu stał się Wahpekute oraz naszym synem. Jest niezawodnym myśliwym, a jego pomyślna wyprawa przeciwko Szejenom dowodzi, że dobrze sobie radzi na wojennych ścieżkach. Na pewno będzie dobrym mężem.

Czerwony Pies oraz jego rodzina z uwagą wysłuchali oświadczenia, po czym jeszcze rozmawiali o nadchodzących zimowych łowach na bizona, w których po raz pierwszy Wahpekute mieli użyć koni. Wkrótce swaci pożegnali się i odeszli, pozostawiając obdane darami konie przed ziemianką szamana.

Poranna Rosa i Mem'en gwa, na uboczu szyjące mokasyny, przez cały czas przysłuchiwały się rozmowie ze swatami, gdy zaś oni wyszli, Czerwony Pies przywołał wnuczkę, w myśl dobrych obyczajów bowiem rodzice sami powiadamiali córkę o propozycji zawarcia małżeństwa.

- Córko moja, rodzice Śmiałego Sokoła wyznali, że ich syn chciałby wziąć ciebie za żonę -

odezwał się szaman. - Śmiały Sokół dał dowody swej szlachetności, jest dobrym myśliwym, odważnym wojownikiem. Na pewno potrafi troszczyć się o swą rodzinę. My nie mamy nic przeciwko niemu, lecz jedynie od twojej własnej woli zależy nasza odpowiedź. Jeżeli nie zechcesz zostać jego żoną, po prostu zwrócimy ofiarowane nam upominki i sprawa będzie zakończona.

Natomiast o ile Śmiały Sokół nie jest ci obojętny, zatrzymamy je i jutro będziesz jego żoną.

Możesz postąpić tak, jak sobie życzysz.

Czerwony Pies umilkł. Przebiegły Wąż oraz żony szamana spoglądali wyczekująco na Poranną Rosę, która, trochę zawstydzona, siedziała z nisko opuszczoną na piersi głową. Wreszcie zdobyła się na odwagę, zerknęła na brata. Na ustach Przebiegłego Węża błąkał się wesoły domyślny uśmiech. Wiedział przecież, że oprócz długu wdzięczności za ocalenie, siostra jego kochała Śmia-

łego Sokoła. Wiedział także, że w tej decydującej o jej życiu chwili szukała jego rady. Obyczaj zakazywał dorosłym braciom i siostram bezpośrednich rozmów, ale... Przebiegły Wąż na moment opuścił powieki... Poranna Rosa zrozumiała wyrażone w ten sposób przyzwolenie. Ośmielona przez ukochanego brata z kolei spojrze-

ła na dziadka. Ten również patrzył na nią rozweselonym wzrokiem, a jego żony jawnie chichotały, ubawione jej zakłopotaniem 93

Poranna Rosa znów opuściła głowę i po chwili szepnęła:

- Mój ojczu, możesz zatrzymać upominki ślubne Śmiałego So-koła...25

***Żony szamana uradowane klasnęły w dłonie, zaraz jedna przez***

drugą zaczęły pochwalać decyzję Porannej Rosy. Szaman jednak wkrótce uciszył je, po czym odezwał się:

- Poranna Roso, przywołaj swoją przyjaciółkę, Mem'en gwa.

Smutno nam będzie teraz bez ciebie w naszym domu, niech więc wszyscy nacieszymy się tobą przez dzień dzisiejszy.

Mem'en gwa trochę markotna usiadła przy Porannej Rosie. Naj-starsza żona szamana chrząknęła, a potem powiedziała:

- Mem'en gwa jest skromną, pracowitą i ładną dziewczyną, na pewno niedługo przyjdą do nas następne swaty. Pocieszy się wkrótce, chyba że nie zechce dłużej pozostać wśród Wahpekute?

Szaman spojrział najpierw na wnuka, potem zatrzymał poważny wzrok na brance czipewejskiej.

- Mój syn, Przebiegły Wąż, wprowadził do naszego domu Mem'en gwa jako gościa - odezwał się po chwili. - Zgodnie z jego wolą powiedziałem wtedy, że gdy Mem'en gwa zechce, od-25 Najbardziej rozpowszechnioną formą zawierania małżeństwa u Indian Wielkich Równin było kupno żony. Fakt kupna nie czynił z kobiety „naby-tego przedmiotu” i w niczym jej nie uwłaczał, wręcz przeciwnie, wysokość zapłaty odzwierciedlała wielkość szacunku mężczyzny dla przyszłej żony oraz jej rodziny. U niektórych plemion narzeczony zamiast zapłaty świadczył przed ślubem na rzecz przyszłych teściów różne usługi, zupełnie jak wynajęty pracownik, przez okres roku lub dwóch lat, a jeszcze w innych plemionach rodzina narzeczonego i rodzina narzeczonej obdarowywały się wzajemnie równowartościowymi upominkami z okazji zawierania więzów małżeńskich. Oprócz kupna żony praktykowano również uprowadzanie kobiet. Taka forma zawierania małżeństwa zostawała uznana przez społeczeństwo, jeżeli związek zawarty w ten sposób okazał się trwały.

Zawarcie małżeństwa nie było krępowane przepisami religijnymi ani aktami prawnymi, więc i jego rozwiązywanie nie wymagało zbyt wielkiego zachodu. W przypadku zamieszkiwania małżeństwa u rodziny męża, niezadowolony mąż po prostu wyganiał żonę z chaty z wszystkimi należącymi do niej rzeczami i kazał wracać do domu jej ojca. Natomiast gdy małżeństwo mieszało u rodziny żony, mąż zabierał swoje osobiste rzeczy (broń, ubranie, konia) i odchodził do swej rodziny. Wśród wielu plemion tak mężczyzna jak i kobieta mieli prawo rozwiązywać małżeństwo. Rozwody zdarzały się dość często, ale wierna, pracowita żona była rzadko opuszczana przez męża.

prorowadzimy ją bezpiecznie do jej plemienia. Mam tylko jedno sło-wo, ono obowiązuje nadal!

- Ojczy, już dawno powziąłem zamiar, chciałbym wziąć Mem'en gwa za żonę - powiedział

Przebiegły Wąż. - Proszę cię, zapytaj ją, czy się zgadza na to?

Czerwony Pies odczekał chwilę, po czym przemówił:

- Mem'en gwa, nasz miły gościu, posłuchaj mnie. Nie mogę zwrócić się do twoich rodziców, jak nakazuje obyczaj, więc wprost zapytuję ciebie. Czy chcesz zostać żoną Przebiegłego Węża?

Wiesz, że potrafi on troszczyć się o ciebie i o dzieci, które mu urodzisz. Nie będziesz cierpieła niedostatku. Masz wolną wolę, możesz odejść do swoich, możesz pozostać wśród nas nie będąc żoną mego wnu-ka. Twoja wola będzie przez nas wszystkich uszanowana.

- Jeżeli Przebiegły Wąż naprawdę sobie tego życzy, zostanę jego żoną - odparła Mem'en gwa bez chwili wahania.

Kobiety rozjuczyły konie pozostawione przed ziemianką. W myśl zwyczaju przedślubne podarunki narzeczonego rozdziela-ne były pomiędzy członków rodziny panny młodej. Poranna Rosa miała tylko jednego brata, więc jemu podarowała najlepszego z sześciu koni razem z czipewejką strzelbą. Drugiego konia otrzy-mał Złamane Wiosło, brat szamana, a resztę wziął

Czerwony Pies.

Nie tracąc czasu rodzina Porannej Rosy rozpoczęła wybierać najlepsze posiadane rzeczy, które przeznaczyła dla młodego mał-żeństwa. Żony szamana przygotowały nowe suknie, skóry futrza-ne do okrywania się w chłody, mokasyny zdobione kolcami jezo-zwierza, skóry na ubranie i obuwie, ozdoby kobiece, skórzane tor-by podróżne i różne drobiazgi codziennego użytku.

Wódz i szaman Wahpekute nie miał zbyt wiele do rozdawania. Jako pokojowy przywódca plemienia musiał troszczyć się o ubo-gich, mniej zaradnych, niezamężne kobiety i starców. Na nim spo-czywał obowiązek czuwania, aby nie cierpieli głodu. Pomagał w miarę sił wszystkim, którzy tej pomocy potrzebowali. Dzieląc się niemal wszystkim z innymi, sam nie był zamożny. Jako wódz i szaman nie korzystał z jakichkolwiek przywilejów, sam ze swo-ją rodziną musiał troszczyć się o żywność, pracował na równi ze wszystkimi. Jednakże Czerwony Pies i jego żony wielkodusznie obdzielili swoją wnuczkę, Poranną Rosę.

*Nazajutrz przed południem wszystkie wybrane dary zostały*

95

zapakowane do skórzanych worów, którymi objuczono cztery ko-nie. Dwa z nich dał Przebiegły Wąż, a drugie dwa ofiarował Czer-wony Pies.

Korowód ślubny wyruszył sprzed chaty szamana. Poranna Ro-sa, ubrana w najlepsze suknie, poprowadziła na arkanach obju-czone dobytkiem konie. Za nią szedł Przebiegły Wąż i Czerwony



Pies ze swymi trzema żonami, Złamane Wiosło i jego dwie żony oraz dzieci.

W pewnej odległości od chaty pana młodego powitały Poranną Rosę żony Przeciętej Twarzy z córkami. Teraz one poprowadziły juczne konie i cały korowód ślubny ku swej ziemiance. Tam czekał na nich Przecięta Twarz ze swymi i swych żon braćmi.

Przecięta Twarz oraz bracia uroczyście powitali Poranną Rosę, po czym wprowadzili ją ceremonialnie do ziemianki, w której oczekiwał ich Śmiały Sokół. Poranna Rosa usiadła przy nim przy ognisku domowym. Od tej chwili stała się żoną Śmiałego Sokoła oraz pełnoprawnym członkiem jego rodziny, tak jak swej własnej.

Starsze, zamężne kobiety z różnych rodzin Wahpekute przychodziły witać młodą mężatkę, przynosząc upominki, które zgodnie ze zwyczajem stanowiły osobistą własność każdej żony, a więc tipi oraz całe wyposażenie gospodarskie należały do kobiety. Od nich Poranna Rosa otrzymała: łóżka wyplecione z wikliny, skóry na ich przykrycie, malowane torby z twardo wyprawionej skóry, w których trzymało się zapasy żywności i ubrania, drągi służące do budowy tipi podczas podróży, skóry na tipi, kubły, warzachwie ze skorup bani oraz wiele innych użytecznych przedmiotów. Każda z odwiedzających pannę młodą zgłaszała swój udział w szy-ciu skórzanego pokrycia tipi. Czerwony Pies i Przecięta Twarz umówili się, że wspólnymi siłami obydwóch rodzin wybudują oddzielną ziemiankę dla nowożeńców.

Tego samego dnia przed wieczorem odbyły się zaślubiny Przebiegłego Węża i Mem'en gwa.

Zgodnie z obyczajami przyjętymi przez Wahpekute młoda para zamieszkała w domu rodzicielskim męża. Przebiegły Wąż z powodu nieobecności rodziców swej żony, ofiarował jej samej swe dwa zdobyczne konie. Przebiegły Wąż i Mem'en gwa również zostali obdarowani praktycznymi upominkami prawie przez wszystkich Wahpekute.

# VII

## *Łowy na mustanga 26*

Przebiegły Wąż samotnie podążał przez prerię. Twarzy jego nie pokrywały barwy wojenne, lecz mimo to był uzbrojony. Kołczan z łukiem i strzałami niósł na lewej stronie pleców, a krótką maczugę oraz czipewejski nóż miał zatknięte za rzemiennym pasem. Spod białej wilczej skóry okrywającej barki wychylała się torba podróżna przewieszona przez prawe ramię.

Pot spływał po natartym tłuszczem ciele Indianina, ale on nie zważał na zmęczenie ani na upał, z uporem wciąż podążał przed siebie, zapatrzonego w obłok kurzawy widoczny w dali.

Przeszło dwa miesiące minęły od niezwyklej wyprawy wojennej przeciwko Szejenom. Wtedy właśnie prosił Wielkiego Ducha o wspaniałego sunka wakan, którego żaden wierzchowiec nie mógłby prześcignąć. Prośby jego, mimo przyrzeczonej Wielkiemu Duchowi ofiary, nie zostały wówczas wysłuchane. Dopiero później Przebiegły Wąż zrozumiał, dlaczego tak się stało. Otóż wojownicy Szejenów zabrali najlepsze swe rumaki na dalekie łowy. Na pastwisku w pobliżu osady pozostawili tylko konie słabsze oraz przeznaczone dla kobiet do ciągnięcia włók. Toteż zawiedziony w nadziejach Przebiegły Wąż podarował swej młodej żonie konie zdobyte na Szejenach, a sam, wkrótce po ślubie, wyruszył samotnie na prerię. Postanowił schwytać dzikiego konia i ujarzmić go dla siebie.

Po wielu dniach uciążliwej, niebezpiecznej wędrówki na po-

łudniowy zachód, udało mu się wytropić tabun dzikich mustan-26 Mustangi (od hiszpańskiego mesteno - dziki) - dziczałe konie pół-nocnoamerykańskiej prerii.

Liczba ich w 1850 r. była obliczana na około 2 000 000 sztuk. W Ameryce Południowej dzikie konie zwano ciromarotiami.

## *7 Przekleństwo złota*

97

gów. Widok koni żyjących na pełnej swobodzie oszołomił go i przyprawił o szybsze bicie serca. Z

ukrycia w wądole długo wodził wzrokiem po tabunie. Mustangi były niezbyt dużymi, silnie zbudowanymi zwierzętami. Zgrabne nogi, szeroko rozwarte chrapy oraz ogniste spojrzenia świadczyły wymownie o ich odwadze i rączości. Dzięki doskonałemu przystosowaniu do surowych warunków stepowych posiadały wielką żywotność i wytrzymałość. Mogły przebiegać codziennie wiele mil i obywać się skąpą ilością wody oraz pożywienia znajdowanego na stepach.

W tabunie były mustangi różnej maści, a więc: srokacze z dużymi siwymi łatami na ciemnej skórze<sup>27</sup>, siwki nakrapiane nieregularnymi plamami gniadymi, kasztanowatymi i karymi wielko-

ci orzecha lub jabłka<sup>28</sup>, konie złotawej maści z białymi ogonami i grzywami<sup>29</sup>, bułanki złotawobrazowe z ciemnymi pręgami na grzbietach oraz jeden albinos o różowej skórze i przezroczystych oczach.

Dziki konie preriowe były z natury spokojnymi zwierzętami. Zachowywały się dobrodusznie wobec antylop, bizonów, piesków preriowych i zajęcy nie czyniących im krzywdy, natomiast bardzo obawiały się drapieżników i ludzi. Mustangi były płochliwe, czę-sto z bardzo błahych przyczyn popadały w panikę i umykały jak wiatr.

Początkowo, gdy Przebiegły Wąż pojawiał się w polu widzenia tabunu, mustangi natychmiast podrywały się do ucieczki i szybko niknęły w dali. Jednak Przebiegły Wąż cierpliwie podążał ich śla-<sup>27</sup> W języku angielskim pinto, czyli srokatę, zwane także maścią krasą lub łaciata.

Charakteryzowały się dużymi plątami gniadymi, kasztanowa-tymi lub karymi, występującymi obok plątów siwych. Gdy platy siwe rozprzestrzeniały się od brzucha do grzbietu, wtedy pinto zwany był ouero, natomiast gdy platy siwe rozprzestrzeniały się z grzbietu ku brzuchowi, pinto nazywano tobiano.

<sup>28</sup> Maść tarantowata, zwana w Ameryce Północnej appaloosa od rzeki Palouse w stanie Idaho, gdzie Indianie Nez Perce wyhodowali ten prawdziwie amerykański typ konia, często wyróżniający się białym pyskiem lub głową. Appaloosa był dużym, cięższym i silniejszym koniem niż inne mustangi, mógł nosić większe ładunki. Nez Perce jeździli wyłącznie na appaloosach.

<sup>29</sup> Tak zwane palomino, czyli izabelowate o tułowiu maści kawy z mlekiem oraz białej lub jasnej grzywie i ogonie.

darni, wciąż krążył w pobliżu tabunu zmuszając go do ciągłej czujności. Z dnia na dzień płochliwe mustangi stawały się bardziej nerwowe, widząc, że uparty wróg cierpliwie podąża za nimi. Teraz, gdy przystawały na popas czy u wodopoju, co chwila podnosiły do góry głowy, niespokojnie rozglądając się dokoła, strzygły uszami, biły kopytami w ziemię.

Przebiegły Wąż z radością obserwował zmęczenie i niepokój tabunu. Już upatrzył sobie wspaniałego sroka tego ogiera. Duże białe platy pokrywały jego grzbiet oraz zad, silnie kontrastując z karym przodem, brzuchem, smukłymi nogami i częściowo czar-ną głową. Górna część pyska wokół chrap również była biała. Ogier ten jako jeden z ostatnich zawsze rozpoczynał

ucieczkę, lecz wkrótce wysforowywał się do przodu. Umykał jak błyskawica. Przebiegły Wąż postanowił schwytać tego właśnie ogiera. Naj-pierw jednak musiał upatrzonego konia oddzielić od reszty tabunu.

Zręcznymi manewrami wciąż przeganiał mustangi w kierunku pasma wzgórz.

Mustangi nękanie w dzień i w nocy wychudły, coraz bardziej traciły siły, popadały w apatię.

Przebiegły Wąż nie mniej od nich odczuwał tiudy samotnego pościgu. Palony słońcem, trawiony głodem, nękany pragnieniem i brakiem snu upodobił się do zło-wrogo cienia złego ducha.

Czasem zdawało mu się, że padnie z wyczerpania. Czarne sępy wciąż kołowały w powietrzu nad nim, opuszczały się coraz niżej, jakby przeczuwając rychłą śmierć samotnego łowcy. Przebiegły Wąż co pewien czas podnosił głowę. Ponurym wzrokiem spoglądał na złowrogie ptaszyska.

- Wielki Wi! Nie pozwól mi zginąć teraz! Muszę zdobyć swego sunka wakan - szeptał spieczonymi gorączką ustami.

Wreszcie pewnego dnia nadzieja wkradła się do jego serca. Tropione mustangi coraz częściej zaczęły przystawać dla nabrania tchu. Teraz Przebiegły Wąż widział je niedaleko przed sobą.

Tabun dzięki jego zręcznym manewrom został wegnany w bardziej falistą okolicę w pobliżu pasma wzgórz. Tutaj rozciągały się duże zagłębienia, wądoły oraz urwiste pagórki. Wysuszona żarem słonecznym jałowa ziemia popękała z gorąca, przemieniając step w pustynię. Tylko różne zioła porastały zbocza wądołów, z których krawędzi niczym węże zwisały kaktusy.

Bliskość kredowobiałych urwisk, obramowanych zielonym pa-98

99

smem drzew, dodała sił znękanemu tabunowi i jego prześladowcy. Tam, gdzie krzewiła się roślinność w tym stepowo-pustynnym kraju, również musiała znajdować się tak upragniona woda.

> Tego właśnie dnia już od samego rana wielkie kłębiaste chmury zasnuły dotąd pogodne, rozświetlone niebo. Podświetlone z góry przez słońce przybierały wygląd olśniewająco białych wzgórz, wież i kopuł. Gdzeniegdzie pomiędzy kłębiastymi chmurami przebierały skrawki zamglonego błękitu nieba. W powietrzu nie można było wyczuć nawet choćby najlżejszego podmuchu wiatru.

***Przebiegły Wąż wolno podchodził na rozległe wzniesienie. Gdy***

wreszcie stanął na szczycie omal nie krzyknął z radości. Z przeciwnej strony wzniesienie opadało znaczną stromizną, u której stóp, wśród bujnej trawy, leniwie sączył się nikły błotnisty strumień. Przebiegły Wąż bez namysłu zsunął się po urwistym zboczu. Zrzucił wilczą skórę, torbę podróżną oraz broń. Legł na ziemi i zanurzył rozpaloną twarz w błotnistym strumieniu. Najpierw płukał usta, potem powoli napił się do syta. Wreszcie podniósł

głowę i - znieruchomiał. Na wyciągnięcie ręki ujrzał wpatrzony w niego ślepiec grzechotnika.

Duży jadowity gad zwinięty w krążek wygrzewał się na płaskim kamieniu. Zaniepokojony bliskością człowieka uniósł do gó-

100

ry łeb. Teraz rozchylił paszczę, zaczął głośno syczeć; jednocześnie potrząsał końcem ogona wydając suchy, grzechoczący dźwięk”.

Przebiegły Wąż trwał bez ruchu. Czuł ostrą woń gada. Wiedział, że grzechotniki stawały się niebezpieczne tylko wtedy, gdy przypadkowo nadepnęło się na nie, bądź dotknęło ich ciała. Nie zaczepiane przeważnie uciekały. Tak więc Przebiegły Wąż trwał bez ruchu nie mogąc wprost oderwać wzroku od zimnych bezlistnych ślepiów jadowitego gada. W rozchylonej paszczy grzechotnika widniały długie, ostre jak igły zęby, które z łatwością przebijały najgrubsze ubranie bądź skórę mokasynów, jednocześnie porażając ofiarę silnym jadem.

Naraz czarno-żółtawa osa osiadła na twarzy Przebiegłego Węża. Chwilę błąkała się na jego zaciśniętych ustach, potem podeszła tuż do lewego oka. Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy Przebiegłego Węża, który nawet teraz nie oderwał wzroku od zimnych ślepiów gada. Na szczęście osa odfrunęła tak szybko, jak przedtem nieoczekiwanie przyleciała. Kamienny bezruch człowieka uspokoił grzechotnika. Przestał syczeć, wolno zsunął się z kamienia, poruszając swym ciałem charakterystycznym dla wężyw sposób, ruszył na poszukiwanie spokojniejszego miejsca.

Przebiegły Wąż dopiero po dłuższej chwili odprężył się i odechnął z ulgą. Uniknął groźnego niebezpieczeństwa, które mogło niefortunnie zakończyć mozolny pościg za tabunem mustangów.

Umył się w strumieniu, zabrał broń, torbę podróżną oraz wilczą skórę, po czym z powrotem wszedł na wzniesienie. Od razu poczuł powiew wiatru, który pojawił się wreszcie po długich, bezwietrznych, suchych dniach. Wiatr niósł świeży, wilgotny chłód.

Był to nieomylny znak, że po niezwykle upalnym dniu zanosilo

„> Grzechotniki (rodzaj *Crotalus*) - jadowite węże żyjące wyłącznie w Ameryce. Jest ich około 15

gatunków i wiele podgatunków, z nich tylko jeden zamieszkuje suchsze obszary Ameryki Południowej, a drugi wyłącznie wyspę Aruba. Pozostałe gatunki i podgatunki żyją w Kalifornii, Arizonie, Nowadzie, Utah i Oregonie oraz w okolicznych regionach. Grzechotniki wyróżniają się posiadaniem na końcu ogona grzechotki, utworzonej z luźno połączonych, zrogowaciałych pierścieni zeschniętej skóry. Wąż, o którym mowa w niniejszej powieści, jest dobrze znanym w Ameryce gatunkiem mniejszego grzechotnika preriowego (*Crotalus viridis helleri*), współżyjącego z piaskami preriowymi w ich podziemnych osadach. Grzechotniki żywią się małymi ssakami i ptakami, a niektóre jedzą żaby i ryby.

101

się na burzowy wieczór. Ciężkie, ciemne chmury pojawiły się na horyzoncie.

Przebiegły Wąż zbiegł ze wzniesienia. Szybko podążył w górę strumienia w kierunku pobliskich, białych, urwistych pagórków. Przedtem tam właśnie pobiegły mustangi.

Pieski preriowe harcujące przed norami swych podziemnych osad hałaśliwie ujadały na widok Przebiegłego Węża. Bliżej urwisk strumień zawierał trochę więcej wody. Toteż spośród zarośli wyskoczyła antylopa. Zdziwiona przystanąła na chwilę, po czym z powrotem umknęła w gęszcz.

Znad strumienia poderwało się do lotu parę kulików 31. Ich donośny, przeciągły krzyk sprawił, że

Przebiegły Wąż zaraz wydobył łuk i strzałę. Jeden kulik prze-szyty grotem na wylot ciężko upadł na ziemię. Tuż pod nogami Przebiegłego Węża przemknął duży zając. Przebiegły Wąż dobił ptaka nożem i poniósł za nogi.

Wkrótce zatrzymał się pod urwistym zboczem wzgórza. Wokół

nad strumieniem rosły jesiony i drzewa bawełniane. Zapach dzikich róż unosił się wokoło. Przebiegły Wąż nie tracąc czasu nazbierał suchych gałązek. Za pomocą krzesiwa swej żony, które zawsze zabierał na wyprawy, rozpalił ognisko. Teraz oprawił kulika. Po-krajane na paski mięso zaczął opiekać nad ogniem. Zaryzykował j rozpalenie ogniska, mimo że już znajdował się na terenach ło- |

wieckich wrogich Paunisów. Musiał posilić się przed decydującą l rozprawą z tabunem mustangów. |

Całe niebo zaciągnęło się czarnymi chmurami. Urwiste wznie-! sienią pociemniały, step nabrał

posępnego wyglądu. W oddali glu-| cho przetoczył się potężny grzmot. Niebawem grube krople deszczu zaszeleściły w liściach drzew. Dwa duże białe wilki przebieg- : ły w pobliżu ogniska i szybko zniknęły wśród pagórków. Oślepia- ‘

jacy płomień błyskawicy przeciął czerń nieba. Trzask pioruna róż- , niósł się szerokim echem wśród urwisk. Zaraz też rozbrzmiał prze- |

31 Kulik (Numenius) - długodzioby, duży ptak brodzący z rodziny sie-wek. W Ameryce zastępuje go inny, bardzo podobny gatunek. Kulik posiada dość wysokie nogi, długi dziób lekko zagięty w dół, palce nóg u nasady spięte błoną pławną; ubarwienie szaro-płowo-brunatno-czarniawe. Żyje w okolicach błotnistych w pobliżu rzek, na wilgotnych łąkach, ugorach i pastwiskach. Żywi się owadami, drobnymi zwierzętami i roślinami. Ma głos donośny, przeciągły, mile brzmiący.

102

ciągły łoskot grzmotu. Zimny wiatr pachnący wilgocią zakołysał wysoką trawą. Strumienie deszczu przemieniły się w gwałtowną ulewę. Woda zalała ognisko. Burza rozszalała się na dobre.

Potoki wody spływające na ziemię, błyskawice, pioruny i grzmoty oszołomiły Przebiegłego Węża.

Przyczał się pod skarpą urwiska. Zalekniiony nasłuchiwał odgłosów szalejącej nawałnicy.

Szaman Czerwony Pies nieraz mówił, że grzmot był potężnym trzepotem skrzydeł wielkiego czarnego ptaka spadającego z wierzchołka góry. Gdy ptak uderzał ogromnymi skrzydłami o wodę, powstawała błyskawica. Teraz właśnie Przebiegły Wąż przypomniał sobie straszliwy los pewnego czarownika, który zwalczał

grzmoty. Pewnego razu, gdy nadchodziła burza, czarownik wybiegł

na wzniesienie uzbrojony w łuk, strzały, magiczny bęben i świstawkę ze skrzydła orła. Krzyczał,

gwizdał, bił w bęben na przemian strzelając ku niebu z łuku, aby przerazić i odegnać burzowe chmury. Obraziło to wielkiego czarnego ptaka, który uderzeniem pioruna zabił czarownika.

Przebiegły Wąż zatrwożony wspomnieniami siedział skulony pod skarpą. Z zabobonnym lękiem spoglądał w czarne niebo roz-103

dzierane co chwila oślepiającymi błyskawicami. W ich niesamowitym blasku urwiste wzgórza, drzewa i krzewy przybierały kształty jakichś legendarnych stworów, o których opowiadali starcy w długie zimowe wieczory. Posępny step wydał mu się jakimś czarodziejskim uroczyskiem. Sam Czerwony Pies zwierzył mu się w wielkiej tajemnicy, że w rozsianych tu i tam wśród stepów pasmach górskich, widział na własne oczy niezwykle zwierzęta i potwory zaklęte w kamień przez Wielkiego Ducha. Może właśnie te zwierzęta teraz wychodziły ze skał podczas nawałnicy?

Przebiegły Wąż nie mógł znać zamierzchłych dziejów ojczystego kraju, który tak bardzo ukochał.

Wszystko, czego nie rozumiał, przypisywał nadprzyrodzonym, czarodziejskim mocom. Tymczasem owe potwory zaklęte w kamienie, o których opowiadał szaman, po prostu były skamielinami już dawno wymarłych zwierząt, niegdyś żyjących na amerykańskim kontynencie<sup>32</sup>. Właśnie obszar Wielkich Równin był w zamierzchłych czasach ojczyzną niezliczonych gatunków zwierząt, z których część jeszcze żyła, gdy pierwsi łowcy z kontynentu azjatyckiego wstąpili na ląd amerykański. Po tem pierwotne zwierzęta oraz ich łowcy zniknęli w tajemniczy sposób.

<sup>s2</sup> W pradawnych czasach, po wymarciu olbrzymich gadów, przez sześćdziesiąt milionów lat na Wielkich Równinach Ameryki Północnej rozwijały się mniejsze zwierzęta: słonie, nosorożce, bizona, wielbłądy, konie, psy, bobry, leniwce olbrzymie, lwy, tygrysy szablozębe, wilki i wiele innych gatunków. Około miliona lat temu góry lodowe czterokrotnie przesunęły się z północy na południe, a potem znów cofały się. Każda inwazja lodowa spychała zwierzęta w cieplejsze strony na południe, lecz gdy lody ustępowały, zwierzęta powracały na uwolnione od nich obszary. W tych okresach następowały niezwykle przemieszczania się gatunków zwierzęcych. Konie i wielbłądy, których ojczyzną były amerykańskie Wielkie Równiny, w czasie okresowego wyłaniania się skrawków lądu w Cieśninie Beringa, zawędrowały do Azji a stamtąd do Europy. Również gdy Przesmyk Panamski wychynął z morza, konie i wielbłądy przeszły do Ameryki Południowej (do dzisiaj żyją tam lamy spokrewnione z wielbłądami). Natomiast z Ameryki Południowej przeszły do Północnej tapiry, pancerniki, kapibary i leniwce olbrzymie. Z Azji do Nowego Świata przybyły mamuty. Około dziesięciu tysięcy lat temu tajemniczy kataklizm dotknął wiele gatunków zwierząt.

Całkowicie wyginęły konie i wiele innych zwierząt, których pewne gatunki przetrwały na innych kontynentach do obecnych czasów.

Po raz drugi konie pojawiły się w Ameryce w 1519 roku, kiedy hiszpań-

ski konkwistador Cortez przywiózł do Meksyku 11 ogierów, 5 klaczy i 1 Nawałnica burzowa szalała prawie przez całą noc. Wreszcie przed samym świtem na niebie zaświeciły gwiazdy. Przebiegły Wąż zziębnięty i przemoczony wyszedł z kryjówki. Okrył się wilczą skórą, po czym ruszył w kierunku urwisk, w których jeszcze przed burzą zniknęły mustangi.

Wkrótce niebo poszarzało. Po gwałtownym nocnym deszczu nad ziemią rozpostarła się liliowa mgiełka. Ulewa zmyła ślady tabunu. Toteż gdy Przebiegły Wąż wszedł pomiędzy urwiste wzgórza, zaczął kluczyć wśród nich uważnie nadstawiając ucha. Właśnie zbliżał się do skalistej kotliny.

Wąskie wejście do niej częściowo osłaniały karłowate zarośla. Nagle z kotliny dobiegło ciche rżenie i parskanie koni.

Przebiegły Wąż zaraz przypadł do ziemi. Na czworakach podkradł się do krzaków. Serce zaczęło bić w jego piersi jak młot. Załedwie o kilkadziesiąt kroków od wejścia do kotliny parę mustangów skubało skąpą trawę. Wśród nich był także upatrzony przez Przebiegłego Węża srokaty ogier.

Poprzez unoszącą się nad ziemią mgłę widać było dalej w kotlinie inne mustangi.

Młody łowca szybko rozglądnął się w sytuacji. Z lewej strony strome, prawie prostopadłe zbocze obramowywało wąską gardziel kotliny, z prawej, równie niedostępnej, zalegały głązy oraz skalne rumowiska. Mgła jeszcze zasłaniała głąb kotliny, trudno więc było odgadnąć, czy posiadała otwarty wylot z przeciwnej strony.

Przebiegły Wąż nie namyślał się długo. Mgła była jego sprzymierzeńcem. Zrzucił na ziemię wilczą skórę, torbę podróżną, koł-

czan i rzemienne arkany. Odłożył również maczugę, pozostawiając za pasem tylko nóż. Ubrany w przepaskę biodrową oraz skórzane nogawice, przewinął się w pasie dwoma krótszymi arkanami, a dłuższy, zakończony luźną pętlą, wziął do ręki. Tak przygotowany rozpoczął podchody poprzez krzewy w stronę głązów zalegają-

zrebie. Dzięki tym koniom oraz ich potomstwu Hiszpanie podbili Amerykę Południową i Środkową. Przez długi czas Hiszpanie strzegli, koni przed Indianami. Dopiero w 1680 roku podczas powstania Pueblosów przeciwko Hiszpanom, część koni wpadła w ręce Indian, bądź

zbiegła na prerię, gdzie dała początek zdziczałym koniom preriowym. Ameryka po raz drugi stała się ojczyzną zdziczałych koni, które jeszcze żyją na jej preriach, na argentyńskich pampasach i w Wenezueli. Właśnie w Ameryce Północnej na podstawie współczesnych wykopalisk archeologicznych zdołano odtworzyć historię rozwoju ciała końskiego. Prześledzono wszystkie przemiany, jakim ulegał koń od pierwotnych rozmiarów lisa, aż do współczesnego nam zwierzęcia.

104

105

cych prawą stronę kotliny. Wkrótce był już przy głązach, pod ich osłoną przemykał dalej w kierunku mustangów.

Nastawa! bezchmurny, słoneczny ranek. Mgła z wolna unosiła się do góry. Przebiegły Wąż znalazł się na wprost pierwszej grupy mustangów. Dno kotliny było piaszczyste, usiane kamieniami.



Tylko po bokach pieniała się kępowa trawa oraz karłowate zarośla. Mustangi spokojnie skubały trawę, obgryzały krzewy. Jeszcze nie zwietryły bliskości swego prześladowcy przyczajonego o kilka kroków pomiędzy głazami.

Przebiegły Wąż z wdzięcznością pomyślał, że Wielki Duch tym razem przychylnie wysłuchał jego próśb. Nawet najłżejszy pod-much wiatru nie docierał do dna kotliny, co znacznie ułatwiło podchodzenie płochliwych koni. Trudno odgadnąć, czy Indianin nie mylił się co do wpływu nadnaturalnych mocy na przebieg łowów, w każdym razie szczęście obecnie naprawdę mu sprzyjało. Upa-trzony ogier wciąż podchodził coraz bliżej do prawego zbocza ko-tliny. Niebawem przystanął i oskubywał krzewy tuż przy głazie, za którym czatował łowca.

106

107

Przebiegły Wąż ujął w prawą dłoń zwinięty w krąg arkan za-kończony luźną pętlą, po czym, zachowując największą ostrożność, wstrzymując oddech, wspiał się na głaz. Już zupełnie z bliska widział grzbiet mustanga, który pochyliwszy łeb objadał młode pędy.

Przebiegły Wąż nie miał ani chwili do stracenia. Stał na rów-ne nogi, uniósł do góry prawą rękę, kołując arkanem ponad gło-wą dla nabrania rozmachu.

Dopiero teraz ogier nagle poderwał do góry łeb. Ognistym spojrzeniem obrzucił łowcę, rozwarł chrapy, zarżał ostrzegawczo, po czym gwałtownym ruchem cofnął się do tyłu. W tej właśnie chwili arkan świsnął w powietrzu, rozpostarta pętla na moment zawisła nad łbem mustanga i zaraz opadła na jego smukłą szyję. Dziki ogier, jak smagnięty biczem, z głośnym kwikiem podskoczył czterema nogami do góry, a następnie długim susem rzucił się do ucieczki. Przebiegły Wąż, pochylony do tyłu, całym ciężarem cia-ła wparł się stopami w głaz, lecz mimo to szarpnięty arkanem wyleciał w powietrze. Wtedy gruchnął plecami na kamienisty, roz-miękły piach. Mimo bólu nie wypuścił z rąk końca arkanu.

Cicha dotąd kotlina rozbrzmiała rzeniem, kwikiem i tętentem koni. Cały tabun umykał na złamanie karku w panicznym prze-strachu. Ogier również poderwał się do ucieczki, lecz Przebiegły Wąż, choć poszarżał na twarzy z bólu, już zdążył powstać z ziemi. Trochę pochylony ciałem do tyłu wparł się stopami w mokry piach. Ogier już w pół skoku zarył się kopytami w ziemię. Zdradziecka pętla mocno zacisnęła się na jego szyi. Ogier pochylił łeb, gwał-townymi szarpnięciami usiłował

zerwać arkan. Przebiegły Wąż ani na chwilę nie zwalniał dławiącego uścisku pętli, krok za krokiem coraz krócej ujmował arkan, podchodząc do mustanga.

Pozbawiony tchu ogier, nie mogąc zrzucić pętli, naraz zawrócił

ku swemu prześladowcy. Ucisk arkanu zelżał natychmiast, ogier z przeraźliwym kwikiem skoczył na Przebiegłego Węża, stanął

przed nim dęba, by uderzyć kopytami. Tym jednak razem Przebiegły Wąż w porę uskoczył w bok,

schwycił arkan krócej i znów mocno zacisnął pętlę. Mustang przez krótką chwilę jeszcze wierzgał nogami, ale osłabiony długą nękającą ucieczką teraz już szybko tracił siły, nie mogąc złapać tchu. W ostatnim odruchu obronnym jeszcze raz stanął dęba. Wtedy właśnie Przebiegły Wąż przy-skoczył do niego, zwolniony arkan zakreślił błyskawicznie koło w powietrzu, omotał wzniesione do góry przednie nogi. Jedno sil-ne szarpnięcie arkanu powaliło mustanga bokiem na ziemię. Te-raz każde wiergnięcie przednich nóg samoczynnie zaciskało dła-wiącą krtań pętlę.

Przebiegły Wąż szybko zdjął z pasa krótkie arkany, nie zwa-żając na niebezpieczeństwo spętał mustangowi tylne nogi. Potem związał przednie. Spętany, zdławiony ogier nie mógł już stawiać oporu. Przebiegły Wąż rozluźnił pętlę na szyi konia. Usiadł na uboczu ciężko oddychając. Potłukł

się dotkliwie podczas upadku z głazu. Na policzku miał rozciętą skórę, ręce pościerane, posinia-czone. Zaledwie trochę odpoczął, odszukał swą wilczą skórę, torbę podróżną oraz broń i położył je obok głazu. Następnie w wodzie deszczowej, nagromadzonej podczas ulewy w niszach skalnych, obmył obolałe ciało, napił się do syta. Zaraz odczuł znaczną ulgę. Rozradowany schwytaniem tak upragnionego mustanga ochoczo wspiał się na wysokie wzniesienie. Długo penetrował wzrokiem okolicę. Nie zauważył niczego podejrzanego, więc uspokojony po-wrócił do kotliny.

Ogier na widok prześladowcy próbował zerwać się z ziemi, ale za każdym razem padał bezwładnie.

Wreszcie legł zrezygnowany. Przebiegły Wąż wydobył z podróżnej torby trochę suszonego mię-sa i zaczął się posilać.

Czas wolno płynął. Słońce wznosiło się coraz wyżej, mocniej przypiekało. Przebiegły Wąż obserwował mustanga, usiłującego bezskutecznie przesunąć się w cień, widać było, że jest głodny i dręczy go pragnienie. Przebiegły Wąż co jakiś czas wspinał się na skały, lustrował okolicę, po czym wracał do kotliny. Przed

-wieczorem nazbierał chrustu na ognisko, zgromadził trochę trawy oraz młodych gałązek. Wreszcie wyjął z kołczanu łuk i strzały. Po-szedł po wodę z opróżnionym kołczanem z psiej skóry.

Wkrótce powrócił. Przy głowie mustanga wygrzebał okrągłą jamę w ziemi, wymościł ją skórzaną koszulą i w tak zaimprovizowane naczynie nalał z kołczanu wody. Spragniony mustang natychmiast uniósł łeb. Przekrwionymi ślepiami nieufnie spoglądał na człowieka.

- Pij, pij, nie zrobię ci krzywdy... - cicho rzekł Przebiegły Wąż. Zanurzył dłoń w wodzie i spryskał nią koński pysk.

Po chwili wahania mustang wypił wodę. Cicho zarżał. Wtedy Przebiegły Wąż podsunął mu wiązkę trawy i pędy krzewów. Po-108

tem jeszcze raz upewniwszy się, że w pobliżu nie ma wrogów, roz-palił ognisko. Usiadł przy nim i pilnował, aby nie wygasło. W nocy wilki buszowały w pobliżu. Ich posępne głosy niepokoiły

mustan-ga, co chwila unosił głowę, strzygł uszami, rżał cicho. Przebiegły Wąż podsunął mu pod głowę wilczą skórę, przemawiał do niego łagodnym cichym głosem.

Nadszedł ranek. Przebiegły Wąż ponownie udał się na zwiady; gdy powrócił po dłuższym czasie, ogier powitał go cichym rżeniem. Przebiegły Wąż przyniósł

wody, napił konia. Nagle szybkim ruchem nakrył dłonią chrapy, po czym kilka razy dmuchnął mu w nozdrza. Zaraz też przewiązał koniowi dolną szczękę rzemieniem. Arkan umocowany w ten sposób służył Indianom do prowadzenia wierzchowca oraz do uwiązywania go w czasie postoju, natomiast podczas jazdy kierowali koniem odpowiednimi uciskami kolan. Następnie Przebiegły Wąż rozwiązał mustangowi przednie nogi, a na tylnych zluźnił pęta. Teraz krótko ujął arkan opasujący pysk, przemawiając łagodnie pomógł koniowi powstać z ziemi.

Mustang stanął, zachwiał się na zdrętwiałych nogach. Przebiegły Wąż wykorzystał tę chwilę, narzucił mu na grzbiet wilczą skórę, którą umocował rzemieniem przełożonym przez tułów wierzchowca. Upewniony, że pęta na tylnych nogach uniemożliwią mustangowi ucieczkę, puścił go na krótki popas. Arkan włókł się za nim po ziemi. Mustang wstrząsał łbem, przebierał nogami próbując zrzucić pęta. Po paru bezowocnych próbach uspokoił się i zaczął skubać trawę.

Przebiegły Wąż przytroczył kołczan do swych pleców, zatknął

maczugę za pasem oraz przewiesił przez ramię torbę podróżną. Gotów do ruszenia w drogę podszedł do ogiera. Ten, parszkając i rżąc.

stanął dęba na tylnych nogach. Przebiegły Wąż ujął w rękę arkan uwiązany przy pysku. Przytrzymał go krótko, dłonią nakrył chrapy. Kilka razy dmuchnął w nozdrza mustanga, po czym szybko przeciął nożem pęta na tylnych nogach. Wskoczył na grzbiet. Mustang jak oparzony rzucił się w górę jednocześnie czterema nogami, wyginając w łuk grzbiet, jednak nie udało mu się pozbyć jeź-

dźca. Przygotowany na opór Przebiegły Wąż jedną ręką przytrzymał się grzywy, a drugą ostro ściągnął arkanem łeb konia, mocno ściskając boki kolanami. Przez jakiś czas ogier wierzgał, podskakiwał

Jednocześnie usiłując pyskiem dosięgnąć nogi jeźdźcy ale wkrótce zabrakło mu sił do stawiania oporu. Wtedy Przebiegły Wąż ściągnął mu arkanem głowę do dołu i zmusił do pobiegnięcia truchtem ku wylotowi kotliny.

Wyjechali na otwarty step. Ogier wstrząsał łbem, uniósł go wysoko do góry i głośno zarżał.

Jeszcze raz spróbował zrzucie Indianina ze swego grzbietu, ale nie mogąc pozbyć się go, skoczył z miejsca pełnym galopem.

Przebiegły Wąż jak urzeczony spoglądał na step szybko umykający spod kopyt ogiera. Upojony smagnięciami ciepłego wiatru począł cicho nucić swoją pieśń zwycięstwa.

# VIII

## *Żołnierze „Złamanej Strzały”*

Konie zdobyte na Szejenach oraz wspaniałe dziki sro-kacz schwytyany na prerii przez Przebiegłego Węża zmaciły do-tychczasowy tok życia w osadzie Wahpekute. Obecnie wszyscy pragnęli mieć konie. Z zazdrością spoglądano na pilnie strzeżone zdobyczne mustangi. Kobiety, do których obowiązków należało noszenie dobytku podczas polowań na prerii, zaczęły podjudzać mężczyzn do łupieżczych wypraw oraz łowów na dzikie konie.

Uporczywe podszepty kobiet podnieciły mężczyzn do działania. Indianin Równin zawsze kierował się radami swoich żon, ponieważ one były o wiele lepiej od niego zorientowane w sprawach plemienia. Powód tego był bardzo prosty. Mąż sam mógł przebywać tyl-ko w jednym miejscu na raz, podczas gdy jego kilka żon, odwie-dzając liczne kumoszki, zbierało różne wiadomości od wielu osób, dzięki czemu mogły o wszystkim dokładnie informować swego męża. Nawet rada starszych nie podejmowała ważnych decyzji w pierwszym dniu zebrania, aby dostojnicy plemienia mieli czas na zasięgnięcie rad u własnych żon. Tak więc również obecnie ko-biety sprawiły, że w osadzie często rozbrzmiewały wojenne pieś-ni wyruszających na wyprawy, które jednak, jak to bywa na woj-nie, nie zawsze kończyły się szczęśliwie. Toteż prócz marsowych śpiewów nieraz rozlegały się lamenty oraz złorzeczenia wrogom.

Wahpekute ogarnięci gorączką posiadania koni zabierali je nie tylko wrogom, lecz nawet i spokrewnionym Yankton Dakotom. Ustawiczne wyprawy wojenne narażały osadę na niebezpieczeństwo odwetu.

Wódz-szaman, Czerwony Pies, z niezadowoleniem śledził wojenne poczynania Wahpekute. Dzięki doświadczeniu, mądrości oraz wielkiej mocy szamańskiej został wybrany dawno temu na wodza pokoju. Sumiennie wywiązywał

się z ciężących na nim obowiąz-ków: dopilnowywał wykonania poleceń rady starszych, zabiegał o utrzymanie pokojowych stosunków z innymi plemionami, prze-mawiał w imieniu ogółu, przewodniczył uroczystościom religij-nym, przestrzegał terminów łowów na bizona, zasiewów oraz zbiorów, opiekował się starcami i biedakami, a szczególnie wdowami i sierotami, oraz obdarowywał wybitniejszych wojowników, aby mieć ich poparcie. Jego chata zawsze stała dla wszystkich otwo-rem. Jednak jako wódz pokoju nie mógł nikomu nakazać lub za-kazać czegokolwiek. Chociaż więc cieszył się dużym poważaniem ogółu, był zupełnie bezsilny wobec poszczególnych wojowników, z których każdy stawał się wodzem wojennym o niczym nie. ogra-niczonej władzy na organizowanej przez siebie wyprawie.

Czerwony Pies, nie mogąc zakazać wojownikom nierozważnych wypraw, ubezpieczał osadę na wypadek odwetowego napadu wro-gów. Toteż przybrała ona wygląd obozu wojennego. Wejście stale było strzeżone przez strażników, zwiadowcy w dzień i w nocy pe-netrowali okolicę, a kobiety pracowały na poletkach pod opieką zbrojnych mężczyzn. Jednocześnie Czerwony Pies wysłuchiwał słusznych skarg Yankton Dakotów, obiecując im wynagrodzenie poniesionych strat.

W takiej to sytuacji niecierpliwie oczekiwał na jesienne polowanie na bizona, które powinno położyć kres gorączkowemu poczynaniu wojennym Wahpekute.

Właśnie w czasie plemiennych łowów na bizona rada starszych polecała żołnierskiemu stowarzyszeniu „Złamane Strzały” dopilnowanie porządku i ładu. Ta indiańska policja, z chwilą otrzymania polecenia od rady starszych, przejmowała w swe ręce rządy w plemienu. Wykonując polecenie najwyższej władzy plemienia, żołnierze „Złamane Strzały” nie tylko osądzali winnych przekroczeń, lecz również natychmiast wykonywali swe surowe wyroki, którym nikt nie śmiał się sprzeciwić. Toteż Czerwony Pies z niecierpliwością oczekiwał chwili przejęcia władzy przez stowarzyszenie żołnierskie.

Indianie prowadzący półosiadły tryb życia na wschodnich krań-

cach prerii urządzali polowanie na bizona dwa razy w roku. Większe polowanie odbywało się w sierpniu lub we wrześniu. Wtedy właśnie bizona zbierały się w ogromne stada, by późną jesienią

113

wyruszyć na południe w cieplejsze strony. Po letnich wypasach na soczystej trawie dobrze odpasione samice były tłuste, a skórę ich pokrywała świeża, długa, gęsta i wełnista sierść. Dzięki temu podczas jesiennych polowań Indianie zaopatrywali się w tłuszcz oraz mięso na dłuższy okres czasu, a ze skór pokrytych futrem sporządzali okrycia zimowe. Drugie, mniejsze polowanie urządzano około kwietnia w czasie wędrówki bizonów z południa na północ. Jednak wtedy wychudzone podczas zimy zwierzęta dostarczały tylko mięsa, natomiast z liniejących w tym okresie skór o rzadkim, wytartym włosie można było sporządzać jedynie przedmioty robione z samej gołej skóry.

Sierpień dobiegał końca, a wojenne wyprawy Wahpekute odwlekały wyruszenie plemienia na jesienne łowy na bizona. Czerwony Pies kilka dni temu odbył poufną naradę z Czarnym Wilkiem, przywódcą „Złamanych Strzał”, po której dwóch członków żołnierskiego stowarzyszenia wyruszyło na południowy wschód na otwartą prerię. Obecnie Czerwony Pies oczekiwał na ich powrót. Tym razem cierpliwość jego nie została wystawiona na zbyt długą próbę. Już po pięciu dniach Czarny Wilk przyprowadził zwiadowców” do chaty wodza pokoju.

- Oto Przecięta Twarz i Dwa Uderzenia przynoszą dobre wieści - rzekł, gdy stanęli przed Czerwonym Psem.

- Ucieszcie nimi moje uszy - odparł szaman.

- Tylko o dwa dni drogi od osady zbiera się wielkie stado bizonów - powiedział Przecięta Twarz. -

Gromadzą się przed wyruszeniem na południe. Samice są tłuste, skóry pokryte grubymi futrami.

- Nieprędko odejdą, jeszcze nie widać oznak jesieni - dodał Dwa Uderzenia. - Wodę mają, trawa jest dobra.

Czerwony Pies słysząc to nachmurzył się, po czym rzekł:

- Wszyscy muszą wyruszyć na jesienne łowy. Potrzebujemy dużo mięsa oraz futer, aby ułagodzić naszych braci Yankton Da-kotów. Oby tylko rada starszych bez zwłoki uchwaliła polowanie!

Czarny Wilk uśmiechnął się nieznacznie. Wiedział równie dobrze jak szaman, że przy tak sprzyjającej pogodzie można było polować na bizona przez cały wrzesień a nawet i jeszcze później.

Szamanowi jednak chodziło o przerwanie wojennych wypraw Wahpekute po konie. Tymczasem nie wszyscy członkowie rady 114

starszych byli przeciwni poczynaniom wojowników. Czy w takiej sytuacji poprą Czerwonego Psa?

Wszystkie uchwały rady starszych musiały być podejmowane jednomyślnie, nawet pojedynczy sprzeciw stanowił przeszkodę nie do przebycia.

- Ogłoszenie plemiennego polowania przerwałoby wyprawę wojowników, którzy teraz chcą jak najszybciej zdobyć tak użyteczne sunka wakan - odezwał się Czarny Wilk po dłuższej chwili milczenia.

- Rozmawialiśmy już o tym, Czarny Wilk zna moje myśli - odparł szaman. - Wobec niebezpieczeństwa grożącego ze wschodu nie wolno dopuścić do poróżnienia plemion Dakotów.

- Wiem o tym, poprę mego brata podczas zebrania rady starszych - powiedział Czarny Wilk. - Po pomyślnym polowaniu wynagrodzimy naszym braciom Yankton Dakotom poniesione straty.

- Jeżeli rada starszych uchwali polowanie. Czarny Wilk od razu otrzyma odpowiednie polecenia i zaprowadzi ład w osadzie.

- „Złamane Strzały” zrobią, co do nich należy. Przedstawię też radzie starszych dwóch kandydatów do naszego żołnierskiego stowarzyszenia i poproszę o wyrażenie zgody na ich przyjęcie.

Zaraz po tej rozmowie Czerwony Pies powiadomił przez umyślnego” posłańca członków rady starszych o zwołaniu zebrania. Tak więc wkrótce do chaty wodza-szamana przybyli: sędziwy Biała Antylopa, który wielokrotnie przewodził wyprawom przeciwko Czipewejom i własnoręcznie zabił

jedenastu wrogów; Podcięte Gardło naznaczony grubą poziomą blizną na szyi, wstawiony walkami z Czipewejami oraz Lisami; Kongra-Tonga, czyli Wielki Kruk, współzawodniczący poważaniem ogółu z wodzem Czerwonym Psem; Burza Gradowa wciąż groźny mimo podeszłego wieku;

Zła Rana, szczyjący się zabiciem dziewięciu Szejenów; Czerwona Woda, który ciężko zraniony przez Paunisów wpław przepłynął jeziorem i ostrzegł osadę przed napadem oraz Czarny Wilk, przywódca „Złamanych Strzał”.

Czerwony Pies przenikliwym spojrzeniem obrzucił siedzącą wokół ogniska starszyznę. Burza Gradowa starannie unikał jego wzroku. To właśnie synowie Burzy Gradowej przewodzili uprowadzaniu koni Yankton Dakotom. Zła Rana gniewnie zaciskał usta.

Miał cztery żony, które wodziły rej wśród kobiet w osadzie. Biała

Antylopa także znajdował się w kłopotliwej sytuacji, ponieważ jego liczni szwagrowie wprost oszaleli na punkcie koni.

Czerwony Pies nie okazał niepewności, miał w zanadrzu spo-sób, pomagający przełamywać opór rady starszych. Odchylił więc do tyłu wysoko uniesioną głowę i trwał bez ruchu. Z wolna jego twarz szarzała, palce zaczęły uderzać w czarodziejski bębenek.

Wszyscy spojrzeli na szamana.

- Niech moi bracia słuchają uważnie, ustami moimi przema-wia Wielki Duch - cicho odezwał się szaman. - Cienie sławnych przodków w Krainie Wiecznych Łowów sprzyjają naszym zamiarom. Wszyscy Wahpekute muszą osiąść sunka wakan. Wahpekute urządzają na prerii wielkie łowy na dzikie mustangi, wtedy wszyscy od razu je zdobędą. Doświadczony Śmiały Sokół

poprowadzi łowy...

Czerwony Pies nieznacznie uchylił powieki. Zaskoczenie od-zwierciedlające się na twarzach starszyzny ucieszyło go niepomiernie. Po krótkiej chwili milczenia znów przemówił:

- Najpierw jednak Wahpekute muszą odbyć jesienne polowa-nie na bizony. Po długim upalnym lecie nadejdzie surowa zima. Blizzardy przegnają stada bizonów daleko na południe. Należy jak najprędzej zgromadzić duże zapasy tłuszczu, mięsa i futer... Widzę wielkie stado bizonów, samice są tłuste, skóry pokryte cie-płym futrem... Stado popasa zaledwie o dwa dni drogi od naszej osady. To duchy sprzyjające nam sprowadziły te bizony: Dzięki sunka wakan Wahpekute szybko zgromadzą duże zapasy tłuszczu, mięsa i skór, starczy nam nawet na ułagodzenie bratnich Yankton Dakotów. Potem Wahpekute urządzają łowy na mustangi! Tak mówi Wielki Duch...

Szaman zamilkł. Dłonie jego znieruchomiały na czarodziej-skim bębenku. Powoli opuścił głowę na piersi, ciężko westchnął. Po chwili otworzył oczy.

Rada starszych onieśmielona spoglądała na szamana. Rozmowy z duchami wywierały na Indianach niezwykle wrażenie, a stałe zagrożenie widmem głodu nie pozwalało pominąć okazji do po-myślnego odbycia jesiennych łowów. Burza Gradowa, który spodziewał się wyrzutów za napady na Yankton Dakotów, odetchnął

z ulgą. Szaman nie zganił jego synów, powiedział nawet, że całe plemię wynagrodzi straty pobratymcom. Biała Antylopa i Zła Ra-116

na również poczuli się rozgrzeszeni, więc rozpogodzili swe chmur-ne twarze.

Dzięki zręcznemu manewrowi szamana rada starszych jedno-myślnie uchwaliła łowy na bizony i zaraz zleciła „Złamanym Strzałom” przeprowadzenie polowania.

Czarny Wilk pełnym uznania wzrokiem spoglądał na Czerwo-nego Psa. On jeden domyślał się prawdy. Teraz zwrócił się do ra-dy starszych o przyjęcie do żołnierskiego stowarzyszenia Długiej Lancy i Przebiegłego Węża. Podkreślił ich wzorowe i honorowe postępowanie, skromność, poczucie obowiązku, wspaniałomyślność oraz odwagę i dzielność w obliczu niebezpieczeństwa.

Rada star-szych z uwagą wysłuchiwała rekomendacji, ponieważ żołnierze „Zła-manej Strzały” musieli cieszyć się szacunkiem i zaufaniem ogółu. Obydwaj kandydaci zostali jednomyślnie zatwierdzeni.

Wkrótce po zebraniu rady starszych Przebiegły Wąż oraz Dłu-ga Lanca zostali zaproszeni do zbornego domu żołnierzy „Złama-nej Strzały”. Serce mocno biło w piersi Przebiegłego Węża, gdy pospieszał na radosne dla niego wezwanie. Nareszcie miały się spełnić jego chłopięce marzenia!

Przystanął przed zbornym do-mem. Pałającym wzrokiem obrzucił sztandar „Złamanych Strzał” zatknięty w ziemię przed samym wejściem 3S. W tej właśnie chwili również nadszedł Długa Lanca. Razem weszli do zbornego domu.

Na skórach rozłożonych pod ścianą siedzieli żołnierze „Złama-nej Strzały”. Było ich kilkunastu, sami rośli, młodzi mężczyźni.

Miejsca na wprost wejścia do chaty zajmowali czterej oficerowie: Czarny Wilk, Przecięta Twarz, Łowca Orłów i Głos Kojota. Ciała oficerów pomalowane były na żółto. Każdy z nich nosił oficerską odznakę, to jest długi, szeroki, farbowany pas, który przez wycię-

cie na jednym końcu zakładało się przez głowę na ramiona. Nało-

żony w ten sposób pas zwisał z pleców aż na ziemię, wlokąc się po niej jak ogon. Oficerowie noszący te pasy zobowiązani byli do do-wodzenia bitwą i nie wolno było im wycofywać się z walki nawet w razie niepomysłnego jej przebiegu. Starszyzna oraz kilku żołnieM Indianie Wielkich Równin posiadali sztandary wojskowe, które zabie-rali na wyprawy wojenne.

Sztandar składał się z długiego drzewca (kija), obszytego w górnej części pasem ze skóry lub materiału, do którego przy-mocowywano pióra, godła i przedmioty uważane za święte.

117

<

rzy nosili na głowach ceremonialne pióropusze z orlich piór, upa-miętniające za pomocą odpowiednich znaków ich niezwykle czyny wojenne. Inni natomiast mieli wpięte we włosy pojedyncze pióra. Wszyscy żołnierze posiadali laski uderzeń oraz świstawki z kości skrzydłowej orła.

Czarny Wilk powstał, dał znak, aby Przebiegły Wąż i Długa Lanca przybliżyli się do niego. Włosy ułożone nad czołem w dużą szczeciniastą grzywę oraz wysoki pióropusz z trzydziestu orlich piór czyniły go pozornie jeszcze wyższym niż był w rzeczywistości. Czarny Wilk przez chwilę mierzył

badawczym wzrokiem dwóch nowych kandydatów do stowarzyszenia, po czym odezwał się:



- „Złamane Strzały” potrzebują żołnierzy posiadających sun-ka wakan. Przez długi czas uważnie śledziliśmy zachowanie się Przebiegłego Węża i Długiej Lancy. Uznaliśmy was za godnych.

przyjęcia do naszego żołnierskiego stowarzyszenia. Rada starszych plemienia zatwierdziła wasz wybór. Pamiętajcie, że sprzeniewierzenie się naszym żołnierskim prawom grozi wygnaniem na zawsze z plemienia Wahpekute! Czy chcecie przystąpić do nas?

- Chcę należeć do „Złamanych Strzał” i zawsze będę przestrzegał ich praw - odparł Przebiegły Wąż.

- Chcę być „Złamaną Strzałą”, przyrzekam sumiennie wykonać ciążące na mnie obowiązki - rzekł Długa Lanca.

- Z własnej woli przystępujecie do związku „Złamanych Strzał”. Wszyscy słyszeli, że przyrzekliście podporządkowanie się naszym żołnierskim prawom oraz posłuszeństwo dowódcom. Oto wręczam wam laski uderzeń i żołnierskie świstawki! Od tej chwili jesteście

„Złamanymi Strzałami”. Teraz ułóżcie swe włosy na głowach według naszego zwyczaju i pomalujcie ciała naszymi barwami!

Przebiegły Wąż przysiadł obok woreczków z farbami i tłuszczem. Całą twarz pokrył czerwoną farbą, po czym na każdym policzku namalował duży czarny półksiężyc, a pod oczami nakreślił

białą, poziomą, falistą linię. Następnie dwóch żołnierzy pomogło mu natrzeć włosy tłuszczem i przyciąć je z przodu w ten sposób, by nad czołem tworzyły nastroszoną grzywę. Przebiegły Wąż wpiął we włosy z tyłu głowy orle pióro. Na szyi zawiesił kościaną świstawkę uwiązaną na rzemieniu, która zarazem stanowiła amulet wojenny „Złamanych Strzał”.

Na środku zbornego domu, obok ogniska, żołnierze postawili duże drewniane misy napelnione wrzącą wodą. Przebiegły Wąż świadom surowych obyczajów „Złamanych Strzał” od razu domyślił się, że nadeszła chwila próby. Nie mylił się, bowiem żołnierze zaczęli podchodzić do buchających parą naczyń, zanurzali w nich gołe ręce. Dowcipkując wzajemnie obryzgiwali się wrzątkiem, twierdząc jednocześnie, że woda jest zimna.

lił się, że nadeszła chwila próby. Nie mylił się, bowiem żołnierze zaczęli podchodzić do buchających parą naczyń, zanurzali w nich gołe ręce. Dowcipkując wzajemnie obryzgiwali się wrzątkiem, twierdząc jednocześnie, że woda jest zimna.

Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy Przebiegłego Węża, gdy ukrop spłynął po jego ciele.

Podszedł do dymiącej misy i wolno zanurzył w niej ręce aż po łokcie. Po chwili wyjął je, uśmiechnął się i rzekł:

- Jaka zimna ta woda! Muszę trochę się ogrzać!

Usiadł blisko ogniska i dorzucił do niego kilka garści chrustu. Ogień buchnął wysokim płomieniem. Tymczasem Przebiegły Wąż przymknął oczy, z wolna nieruchomiał. Wysunął dłonie przed siebie, zanurzył w płomieniach ognia.

Żołnierze zamilkli. Zdumionym wzrokiem śledzili każdy ruch Przebiegłego Węża.

Po pełnej napięcia chwili Przebiegły Wąż zaczął wolno cofać dłonie. Płomienie ognia snuły się w powietrzu za nimi...

- Wnuk szamana... Czerwony Pies przekazuje mu swą wielką 118

119

czarodziejską moc! - szepnął Czarny Wilk do stojącego obok Przeciętej Twarzy.

- Zapewne będzie wielkim szamanem - odparł szeptem Przecięta Twarz.

Przebiegły Wąż tymczasem otrząsnął ręce z płomieni. Ode-tchnął głęboko, otworzył oczy, uśmiechnął się i rzekł:

- Woda była tak zimna, że nawet ogień z trudem ogrzał moje ręce!

Potem zaczął śpiewać pieśń „Złamanych Strzał”:

Jestem „Złamaną Strzałą”.

Mam umrzeć.

Jeżeli jest cokolwiek trudnego,

Jeżeli jest cokolwiek niebezpiecznego,

Ja mam to wykonać! u

Wkrótce z głównego placu osady dobiegło głucho dudnienie bę-bnów. Tam właśnie żołnierze

„Złamanej Strzały” mieli uczcić tań-cem wojennym przyjęcie do swego grona nowych towarzyszy.

Wahpekute zwabieni grą bębnów tłumnie wybiegli z chat. Wie-lu wspięło się na kopulaste dachy, aby nic nie uronić z podniecają-cego widowiska. Żołnierze wystąpili w bojowym szyku, ponieważ taniec wojenny miał zobrazować walkę z wyimaginowanym wro-giem.

Pierwsi szli czającym się krokiem dwaj zwiadowcy. Przysta-wali, nasłuchiwali, niby to szukając na ziemi śladów. Za nimi w pewnej odległości postępowali pomalowani na żółto oficerowie, którym przewodził Czarny Wilk. Dalej tanecznym krokiem szli gę- -‘.. siego żołnierze. W takim szyku czterokrotnie okrążyli plac. Nagle zwiadowcy przystanęli. Pochyleni ku ziemi niby to odczytywali ślady, po czym zawrócili, by zameldować dowódcy o odkryciu wroga.

M Była to pieśń żołnierskiego stowarzyszenia „Kit-fox” (Lisie Szczenię) rozpowszechnionego u Oglala Dakotów, należących do zgrupowania zachod-niego, czyli Teton Dakotów. W języku angielskim brzmiała ona:

I am a Fox.

I am supposed to die.

If there is anything difficult,

It there is anything dangerous,

That is mine to do.

Czarny Wilk zaraz stanął. Koniec zwisającego z szyi pasa przy-gwoździł swoją lancą do ziemi.

Oznaczało to, że z tego miejsca będzie dowodził walką i zwycięży lub zginie.

Na widok tak wielkiego bohaterstwa liczni widzowie wydali potężny okrzyk podziwu. Czarny Wilk tymczasem mową znaków wydawał rozkazy. Żołnierze rozpierzchli się, osłonięci magicznymi tarczami razili wrogów ciosami maczug, napinali łuki do strza-łu. Walka zaogniała się, ten i ów dopadał nieprzyjaciela, by do-tknąć go laską uderzeń i zdobyć najzaszczytniejsze wyróżnienie.

Bębny huczały coraz donośniej, coraz szybciej... Widzowie roz-grzani widokiem walki chrapliwymi okrzykami zachęcali „Złama-ne Strzały” do boju, napinali łuki, grozili wrogom lancami. Wszy-scy podziwiali pogardę śmierci Czarnego Wilka, który nie zważa-jąc na niebezpieczeństwo wciąż kierował bitwą. „Złamane Strzały” napotkawszy przeważające siły wroga zaczęli wycofywać się z pola walki. Było to zgodne z taktyką wojenną Indian. Wreszcie linia boju przybliżyła się do Czarnego Wilka. Ten jednak nie miał pra-wa wycofać się samowolnie.

Przygwoździwszy swój pas lancą do ziemi przyrzekł zwyciężyć lub zginąć. Zwolnić go z takiego zobowią-zania mógł tylko drugi oficer wyższy lub co najmniej równy rangą. Toteż gdy podbiegł do niego Głos Kojota, Czarny Wilk ode-gnał go maczugą. Wtedy stanął przed nim równy mu rangą Prze-cięta Twarz. Tym razem Czarny Wilk nie oponował, więc Przecięta Twarz wyszarpnął lancę z ziemi, po czym rzemiennym biczem smagnął policzek wodza. Dopiero teraz Czarny Wilk mógł bez ska-zy na honorze opuścić pole walki.

„Złamane Strzały” po dokonaniu taktycznego odwrotu okrążyli plac i z przeciwnej strony znów natarli niespodziewanie na nie-przyjaciół. Teraz, dzięki zaskoczeniu, szybko odnieśli zwycięstwo.

Rozległ się radosny krzyk triumfu.

Przy wtórze bębnow żołnierze „Złamanej Strzały” powracali do zbornego domu, zegnam radosnymi okrzykami widzów. W ten sposób Czarny Wilk przedstawił wszystkim Wahpekute dwóch no-wych żołnierzy.

Jeszcze przed zachodem słońca w osadzie rozbrzmiały nawoły-wania „Złamanych Strzał”:

- Wszyscy ludzie słuchajcie! Mówią do was „Złamane Strza-ły”! Rada starszych zarządziła plemienne polowanie na bizony!

Odtąd aż do powrotu z polowania wszyscy mają wykonywać polecenia „Złamanych Strzał”. Nikomu nie wolno już oddalać się z osady. O świcie rozpocznie się święty obrzęd przywoływania bizonów! Wszyscy Wahpekute mają przygotować się do wyruszenia w drogę. Tak postanowiły „Złamane Strzały”!

Zaraz po obwieszczeniu rozkazów dwóch żołnierzy stanęło na straży przy wrotach osady. Byli to: Przebiegły Wąż i Krzyk Kojota.

# IX

## *Pauniska strzala*

W obozie nad na pół wyschniętym bajorem panował o świcie nieopisany rozgardiasz. Plemię Wahpekute przygotowywało się do wyruszenia w dalszą drogę na jesienne polowanie na bizony.

Kobiety właśnie zwijały obóz. Jeszcze było widać gdzie-niegdzie sterczące żerdzie już składanych tipi obok stosów skór służących za ich pokrycie. Wokoło leżały rozrzucone drewniane misy, kamienne młotki, rogowe czerpaki i warząchwie, podróżne torby z żywnością oraz skóry bizonie.

Wszystko to szybko znikało w pękatych tobołach. Indianki sprawnie przywiązywały żerdzie namiotowe do boków psów i jucznych koni, obładowywały włóki tobołami. Psy, którym już nałożono uprząż, przysiadły zadami na ziemi i wywiesiwszy z pysków jęzory leniwie dyszały. Chłopcy uganiali się za kundlami unikającymi objuczenia. Wszędzie słychać było zrzędzące głosy starszych kobiet i krzyki dziatwy mieszejące się z naszczekiwaniem psów. Tylko wojownicy nie wzruszeni rozgardiaszem spokojnie siedzieli na ziemi przy wygasających ogniskach, trzymając w rękach arkany, którymi mieli uwiązane stojące obok wierzchowce.

Zwiadowcy jeszcze przed świtem poszli na przespiegi. Kilku żołnierzy krążyło teraz po obozie nawołując:

- Kobiety Wahpekute, słuchajcie! Mówią do was „Złamane Strzały”! Starannie wygaście ogniska!

Trawa jest sucha! Zasypcie ogień ziemią! Uważajcie na bezpieczeństwo małych dzieci! Kobiety, dobrze przytroczone włóki, starannie przywiążcie pakunki, aby później nie spadały!

Uważajcie na dzieci! Zaraz wyruszamy!

Podczas gdy jedni żołnierze zaprowadzali ład w obozie, inni już sprawiali mężczyzn do drogi.

123

- Wszyscy wojownicy słuchajcie, mówią do was „Złamane Strzały”! Oszczędzajcie w drodze sunka wakan, na których będziecie polowali! Stado jest już blisko, sunka wakan muszą być całkowicie sprawne do łowów! Nikomu nie wolno oddalać się samemu! Wszyscy mają wykonywać rozkazy „Złamanym Strzał”!

Żołnierze wkrótce zaczęli formować kolumnę podróżną. Naj-pierw, jako przednia straż, wyruszyło kilku wojowników. W pewnej odległości za nimi szły kobiety obładowane dobytkiem i ko-

łyskami z niemowlętami oraz starsze dzieci, prowadzące konie i psy ciągnące włóki z przytroczonymi pakunkami. Wahpekute nie posiadali jeszcze zbyt wiele jucznych koni, toteż Indianki dźwigające na własnych plecach dobytek zazdrośnie zerkały na nieliczne wybranki dosiadające mustangów. Wśród tych ostatnich znajdowała się Mem'en gwa, żona Przebiegłego Węża, spodziewająca się wkrótce narodzin dziecka. Jechała na koniu ciągnącym ciężko na-

ładowane włóki. Tuż za nią żony Czerwonego Psa prowadziły dwa juczne konie oraz kilka psów zaprzężonych do włók.

W środku kolumny kroczyła starszyzna plemienia. Byli to jeszcze krzepko wyglądający mężczyźni, którzy już nie wyruszyli na wojenne ścieżki, lecz mimo to cieszyli się ogólnym poważaniem ze względu na swój wiek oraz wielkie doświadczenie. Wśród nich znajdowali się członkowie rady starszych z szamanem i wodzem pokoju Czerwonym Psem. Szli statecznym krokiem otuleni ciepłymi, białymi skórami.

Po obydwóch stronach kolumny podążali małymi grupkami zbrojni wojownicy. Wierzchowce swe prowadzili na uwięzi. Gromady kundli harcowały po stepie razem z chłopcami uzbrojonymi w dziecinne łuki. Chmura pyłu ciągnęła się po prerii za wędrującym plemieniem.

\* \* \*

Przebiegły Wąż znajdował się wśród wysłanych na przespiegi zwiadowców, którym przewodził Przecięta Twarz. Zwiadowcy szli pieszo prowadząc swe mustangi.

- Lada chwila powinniśmy napotkać ślady bizonów - odezwał się Przebięty Wąż.

- Jak dotąd jeszcze nie spostrzegłem oznak popasającego stada - powiedział Przebięty Wąż, dobrze znany wszystkim z bystrości wzroku.

124

- Bizony gromadzą się na południowym zachodzie wśród rozległych pagórków, więc stąd jeszcze nie mogą być widoczne - odparł Przecięta Twarz.

- Przebywały tam kilka wieczorów temu - wtrącił Dwa Uderzenia, który razem z Przeciętą Twarzą uprzednio wytropił bizony. - Teraz musimy sprawdzić, czy nie powędrowały dalej.

- Sprawdźmy, ale najpierw upewnimy się, czy w okolicy nie ma wrogów. Zapewne wiele plemion wyruszyło na jesienne polowanie - odpowiedział Przecięta Twarz.

- Słusznie mówi mój brat - potaknął Dwa Uderzenia. - W stadzie wytropionym przez nas jest wiele samic. Nie tylko Wahpekute są łasi na nie! Skóry byków są zbyt grube i twarde do wyprawiania przez kobiety.

Wkrótce zwiadowcy natknęli się na szeroki pas ziemi zrytej racicami stada. Wokoło wały się bizonie odchody, wyglądające jak wyschnięte, okrągłe placki. Teraz coraz częściej trafiali na ślady bizonów. Wszystkie wiodły na południowy zachód. Wokół

rozbrzmiewały szczekliwe pogwizdy piesków preriowych, a cza-125

sem, Spłoszone widokiem zwiadowców, podrywały się do ucieczki szybko nogi antylopy widłorogie. W górze ponad ziemią, jak złowrogie cienie, szybowały drapieżne ptaki wypatrujące

łupu.

Zwiadowcy uważnie rozglądali się wokoło, aż wreszcie Przecięta Twarz przystanął i rzekł:

- Dotąd nie natknęliśmy się na ślady ludzi. Zapewne nie ma ich w najbliższej okolicy, skoro tyle tu zwierząt. Przekonajmy się teraz, czy bizona jeszcze przebywają tam, gdzie je wytropiliśmy.

Dosiedli koni. Ruszyli na południowy zachód. Przez jakiś czas jechali galopem, lecz gdy znaleźli się w bardziej falistej prerii powściągnęli mustangi. Liczne wzniesienia uniemożliwiały wypatrzenie stada z większej odległości, a nagłe ukazanie się jeźdźców mogłoby spłoszyć bizona. Teraz przystawali u stóp znacznie wyższych wzgórz, po czym najpierw tylko jeden z nich podkradał się na szczyt, żeby zlustrować okolicę.

Właśnie Przecięta Twarz i Przebiegły Wąż stali obok swych koni, obserwując Dwa Uderzenia ostrożnie podchodzącego na wzniesienie. Zwiadowca wychylił się z trawy na szczyt. Przez chwilę rozglądał się, osłaniając oczy dłonią, po czym znów zniknął w trawie. Potem biegnąc w dół zbocza, machał białą skórą zdjętą z ramion.

- Zobaczył stado! - odezwał się Przecięta Twarz. ;

- Tak, daje znaki! - przywodził Przebiegły Wąż. ‘

Dwa Uderzenia niebawem był już przy nich. Stłumionym głosem zawołał:

- Są bizona, są tam, gdzie je poprzednio wytropiliśmy! Przybyło ich dużo! Olbrzymie stado!

Czerwony Pies dobrze przepowiedział, że polowanie będzie pomyślne!

- Czerwony Pies jest potężnym szamanem! - z uznaniem powiedział Przecięta Twarz. - Teraz spieszymy do naszych braci z radosną wieścią!

\* \* »

Zaledwie niebo zaczęło szarzeć na wschodzie, Wahpekute zaczęli przygotowywać się do polowania. W milczeniu krzątali się w mrocznym jeszcze obozie, ponieważ ze względu na bliskość bizonów nawet na noc nie rozpalili ognisk, aby nie spłoszyć stada.

Mężczyźni, ubrani jedynie w przepaski biodrowe, sprawdzali broń i uspokajali konie uwiązane w pobliżu tipi. Jak zwykle przed walką łup polowaniem mężczyźni nic nie jedli. Sytość czyniła człowieka ociężałym oraz mniej sprawnym, a w razie jakiegoś wypadku rany były trudniejsze do leczenia. Tego ranka, zazwyczaj swarliwe kobiety, dzieciarnia, a nawet i kundły nie czyniły wrzawy. Podniosły, poważny, nawet nieco nabożny nastrój ogarniał zawsze Wahpekute podczas zbiorowych polowań, od których przebiegu zależał dalszy los całego plemienia.

Wkrótce w obozie rozległy się nawoływania żołnierzy:

- Wszyscy Wahpekute uważnie słuchajcie! Mówią do was „Złamane Strzały”! Nikomu nie wolno

opuszczać obozu bez roz-kazu „Złamanych Strzał”! Wszyscy zachowują ciszę! Bizony są blisko! Nie rozpalać ognisk! Jeźdźcy zbiorą się na południowym krańcu obozu, gdzie czeka na nich Czarny Wilk. Piesi wyruszą nieco później, poprowadzi ich Głos Kojota.

Jeszcze nie przebrzmiały nawoływania „Złamanych Strzał”, a myśliwi posiadający mustangi już gromadzili się w wyznaczo-nym miejscu. Tutaj dowodzili Czarny Wilk i Przecięta Twarz. Zebrało się około pięćdziesięciu konnych. Czarny Wilk przywołał Przebiegłego Węża i Dwa Uderzenia.

- Ruszycie pierwsi - rzekł. - Gdy ujrzycie stado, zatrzy-macie się i dacie nam znak. Będziemy jechali w pewnej odległości za wami. Jedźcie już!

Zwiadowcy zniknęli za pierwszą wyniosłością falistej prerii. Czarny Wilk dosiadł rumaka. Na to hasło wszyscy wskoczyli na konie. Czarny Wilk uniósł do góry prawą rękę, w której dzierżył laskę uderzeń, po czym machnął nią w dół do przodu. Jeźdźcy ruszyli stępą za dowódcą. Mustangi trzymane na uwięzi przez całą noc teraz rwały się do biegu, ale żołnierze „Złamanej Strza-ły” nie pozwalali nikomu wysforowywać się przed kolumnę. Ostre gwizdy świstawek przywoływały niesfornych do porządku. Czar-ny Wilk umyślnie nadawał powolne tempo jeździe, aby konie zachowały jak najwięcej sił na czas bezpośredniego polowania.

Dwaj zwiadowcy, poprzedzający gromadę myśliwych, to zni-kali w wądołach prerii, to znów ukazywali się, gdy wjeżdżali na wzniesienia. Wreszcie Przebiegły Wąż powstrzymał wierzchowca.

- Już za tym wzgórzem powinny znajdować się bizony! - powiedział mową znaków.

126

127

- Przypilnuję sunka wakan, ty idź sprawdzić! - odparł Dwa Uderzenia.

Znajdowali się u stóp znacznego wzniesienia. Przebiegły Wąż zeskoczył z konia, którego Dwa Uderzenia uchwycił za arkan. Szybko wspiął się na szczyt, gdzie ukryty w wysokiej trawie ostrożnie wychylił głowę.

Jak okiem sięgnąć preria czerniła się od bizonów. Popasały spokojnie, zamiatając ziemię długimi brodami bądź wylegiwały się w trawie i przeżuwały pokarm. Tu i ówdzie bizony, posługu-jąc się racicami oraz rogatym łbem, drażyły w ziemi lejowate doły, w których wkrótce wypływała błotnista woda. Potem kładły się w jamie i obracając cielsko w koło coraz głębiej zapadały się w bajoro, aby ochronić się przed upałem oraz chmarami owadów. Gdy jeden wychodził z bajora, zaraz następny zajmował opusz-czone miejsce. Po takiej kąpieli na bizonich cielskach powstawała twarda, błotna skorupa, która kruszyła się pod wpływem słońca i odpadała dopiero po pewnym czasie. W stadzie znajdowało się wiele młodego przychówku. Cielęta igrały ze sobą i wykonywały pocieszne skoki. W wielu miejscach na krańcach stada widać było strażujące byki.

Przebiegły Wąż przez pewien czas obserwował bizony i prze-patrywał okolicę. Wreszcie ostrożnie wycofał się ze szczytu wznie-sienia. Gdy zszedł z pola widzenia bizonów, przystanął na stoku.



Ostłonił oczy dłonią przed blaskiem słonecznym. Spoglądał ku pół-nocy, dopóki nie ujrzał w dali sunącego po prerii węża kurzawy. Nadjeżdżali Wahpekute. Przebiegły Wąż zdjął z ramion wyprawioną na biało, gładką skórę bizona i zaczął powiewać nią ponad głową. Błyski promieni słonecznych odbijających się od gładkiej skóry rychło zostały zauważone przez nadciągających myśliwych, którzy zaraz ostrzej pognali wierzchowce.

Przebiegły Wąż zbiegł ze stoku na równinę, gdzie oczekiwał na niego Dwa Uderzenia.

- Nasi nadjeżdżają! Ostrzegłem ich o bliskości bizonów - powiedział mową znaków.

- Jedźmy do nich! - odparł Dwa Uderzenia również mową znaków.

Przebiegły Wąż wskoczył na konia. Ruszyli galopem. Niebawem znajdowali się już przy Czarnym Wilku.

- Wielkie stado popasa na równinie za dużym wzgórzem - powiedział Przebiegły Wąż. - Tylko od zachodu równinę zamyka pasmo urwistych wzgórz.

- Dobrze, podzielimy się na dwie grupy. Musimy okrążyć stado. Przecięta Twarz poprowadzi jedną grupę na zachód od stada, a ja osaczę je od wschodu - zdecydował Czarny Wilk.

Przebiegły Wąż znalazł się w grupie dowodzonej przez Przeciętą Twarz. Wkrótce ruszyli w drogę.

Żołnierze „Złamanej Strzały” zwracali baczną uwagę, aby nikt nie wysuwał się do przodu.

Przecięta Twarz najpierw wiódł myśliwych w kierunku zachodnim, lecz gdy zbliżyli się do pasma urwistych wzgórz, zawrócił wprost na wschód ku stadu. Jechali stępą hamując niecierpliwe mustangi.

Przebiegły Wąż spoglądał na południowy wschód. Z tamtej strony miał nadjechać Czarny Wilk ze swoją grupą. Niebawem spostrzegł przemykające w pobliżu kojoty, a potem dwa białe wilki. Był to nieomylny znak, że bizona znajdowały się już blisko. Drapieżniki zawsze buszowały wokół stada.

Zbliżył się więc do Przeciętej Twarzy i rzekł przyciszonym głosem:

- Wkrótce ujrzymy bizona, powinniśmy jechać wolniej, aby nie spostrzegły nas, zanim Czarny Wilk da umówione hasło.

Przecięta Twarz ściągnął arkanem łeb mustanga wciąż rwące-go się do szybszego biegu, przytknął

do ust świstawkę ze skrzydła orła. Rozległy się trzy przyciszone gwizdy natychmiast powtórzone przez innych żołnierzy. Powściągane arkanami konie gniewnie wstrząsały łbami, przysiadły na zadach, rzucały się w bok, a jeźdźcy byli nie mniej zniecierpliwieni od wierzchowców.

Właśnie wjeżdżali na stok łagodnego wzniesienia. Nagle parę sępów poderwało się z wysokiej trawy o kilkadziesiąt kroków przed nimi. Mustangi podnosiły do góry łby, niespokojnie wietrzyły chrapami. Koń jadącego na przedzie Przeciętej Twarzy ci-cho zarżał, przystanął, a potem lekko

cofnął się.

Nie opodał czerniło się cielsko martwego bizona. Wokół niego trawa była stratowana. Obok na ziemi wałały się kawałki wy-rwanej skóry oraz zmierzwiłone kudły. Bok, brzuch i trzewia były już wyżarte przez drapieżne zwierzęta i ptaki. Cuchnące ścierwo obsiadły tysiące dużych, czarnych świerszczy.

Przecięta Twarz ruchem ręki przywołał Przebiegłego Węża.

128

9 Przekleństwo złota

129

- Obejrzyj z bliska tego bizona! - polecił.

Myśliwi otoczyli półkolem przywódcę. Przebiegły Wąż zesko-czył z mustanga, po czym wolno zaczął zbliżać się do padliny. Uważnie badał każdą piędź ziemi, lecz poza tropami wilków i kojotów nie zauważył innych śladów. Wreszcie podszedł do martwe-go zwierzęcia. Widok był

odrażający. Chmary ruchliwych dużych świerszczy sprawiały wrażenie, że częściowo pożarty, rozkładają-cy się w upale bizon jeszcze drga w przedśmiertnych konwul-sjach. Przebiegły Wąż już zamierzał powrócić do towarzyszy, ale jakby wiedziony instynktem, jeszcze raz przetoczył

wzrokiem po cuchnącym ścierwie. Nagle drgnął, natężył wzrok. Wydawało mu się, że spod obnażonej lewej łopatki coś wystaje. Zaraz narwał garść długiej trawy. Wstrzymując oddech podszedł blisko do bizo-na. Wiechciem odgarnął świerszcze z podejrzanego miejsca. Te-raz nie miał wątpliwości. Spod kości wystawał koniec drzewca strzały. Świerszcze oblepiające padlinę sprawiły, że nie spostrzegł tego wcześniej. Zaintrygowany wydobył z pochwy nóż. Kilka sprawnych głębokich cięć odsłoniło drzewce. Ujął je dłonią i za-czął wyciągać. Strzała wprawdzie złamała się w połowie, ale to, co wydobył, wystarczyło do stwierdzenia, kim był myśliwy, który zranił bizona.

Przebiegły Wąż natychmiast zdał sobie sprawę z wagi tego odkrycia. Rozkład martwego zwierzęcia pozwalał przypuszczać, że zostało ono postrzelone około czterech lub pięciu dni temu.

A więc wrogowie mogli jeszcze przebywać w pobliżu! Przecięta Twarz prowadząc zwiad rozpoznawczy przebadał okolicę na pół-noc i zachód od miejsca przyszłego polowania. Wróg tymczasem mógł czaić się na południu za stadem. Przebiegły Wąż zaledwie pojął to, natychmiast pospieszył do towarzyszy. Bez słowa podał przywódcy znaną strzałę. Przecięta Twarz uważnie obejrzał ją, po czym pytająco spojrzął na Przebiegłego Węża.

- Paunis! - krótko odparł Przebiegły Wąż. - Zranił bizona najwyżej cztery lub pięć wieczorów temu.

Przecięta Twarz w milczeniu skinął głową. Spojrzął w stronę południa. Zrozumiał, że podczas zwiadu popełnił błąd nie do wy-baczenia. Twarz jego poszarzała.

- Musimy jak najprędzej ostrzec Czarnego Wilka! - powie-dział ochryplym głosem.

- Teraz to już niemożliwe! - odparł Przebiegły Wąż. - Czarny Wilk lada chwila da hasło do rozpoczęcia polowania! Mo-żemy jednak ostrzec mężczyzn idących pieszo oraz naszych w obozie, w którym obecnie znajdują się tylko kobiety, starcy i dzieci!

- Roztropność przemawia ustami mego brata! - rzekł zafra-sowany Przecięta Twarz.

Natychmiast przywołał dwóch żołnierzy. Krótco wyjaśnił im sytuację. Jednego z nich wysłał do Głosu Kojota, który prowadził pieszych; po ostrzeżeniu go miał dalej pospieszyć do obozu. Natomiast drugiemu polecił udać się na wzgórze i wypatrywać hasła do rozpoczęcia polowania.

x

### *Śmierć wojownika*

1 Przecięta Twarz trawiony niepokojem spoglądał na po-łudnie. Nie miał jednak zbyt wiele czasu na dokładne przemyśle-nie zaistniałej sytuacji, bowiem w tej chwili ciche okrzyki towa-rzyszy przywróciły go do rzeczywistości. Spojrzał na szczyt wznie-sienia. Obserwator nadawał znaki!

Czarny Wilk rozpoczynał po-lowanie. Przecięta Twarz westchnął ciężko. Uniósł do góry prawą rękę, a następnie machnął w dół.

Myśliwi z miejsca ruszyli cwałem. Wkrótce wjechali na szczyt wzniesienia. Nareszcie ujrzeli bizona! Cała rozległa równina czer-niła się od ni l'h. Upojeni widokiem olbrzymiego stada mimo woli wstrzymali konie.

Na wschodzie, za morzem czarnoszarych grzbietów, podnosił się obłok kurzawy, który niemal w mgnieniu oka zaczął formo-wać się w długą, półkolistą smugę, ciągnącą się jak wąż po stepie. A więc grupa Czarnego Wilka rozpoczęła okrążanie stada! Teraz myśliwi Przeciętej Twarzy musieli otoczyć bizona z przeciwnej strony, by zamknąć stado w wielkim kole utworzonym w ten spo-sób przez obydwie grupy. Był to pomysłowy indiański sposób po-lowania na bizona, stosowany od czasów zdobycia koni. Dowodził doskonałej znajomości zwyczajów bizonów. Spłoszone stado zawsze zrywało się do gromadnej ucieczki, lecz zdezorientowane wi-dokiem ludzi otaczających je zewsząd, jak ogłupiałe biegło w koło razem z myśliwymi. Dzięki takiej przemyślnej taktyce, ubite zwierzęta padały na stosunkowo małym obszarze stepu, co później ułatwiało oporządzanie zdobyczy oraz przenoszenie jej do obozu 3S.

Przebiegły Wąż roziskrzonym wzrokiem spoglądał na stado.

Bizona jeszcze popasały spokojnie jakby pogrążone w letargu. Jeszcze nie przestraszył ich widok cwałujących koni myśliwych Czarnego Wilka. Jeźdźcy, mocno pochyleni na szyje wierzchow-ców, byli niemal niewidoczni. Tabuny dzikich mustangów często przebywały na pastwiskach w bliskim sąsiedztwie bizonów i nigdy nie czyniły sobie krzywdy. Tak więc również obecnie krótko-wzroczne

bizony, przywykłe do widoku mustangów, nie wykryły niebezpieczeństwa.

Przecięta Twarz obrzucił wzrokiem równinę. Nadciągająca ze wschodu smuga kurzawy rozciągała się coraz bardziej. Nie wolno było dłużej zwlekać z rozpoczęciem polowania. Gdyby bizony ruszyły do ucieczki, wykorzystując lukę w kolisku myśliwych, nic by już ich nie zdołało powstrzymać. Przecięta Twarz jeszcze raz obejrzał się na południe. Nic się tam nie działo, więc uniósł do góry rękę. Ruszyli! Mustangi już nie hamowane przez jeźdźców szybko nabierały rozpędu. Gnali ukosem w dół zbocza jeden za drugim, formując coraz to dłuższy szereg. W ten sposób zaczęli osaczać stado od strony zachodniej, ale Przecięta Twarz rychło pojął, że zbyt mało posiadał myśliwych do otoczenia całego, wielkiego stada. Toteż, gdy tylko zauważył dogodne miejsce, zawrócił

mustanga na wschód wprost na bizony. W ten sposób grupa Przeciętej Twarzy rozdzieliła stado na dwie części, otaczając tylko jedną z nich. Przecięta Twarz pomyślał, że część stada umykają-

a5 Dwa sposoby polowania na bizony były stosowane przez Indian Wielkich Równin, to jest:

„pościg na koniu” i „podkradanie się”. Sposób „pościgu na koniu” cechował się gwałtownością, rozmachem, emocją i wielkim ryzykiem. Indianin, na specjalnie przyuczonym do tego sposobu polowania koniu, wpadał galopem w stado, a potem gnając razem z bizonami wybie-

odpowiednie zwierzęta strzelając do nich z łuku lub strzelby. W czasie pościgu jeden wprawny myśliwy zabijał około 6 bizonów. Sposób ten dostarczał Indianom wiele emocji, umożliwiał

wykazanie odwagi, sprawności oraz wspaniałej sztuki jeździeckiej. Przedstawiał on jednak duże niebezpieczeństwo dla myśliwego, przede wszystkim z powodu wierzchowca, który gnając wśród stada oślepiiony kurzem był narażony na połamanie nóg w przypadku natrafienia na nory piesków preriowych bądź innych zwierząt. Upadek konia oznaczał dla myśliwego nieuchronną śmierć przez strącanie.

W czasie gdy strzelby były nabijane przez łufę, stosowanie indiańskich łuków podczas konnego polowania posiadało wielką przewagę nad bronią palną, której ponowne ładowanie było trudne i bardziej czasochłonne.

133

ca na południe może pomieszać szyki Paunisom, o ile jeszcze tam się czaili. Myśl ta dodała mu otuchy. Właśnie widział przed sobą plecy ostatniego myśliwego z grupy Czarnego Wilka. A więc bizony zostały otoczone! Smagnął konia arkanem. Zaczął rozglądać się za samicami.

Przebiegły Wąż na swoim rączym rumaku z łatwością gnał tuż za Przeciętą Twarzą. Wciąż nurtowała go myśl o pauniskiej strzale. Wydawało mu się, że Przecięta Twarz popełnił błąd, nie wysyłając zwiadowców na południe natychmiast po znalezieniu wrogiej strzały. Chciał mu to powiedzieć, ale wypadki potoczyły się tak szybko, że nie zdążył tego uczynić. Obecnie podążał za dowódcą chcąc wyjawić mu swe wątpliwości. Jednak otoczone przez myśliwych stado już zaczynało okazywać niepokój. Tu i ówdzie rozbrzmiewały chrapliwe ryki. Tumult szybko wzrastał. Wnętrze koliska utworzonego przez jeźdźców osłoniło się tumanami kurzawy. Bizony nareszcie spostrzegły

niebezpieczeństwo, poderwały się do ucieczki. Już biegły w koło razem z myśliwymi, tu i tam samice rażone strzałami ciężko padały na ziemię.

Polowanie na bizona było namiętnością Indian. Toteż szal łowiecki szybko zawładnął

Przebiegłym Wężem. W pobliżu ujrzał młodą samicę. Zapomniał o Paunisach. Po chwili już znajdował się wśród stada. Podjechał do samicy z lewej strony. Wydobycie z kołczanu łuku i strzały było dziełem chwili. Jęknęła cięciwa... Prawie cała brzechwa pogrążyła się pod lewą łopatką ściganej samicy, która mimo to umykała dalej. Przebiegły Wąż wbił w jej bok drugą strzałę. Po wywieszonym ozorze samicy spłynęła krwa-wa piana. Po kilku chwiejnych skokach runęła na ziemię. Przebiegły Wąż natychmiast pognął za następnym bizonem.

Na pół dziki mustang Przebiegłego Węża doskonale sobie ra-Dруги sposób, „podkradanie się”, polegał na pieszym podchodzeniu do stada. Wymagał on od myśliwego zimnej krwi, czujności, skupienia, dokładnej znajomości zwyczajów bizonów oraz umiejętności wykorzystywania rzeźby terenu do podchodów. Gdy myśliwy pieszo podkraść się do stada, często ukrywając się pod wilczą skórą, spokojnie wybierał odpowiednie zwierzęta i kolejno je zabijał, nie narażając siebie ani swego konia na niebezpieczeństwo. Bizony bowiem były dziwnymi zwierzętami Nie płoszyły się widząc obok siebie padającego, konającego towarzysza, a czasem nawet pozwalały myśliwemu otwarcie podejść do siebie. Przeważnie też nie płoszył ich pojedynczy huk broni palnej.

134

dził podczas szaleńczej gonitwy w ciżbie bizonów. Błyskawicznie uskakiwał przed nisko pochylonymi łbami uzbrojonymi w ostre rogi, odważnie podbiegał tak blisko do upatrzonej zwierzyny, że gdy potem galopował z nią równo bok w bok, Przebiegły Wąż mógłby z łatwością dotknąć dłonią grzbietu bizona. Toteż wkrótce upolował cztery bizona. Znowu rozglądał się za nowym łupem.

Tymczasem polowanie stawało się coraz niebezpieczniejsze. Rozwścieczone bizona gnały na oślep. Sierść jeżyła się na ich grzbietach, krótkie, wyprężone ogony sterczały do góry. Poprzez rozwichrzone kosmyki grzyw połyskiwały przekrwione ślepie, z pysków spadały płaty piany.

Niektóre, naszpikowane strzałami, jeszcze próbowały wymknąć się prześladowcom. Naciskane ze wszystkich stron przez myśliwych wpadały w szal, szarżowały na mustangi, próbując wbić rogi w ich brzuchy. Teraz myśliwy ści-gający upatrzonego bizona mógł w każdej chwili przemienić się w gonionego przez rozjuszone zwierzę.

Jednak oszalałe stado nie stanowiło dla doświadczonych myśliwych największego zagrożenia.

Suchy step ryty setkami racic bizonów oraz kopytami koni okrył się mrokiem kurzawy. Gryzący pył dławiał oddechy i oślepiał tak myśliwych, jak i wierzchowce. Na pół dziki mustangi rozognione łowami pędziły na oślep po stepie porośłym skostniałymi krzewami dzikiej szałwi! i podziurawionym głębokimi norami piesków preriowych, borsuków i wilków. Przypadkowe trafienie przez wierzchowca nogą w norę ozna-czało dla niego i jeźdźca straszną śmierć pod racicami szalejącego stada. Toteż oślepiani kurzawą myśliwi zdawali się całkowicie na swe mustangi, które instynktownie

omijały podziemne pułapki i zwinnie uskakiwały przed rogami bizonów.

Przebiegły Wąż obecnie mógł ocenić niezwykłą wytrzymałość swego konia. Skóra mustanga lepiała się od potu, toczył płaty piana, ale wciąż z jednakową czujnością i zręcznością unikał bizonich rogów, by zaraz ruszyć w pościg za upatrzonym zwierzem.

Teraz Przebiegły Wąż galopował przy olbrzymim bizonie, w którego lewym boku już tkwiły jego dwie strzały. Spomiędzy kudłów pod łopatką wystawały tylko ich końce z piórami. Krew płynęła z głębokich ran, z nozdrzy i pyska buchała krwawa piana.

Bizon wywiesiwszy ozór ciężko dyszał, sierść jeżyła się na jego grzbiecie, krótki ogon prężył do góry, a spod rozwichrzonej

grzywy przekrwione ślepią rzucały złowrogie spojrzenia. Przebiegły Wąż zabił już pięć samiec.

Obecnie polował na szóstą, którą, choć dwukrotnie ranioną, wciąż zdawała się nie tracić sił.

Właśnie zastanawiał się, czy ma poświęcić już ostatnią strzałę na dobiecie zwierzęcia.

Wielu Wahpekute ukończyło łowy. Ocalałe z pogromu bizony wymykały się przez luki powstałe w kręgu łowców i uciekały na południe. Tumany kurzawy zaczęły opadać. Przebiegły Wąż zauważył, że niebo na północnym horyzoncie pokryło się ciężkimi, czarnymi chmurami. Nadchodziła burza.

Przebiegły Wąż postanowił szybko zakończyć polowanie. Kolanami lekko nacisnął boki wierzchowca, który natychmiast zaczął jeszcze bardziej przybliżać się do zranionego bizona. Teraz biegł tuż przy jego boku. Przebiegły Wąż wydobył ostatnią strzałę. Jednak zanim zdążył przyłożyć ją do cięciwy, bizon goniący resztami sił, nagle zwolnił biegu. Ryknął chrapliwie i zwrócił nisko pochylony, potężny łeb ku prześladowcy. Ostre rogi prawie dotknęły końskiego brzucha. Na szczęście śmiertelnie zraniony bizon nie był już tak zwinny i szybki. Toteż czujny mustang zdążył

w ostatniej chwili uskoczyć w bok. Przebiegły Wąż, który akurat przykładał strzałę do cięciwy, niebezpiecznie zachwiał się na końskim grzbiecie. Ratując się przed upadkiem upuścił strzałę i wczepił dłoń w końską grzywę. Nie spadł z konia, ale stracił strzałę.

Był to ostatni odruch obronny bizona. Po kilku skokach zatrzymał się w miejscu. Przez chwilę stał cichy, nieruchomy, po czym zachwiał się na nogach i ciężko padł na ziemię.

Przebiegły Wąż wkrótce znalazł się na prerii wolnej od łowieckiego tumultu. Nie opodal na wzniesieniu zbierali się myśliwi. Niektórzy jeszcze dosiadali mustangów, inni już stali obok trzymając je krótko na uwięzi. Przebiegły Wąż zbliżał się do towarzyszy. Rozmawiali z ożywieniem wpatrzonym na południe.

Przebiegły Wąż pomyślał, że Wahpekute obserwują uciekające resztki stada bizonów. Ale dlaczego okazywali niepokój? Zaintrygowany spojrzął za siebie. Zaraz też zawrócił mustanga, po czym osadził go szarpnięciem arkanu. Z zapartym tchem spoglądał przed siebie.

Daleko na południu, w kilku punktach jednocześnie, zaczynały wzbijać się z ziemi kłęby czarnego dymu. W upalne lata często wybuchały pożary na prerii, ale wtedy ogień rozprzestrzeniał się z jednego miejsca. Obecnie nie można było mieć wątpliwości, że to ręce ludzkie podpalały suchą trawę.

„Paunisi!” - pomyślał Przebiegły Wąż. Zatoczył koniem pół-kole, smagnął go arkanem i pognął ku swoim.

Przy Czarnym Wilku znajdowali się: Przecięta Twarz, Dwa Uderzenia i Łowca Orłów. Inni żołnierze „Złamanej Strzały” jeszcze przebywali na polowaniu.

Przebiegły Wąż zatrzymał się przy grupce żołnierzy. Zeskoczył z konia.

- To na pewno Paunisi podpalają prerię! - zawołał podniecony.

Czarny Wilk spojrzał na niego i odparł:

- Tak sądzi również Przecięta Twarz, który powiadomił mnie o twoim odkryciu.

- W jakim celu robią to te śmierdzące kojoty?! - wtrącił Dwa Uderzenia.

- Chcą zniszczyć nie tylko plon naszego polowania, ale również i nas samych - ponuro odezwał się Przecięta Twarz.

- Ogień chyba nam nie zagraża, wiatr nie wieje w kierunku naszego obozu - odezwał się Łowca Orłów. - Jeśli jednak udałoby się im zawrócić na nas stado bizonów, źle będzie z nami.

- Podzielim obawy mego brata - rzekł Czarny Wilk. - Groźne niebezpieczeństwo zawisło nad nami.

Głos Kojota z idącymi pieszo myśliwymi na pewno znajdują się w pobliżu. Za nimi podążają kobiety i dzieci, aby pomóc w przenoszeniu zdobyczy do obozu. Idą otwartą prerią pomiędzy wzgórzami.

Zapadło wymowne milczenie.

Przebiegły Wąż utkwiał wzrok w południowym horyzoncie. Spoglądał przez dłuższą chwilę, aż nagle zawołał ochryłym głosem:

- Patrzcie na krańce pożaru na wschodzie i zachodzie!

Wahpekute natężyli wzrok. Pożar prerii zdawał się już nie rozprzestrzeniać więcej, ale za to z obydwóch boków linii pożaru ukazywały się jaskrawe błyski.

- Ktoś daje znaki! M - odezwał się Przecięta Twarz.

-° Indianie Równin posiadali pomysłowe sposoby przekazywania sobie wiadomości na odległość, wykorzystując czystość i przejrzystość powietrza.

- Dlaczego jednocześnie z dwóch miejsc? - dziwił się Dwa Uderzenia.

- To nie są znaki! - zaprzeczył Czarny Wilk. - Czy moi bracia nie spostrzegli, że z każdego z tych dwóch miejsc widać po kilka błysków naraz?!

- Czarny Wilk dobrze mówi! To nie są znaki! - potwierdził Śmiały Sokół, który właśnie nadjechał z gromadą myśliwych i przysłuchiwał się rozmowie. - Ktoś chce spłoszyć stado.

- Czy Śmiały Sokół jest tego pewny? - zapytał Czarny Wilk.

- To stary sposób Paunisów. Sam również nieraz tak czyni-łem. Nagnanie stada bizonów na wrogów pozwalało zniszczyć ich bez narażania siebie.

- Nawet najgładsza biała skóra nie daje tak ostrych błysków!

- wtrącił Łowca Orłów.

- Paunisi otrzymali od białych ludzi cienkie, błyszczące, kru-che deseczki, w których wszystko odbija się tak wiernie jak w wo-dzie czystego strumienia. Kierowane ku słońcu dają takie błyski

- wyjaśnił Śmiały Sokół.

- Hough! To niemożliwe! - oburzył się Dwa Uderzenia.

- Widziałem takie przedmioty u Czipewejów - odezwał się Przebiegły Wąż. - Czipewejki przeglądały, się w nich przy czesa-niu włosów, a wojownicy patrzyli w nie, gdy malowali twarze.

- Dziwne rzeczy opowiadacie! - zdumiał się Dwa Uderzenia.

Przebiegły Wąż osłonił dłonią oczy. Aż pochylił się do przodu natężając wzrok. Wydawało mu się, że na tle czarnych kłębow W bezchmurne, bezwietrzne dni posługiwali się umownymi znakami dymnymi, które mogli przekazywać na znaczne odległości nawet w okolicach górzystych bądź zadrzewionych. W tym celu rozpalali ognisko, posługując się wyschniętym nawozem bizonim lub suchą trawą. Ognisko nakrywali skórą albo derką, odpowiednio uchylając ją wypuszczali w powietrze kłęby czarnego dymu. W nocy natomiast przekazywali informacje za pomocą błysków ognia.

Na mniejsze odległości porozumiewali się za pomocą białych skór, derek lub koszul, machając nimi w umowny sposób.

Po nawiązaniu kontaktów z białymi ludźmi Indianie także posługiwali się lusterkami i wypolerowanymi płytkami metalowymi, których ostre błyski docierały na odległość około półtora kilometra.



dymu wzbija się z ziemi tuman kurzawy. Po chwili serce zaczęło bić w jego piersi jak młot.

Odwrócił się do towarzyszy.

- Stado bizonów zawróciło wprost na nas! - zawołał podniecony.

Wszyscy umilkli wpatrzni na południe.

- Hough\ Widzę i ja! Przeklęte psy pauniskie pędzą stado w naszą stronę! - wzburzonym głosem powiedział Czarny Wilk.

Rozległy tuman kurzawy sunął po stepie. Z południa niósł się szeroko potężny tętent i głuchy, basowy ryk podobny do huku dalekiego grzmotu. Tysiące racic podrywało z ziemi chmury pyłu.

Olbrzymie rozwścieczone stado, jak straszliwy huragan gnało na północny zachód wprost na wzgórze, na którym stali przerażeni Wahpekute. Właśnie za tym wzgórzem, wił się wśród wzniesień pas równego stepu aż do obozu Wahpekute. Wszyscy pojęli w lot grozę sytuacji. Jeśli spłoszone stado wpadnie na naturalny rów-ninny trakt pomiędzy wzgórzami, stratuje wszystko, co napotka na swej drodze. Tymczasem tętent tysięcy racic i głuche ryki po-tężniały z każdą chwilą.

- Wszyscy zginiemy! - odezwał się Dwa Uderzenia.

Czarny Wilk otrząsnął się, jakby wyszedł z wody. Krótkim spojrzeniem obrzucił wojowników.

Przywołał Długą Lancę.

- Pędź co tchu na sunka wakan do Głosu Kojota. Niech na-tychmiast połączy się z kobietami i dziećmi. Może jeszcze uda się im wspiąć na jakieś większe wzgórze!

Długa Lanca smagnął mustanga arkanem. Pognał w dół zbocza na nizinny trakt.

- Za późno, nie zdążą; się uratować! - zawołał Przecięta Twarz. - Widzę ich w dali! Idą otwartą równiną!

- Czarny Wilku! - odezwał się Śmiały Sokół. - Trzeba za wszelką cenę zawrócić bizony na wschód.

To jedyny dla nas wszystkich ratunek!

- W jaki sposób możemy zmusić bizony, żeby pobiegły na wschód? - niedowierzająco zapytał

Czarny Wilk.

- Gdyby komuś udało się zbliżyć do przewodnika stada, wte-dy naciskając na niego sunka wakan, można by go zmusić do zmiany kierunku ucieczki. Stado niezawodnie podąży za prze-wodnikiem - wyjaśnił Śmiały Sokół.

- Nasze sunka wakan są zmęczone polowaniem - zaopono-

139

^ --

wał Łowca Orłów. - To pewna śmierć, która nikomu nie przy-niesie korzyści!

- A jednak musimy spróbować! Chodzi o całe nasze plemię

- rzekł oschle Czarny Wilk.

- Więc spróbuję! - zawołał Śmiały Sokół.

Naraz Przecięta Twarz napał na niego mustangiem, przeszył zimnym wzrokiem mówiąc:

- Nie spróbujesz! To należy do „Złamanych Strzał”! Ja zawi-niłem, bo nie wyszedłem wrogów, więc teraz naprawię swój błąd!

- Idę z Przeciętą Twarzą! - zawołał Przebiegły Wąż. - Je-żeli jeden z nas zginie, może drugiemu uda się zawrócić stado!

- Sunka wakan są zmęczone, nie macie doświadczenia, nie-chybnie zginiecie obydwaj! - porywczo powiedział Śmiały Sokół.

- „Złamane Strzały” wypełniają swój obowiązek! - powie-dział Przecięta Twarz. - Nie lękamy się śmierci!

- Nie jest mi przeznaczone przez Wielkiego Ducha zginąć pod racicami bizonów - dodał Przebiegły Wąż. - Dajcie mi kil-ka strzał!

Wahpekute z zabobonnym lękiem spoglądali na wnuka potężnego szamana. Mówiono przecież, że młodzieniec również posia-dał nadprzyrodzoną moc. Kilku wojowników podało mu strzały.

Przebiegły Wąż włożył je do kołczanu. Dłonią dał znak Przecię-tej Twarzy. Smagnął mustanga arkanem i nucąc pieśń śmierci ruszył cwałem.

„Kuna sogobi, kuna yana wakara...” - pieśń rozplynęła się po chwili.

Dwaj żołnierze „Złamanej Strzały” smagając mustangi arka-nami pędzili naprzeciw rozszalałemu stadu. Tętent tysięcy racic zmieszany z rykiem bizonów przybliżał się z każdą chwilą. Wkrót-ce Przebiegły Wąż mógł już rozróżnić gnające na czele bizony. Po bokach olbrzymiego byka podążały dwa nieco mniejsze. Tuż za nimi, niby rozłożony szeroko wachlarz, biegła znaczna gromada bizonów, a za nią waliło zwarte morze czarnych grzbietów owiane oślepiającą kurzawą.

Wspaniały rumak Przebiegłego Węża stulił uszy i zarżał lękliwie. Chciał samorzutnie zawrócić, ale jeździec bezlitośnie zdzielił go arkanem po łbie i zmusił do biegu wprost na grzmiące sta-140

do. Dopiero o jakieś pięćdziesiąt kroków przed pierwszą linią bi-zonów Przebiegły Wąż krzyknął ku Przeciętej Twarzy. Ręką dał znak, że już należy zawrócić. Obydwa mustangi skwapliwie dokonały manewru. Teraz jeźdźcy zaczęli hamować konie, aby byki gnające na czele stada przybliżyły się do nich.

Przebiegły Wąż czuł coraz wyraźniej drażniący odór zlanych potem cielsk bizonów. Łowił uchem głośne sapanie, chrapliwe ryki tonące w grzmocie racic. Co chwila zerkał za siebie. Przecięta Twarz oddalił się trochę w prawo, więc zrozumiał, że ma dopaść byków z lewej strony. Już zrównał się z tym, który biegł z lewej strony przodownika.

Przebiegły Wąż nacisnął kolanami boki mustanga. Ten na-tychmiast zaczął ukosem przybliżać się do byka. Po chwili już biegł równo z nim. Przebiegły Wąż wydobył strzałę, pochylił się i napiął

łuk. Strzała wbiła się pod lewą łopatkę bizona aż po opierzonego koniec. Zapewne dosięgła serca, bowiem bizon stanął jak rażony gromem.

Na moment zakotłowało się za Przebiegłym Wężem. Głuche odgłosy potężnych uderzeń, chrapliwe ryki i jęki zaraz zagłuszył grzmot tysięcy racic.

Przebiegły Wąż kierował swego wierzchowca do boku potężnego przewodnika. Już gnał tuż przy nim. Przecięta Twarz również szczęśliwie przedostał się pomiędzy dwa byki pozostałe na czele stada.

Wzgórze, na którym Wahpekute z zapartym tchem śledzili rozjuszony stado, przybliżało się zastraszająco szybko. Przecięta Twarz ręką słał znaki ponagląjące, więc Przebiegły Wąż przyłgął

do wierzchowca, nacisnął go kolanami. Koń jeszcze bardziej przysunął się do byka. Przebiegły Wąż nogą dotykał zmierzwionych kudłów. Bizon nie zwracał uwagi ani na wierzchowca, ani na ledwo widocznego na jego grzbiecie jeźdźca. Więc Przebiegły Wąż coraz śmieiej i silniej napierał

na bok przodownika. Jednak siły mustanga w końcu zaczęły się wyczerpywać. Przebiegły Wąż czuł drżenie jego ciała. Pot spływał po skórze, piana z pyska spadała na step.

„Co się stanie, jeśli sunka wakan padnie?” - przemknęło przez głowę Przebiegłego Węża. Tuż za jego plecami gnała śmierć najeżona rogatymi łbami, tętniąca tysiącami racic.

141

„Kuna sogobi, kuna...” - przerwał w połowie słowa, bowiem nagle z prawej strony rozbrzmiał rozpaczliwy kwik konia. Spojrzał w bok. Koń Przeciętej Twarzy walił się przodem na ziemię.

Przecięta Twarz śmignął w powietrzu jak kamień wyrzucony z procy i zaraz zniknął w trawie.

Oficer „Złamanych Strzał” na-wet nie krzyknął. Stado bizonów przetoczyło się po nim i jego wierzchowcu.

Lodowaty chłód przeniknął Przebiegłego Węża. Sposób upadku konia Przeciętej Twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że musiał natrafić nogą na jedną z licznych nor, od których roła się równina.

Przebiegły Wąż mężnie stłumił rozpacz i lęk. Teraz już sam musiał ratować swe plemię przed zagładą. Z wściekłością naparł

koniem na bizona. Przez krótką chwilę wierzchowiec i byk wpie-143

-^...-

raii się w siebie ciałami, jakby tworzyli nierozłączną całość, aż wreszcie bizon zaczął lekko zbaczać na wschód. Przebiegły Wąż rzucił okiem za siebie. Lawina czarnych grzbietów pędziła na oślep za przodownikiem.

Radość ogarnęła Przebiegłego Węża. Cóż znaczyła śmierć Przeciętej Twarzy i jego własna, gdy chodziło o istnienie plemienia?! Pod naporem mustanga przewodnik stada systematycznie zbaczał na wschód, a za nim pędzące stado. Teraz z brawurą i pogardą śmierci Przebiegły Wąż naciskał przewodnika. Wkrótce stracił z oczu północną część nieba zaciągniętego ołowianymi chmurami.

Stado oddalało się na południe od wzgórza, na którym byli wojownicy Wahpekute. Przebiegły Wąż już miał prawo po-myśleć o wydobyciu się z kleszczy śmierci.

Mustang gonił ostatkiem sił. Pot buchał parą z jego utrudzonego ciała. Łeb chylił coraz niżej, stękał, toczył z pyska płaty piany. Przebiegły Wąż z niepokojem łowił jego chrapliwy, ciężki oddech. Na szczęście siły bizonów także już wyczerpały się, stado zwalniało tempo ucieczki.

Przebiegły Wąż nie ponaglał mustanga. Powoli oddalał się od przewodnika stada. Wkrótce kilka bizonów wyprzedziło śmiertelnie znużonego konia. Wtedy Przebiegły Wąż znów smagnął go arkanem. Przez jakiś czas gnał ukosem na wschód, aby odłączyć się od stada uciekającego na południe

Mustang cicho rżał, stękał boleśnie. Przebiegłemu Wężowi zda wało się, że minęła cała wieczność, zanim wydostał się na wolną przestrzeń. Teraz i jego ogarnęło straszliwe wyczerpanie. Ujrzał kępę karłowatych drzew. Tam zapewne musiał znajdować się strumień. W pobliżu zarośli mustang zatrzymał się na szeroko rozstawionych nogach. Nisko zwiesił głowę, drżał jak w febrze.

Przebiegły Wąż ociężale zsunął się z jego grzbietu. Nogi ugięły się pod nim. W tej chwili mustang zarżał cicho, po czym zwałił się bokiem na ziemię.

Nagły podmuch wiatru omal nie przewrócił Przebiegłego Węża. Spojrzał w górę. Czarne, kłębiaste chmury zasnuły już połowę nieboskłonu. Nadciągała burza. Przebiegły Wąż zaczął rozglądać się za jakimś schronieniem.

Gwałtowne burze ‘z piorunami, tak charakterystyczne dla Wielkich Równin, zawsze ‘wywierały Jliesamowite wrażenie na prze-sądnych Indianach. Toteż obecnie Przebiegły Wąż, ledwie powłó-  
cząc nogami, szukał schronienia wśród ‘karłowatych wierzłb; cał-kowicie pozbawiony sił, padł na  
plecy z rozkrzyżowanymi ramio-nami. W .nosie i ustach czuł pył. Podrażnione oczy łzawiły.

Robiło się coraz ciemniej. Wicher wabiJał nad stepem obłoki kurzu. Prze-biegły Wąż łowił uchem  
głucnnący coraz bardziej tętent ‘umyka-jących bizonów i postękiwanie mustanga.

10 Przekleństwo złota

# XI

## *Znak Ptaka świętego Grzmotu*

Nad prerią zapadła przedwczesna noc. Wicher zaciął strumieniami dużych kropel deszczu.

Błyskawice co chwila krzyżowały się na czarnym niebie. Ich oślepiający, siny blask przez krótką chwilę oświetlał bezkresność zionącej pustką prerii, a karłowate drzewa i krzewy przybierały kształty nieziemskich stworów. Potem nagle zapadała nieprzenikniona ciemność. Pioruny z wielokrotnianym echem jeden za drugim uderzały z ogłuszającym hukiem w step. Ziemia drżała od szeroko roznoszonych po pustkowiu potężnych grzmotów. Burza rozszalała się na dobre.

Przebiegły Wąż z zabobnym lękiem zerkał w czerń nieba. Gwałtowne burze z piorunami powodował Ptak Grzmotu, bóstwo czczone przez wszystkich Indian. Zapewne i teraz nadleciał z północy, zasłaniając niebo rozpostartymi czarnymi skrzydłami. Potężne grzmoty były trzepotem jego skrzydeł, a błyski oczu słały oślepiające błyskawice. Ptak-olbrzym niósł na sobie wielkie jezioro, z którego strumieniami spływała na ziemię świeża woda.

Przebiegły Wąż znużony do granic wytrzymałości przymknął oczy. Strugi deszczu kołowały utrudzone ciało. Naraz ujrzał Ptaka Grzmotu. Bóstwo zawisło w powietrzu tuż nad nim. Przenikliwy wzrok przeszywał go na wylot. Ptak Grzmotu załopotał skrzydłami. głuchy grzmot przetoczył się wokoło.

„Synu mój... - przemówił. - Z krainy Świętego Grzmotu posłałem cię na Ziemię, byś wiódł życie śmiertelnego człowieka. Znałeś swój przyszły los na Ziemi, zanim wydała cię na świat kobieta.

Obdarzyłem cię niezwykłą mocą, jaką posiadają tylko nie-liczni śmiertelnicy. Teraz nadszedł czas, abyś zaczął spełniać swe posłannictwo... Będiesz szamanem!” 146

Oczy ptaka słały oślepiające błyskawice, a łopoczące skrzydła grzmiały aż po krańce prerii z taką mocą, że drżała ziemia. Naraz rozległ się przerażający huk. Spod skrzydeł Ptaka Grzmotu wyleciała ognista kula. Jak kamień wyrzucony z procy śmignęła ku ziemi i w mgnieniu oka przepadła w zaroślach w pobliżu Przebiegłego Węża. Ptak Grzmotu odlatywał na północ, z jeziora na jego grzbiecie deszcz popłynął potokami.

Pod wpływem ulewy Przebiegły Wąż oprzytomniał. Z trudem dźwignął się z ziemi. Błyskawica przemknęła po niebie zasnutym kłębam czarnych chmur. W jej upiornym blasku Przebiegły Wąż ponownie ujrzał Ptaka Grzmotu. Stał nie opodal powiewając skrzydłami. Błyskawica przepadła w czerń nieba, a wraz z nią zatknęło bóstwo. Przebiegły Wąż, jeszcze oszołomiony bliskim uderzeniem pioruna, osunął się na ziemię tuż przy pniu drzewa. Leżąc skulony począł żarliwie przyzywać Ducha Opiekuńczego.

Sporo upłynęło czasu, zanim usłyszał szum skrzydeł. Duch Opiekuńczy, jak zwykle, przybył pod postacią złocistego orła. Usiadł w pobliżu na ziemi. Jego nabiegłe krwią oczy rzucały iskrujące spojrzenia.

„Wzywałeś mnie, więc jestem!” - bezgłośnie przemówił zło-cisty orzeł.

„Duchu Opiekuńczy, co powinienem uczynić? - szepnął Prze-biegły Wąż. - Z rozkazu Ptaka Grzmotu mam rozpocząć życie szamana.”

„Musisz podporządkować się jego woli - odparł Duch Opie-kuńczy. - Ptak Grzmotu śmiercią karze nieposłusznych!”

Przebiegły Wąż milczał zatrwożony. Duch Opiekuńczy zapew-ne przenikał jego myśli, gdyż po chwili dodał:

„Nie lękaj się, będziesz sławnym szamanem! Przed przyjściem na świat żyłeś ze swymi braćmi gromami i błyskawicami, więc ogień będzie ci posłuszny. Oczami duszy więcej widzisz niż zwykli ludzie, a znak Świętego Ptaka Grzmotu będzie osłaniał cię przed niebezpieczeństwami...” Głos Ducha Opiekuńczego coraz mgliściej przenikał do świa-domości Przebiegłego Węża. Tajniki szamańskie, których rąbka od dawna uchylał przed nim sędziwy Czerwony Pies, mieszały się obecnie z Zabobonnymi urojeniami. Już nie widział i nie słyszał zło-cistego orła... W głowie jego huczał tętent rozszalałego stada.

147

Coraz majaczył mu się mrozący krew w żyłach widok Przeciętej Twarzy, padającego wraz z koniem pod śmiercionośne racice roz-hukanych bizonów... Jednak przywidzenia stawały się coraz mniej wyraziste, rwały się co chwila. Ogromne wyczerpanie wreszcie zaczęło brać górę nad wybujałą wyobraźnią, rozgorączkowaną głodem i niezwykłymi przeżyciami podczas łowów. Z

wolna ogarniał go bezwład. Zapadł w twardy sen.

Burza tymczasem oddaliła się na południe, skąd jeszcze przez jakiś czas słychać było głucho pomruki grzmotów. Wiatr ustał, na całkowicie wypogodzonym niebie rozblęły gwiazdy, a wkrótce srebrzysty księżyc w pełni zawisł nad stepem. W dali odezwały się skowyty wilków i kojotów.

Ciche rzenie mustanga wyrwało Przebiegłego Węża ze snu. Nawykły do niebezpieczeństw leżał

dalej niby uśpiony. Tylko nie-znacznie uchylił powiek. Nastawa! pogodny, słoneczny dzień. We-sołe pogwizdy piesków preriowych i niefrasobliwy świergot ptac-twa upewniły go, że nie zagrażało mu niebezpieczeństwo. Powstał z ziemi. Jego mustang tarzał się nie opodal w trawie. A więc wspaniały rumak odzyskał siły utracone podczas zmagania ze sta-dem rozszalałych bizonów!

Przebiegły Wąż poczuł nikły swąd spalenizny. Zaniepokojony obejrzał się i drgnął zaskoczony nieoczekiwanym widokiem. O kil-ka kroków za nim stała karłowata wierzba rozszczepiona przez piorun od wierzchołka niemal do korzeni. Poranny wiatr powie-wał długimi, wiotkimi gałęziami zwisającymi z rozchylonych na zewnątrz obydwóch części pnia.

Przebiegły Wąż z nabożną czcią pochylił głowę przed rozpo-łowioną przez piorun wierzba, która w jego wyobraźni przeisto-czyła się w wielkiego ptaka rozpościerającego skrzydła do lotu.

W to właśnie miejsce uderzył podczas burzy kulisty piorun! To Ptak Świętego Grzmotu pozostawił mu ten widomy znak. Z całą wyrazistością przypomniał sobie ważne wydarzenia minionej nocy. Słowa Ptaka Świętego Grzmotu i Ducha Opiekunczego utkwi-

ły głęboko w jego pamięci. Zrozumiał, że musi wypełnić wolę potężnych duchów. Jego dziad, wielki szaman Czerwony Pies, wyjawiał mu kiedyś w największej tajemnicy, że wszyscy wielcy szamani przed przyjściem na ziemski świat przebywali w Krainie Świętych Grzmotów i już wtedy byli świadomi losu oczekującego 148

## **RYUNKI WYOBRAŻAJĄCE PTAKA GRZMOTU W RÓŻNYCH**



# PLEMIONACH

ich na Ziemi jako śmiertelnych ludzi. Każdy z tych nielicznych wybrańców bóstw, żyjąc później wśród zwykłych ludzi, zobowiązany był na znak otrzymany od Świętego Grzmotu rozpocząć wypełnianie szamańskich obowiązków. Nieusłuchanie wezwania groziło ciężkimi karami a czasem nawet śmiercią 37.

Rzenie mustanga przerwało Przebiegłemu Wężowi rozmyślenia. Mustang ocierał swą kształtną głowę o jego ramię. Nabożne rozmyślenia i przywidzenia rozpierzchnęły się natychmiast. Rozdarła przez piorun wierzba, przed którą dopiero co z czcią chylił głowę, znów stała się dla niego zwykłym drzewem.

Przebiegły Wąż wiechciami trawy starannie wytarł mustanga, po czym poprowadził go do pobliskiego strumienia. Podczas gdy mustang gasił pragnienie, Przebiegły Wąż umył swe strudzone ciało, rozmyślając jednocześnie, co teraz powinien uczynić. Nie wątpił, że to Paunisi pognali stado bizonów na obóz Wahpekute.

Czy w takiej sytuacji nie należało odszukać wrogów i poznać ich zamiary? Zaraz jednak poniechał tej myśli. Czarny Wilk był do-

świadczonym wojownikiem i przezornym dowódcą. Na pewno wysłał na południe zwiadowców po zakończeniu niefortunnego polowania. Wobec tego postanowił jak najszybciej wracać do obozu. Na pewno niepokoił się tam o niego. Może nawet przypuszczali, że zginął tak jak Przecięta Twarz? Tragiczny wypadek wydarzył się przecież w pobliżu wzgórza, na którym stali wojownicy Wahpekute jeszcze przed zawróceniem stada na południe. Za-

„Wybitnie kontynentalny klimat Wielkich Równin Wewnętrznych charakteryzował się dużymi różnicami temperatur i długotrwałymi suszami. W związku z tym w lecie często występowały burze pyłowe i cyklony o charakterze wirowym a w zimie blizzardy. W lecie na Wielkich Równinach nikłe opady pojawiały się w formie gwałtownych, krótkich ulew burzowych z bardzo silnymi wyładowaniami elektrycznymi, które na bezkresnych równinach wywierały niesamowite wrażenie. Toteż przesądni Indianie dopatrywali się w tych fenomenach natury działania potężnych bóstw. Wiara w Ptaka Świętego Grzmotu występowała w różnych formach prawie we wszystkich plemionach Ameryki Północnej. Rysunki wyobrażające Ptaka Świętego Grzmotu, które jakoby miały ochraniać poszczególnych ludzi, jak i całe plemię, były malowane na wojennych bębnach, tarczach, glinianych naczyniach i na ścianach domów.

W notce nr 33 w I tomie Trylogii Indiańskiej pt. Orle Pióra, znajduje się wyjaśnienie roli szamanów indiańskich oraz ich związków ze Świętym Grzmiotem.

pewne spostrzegli straszną śmierć Przeciętej Twarzy. Gdy tylko to sobie uzmysłowił, wskoczył na mustanga i z miejsca, jak wichler, pomknął na północ w kierunku obozu.

Burzowa ulewa nie zdołała zatrzeć na stepie wszystkich śladów pozostawionych przez wielotysięczne stado bizonów. Stratowana i powyrywana razem z korzeniami wysoka trawa jeszcze

leżała pokotem na ziemi, wyraźnie znacząc szlak panicznej ucieczki ol-brzymiego stada. Toteż Przebiegły Wąż szybko jechał dobrze wi-docznym traktem bez obawy zmylenia kierunku.

Niecierpliwie ponaglał wierzchowca. Zanim jednak zdołał dotrzeć do miejsca niefortunnych łowów, ujrzał przed sobą dwóch nadjeżdżających wojowników. Ci w pierwszej chwili zatrzymali konie i sięgnęli po broń. Przebiegły Wąż natomiast, uradowany ich widokiem, pona-glił swego wierzchowca. Jego sokoli wzrok nie zawiódł go i tym razem. Rozpoznał nadjeżdżających. Wkrótce oni również schowa-li łuki. Byli to Długi Pazur i Dwa Uderzenia.

- Hough\ - cicho zawołał zdumiony Dwa Uderzenia nie do-wierzając własnym oczom.

- Hough\ - zawtórował Długi Pazur. - Więc żyjesz, a my-śleliśmy już, że stało ci się coś złego!

- Widzieliśmy śmierć twego towarzysza. Obawialiśmy się, że i ty mogłeś... Opłakują cię w obozie -

dodał Dwa Uderzenia. - Czarny Wilk wysłał nas na poszukiwanie ciebie. Dlaczego wra-casz dopiero teraz?

- Nic mi się nie stało, dobre duchy czuwały nade mną - wy-jaśnił Przebiegły Wąż. - Po zmaganiach ze stadem bizonów mój sunka wakan zupełnie wyczerpany padł na ziemię. Myślałem, że już nie odzyska sił. Ja też byłem bardzo wyczerpany, no, a potem ta wielka burza.-

- To prawda. Ptak Grzmotu był bardzo rozgniewany - przy-wtórzył Dwa Uderzenia.

- Wracajmy jak na j spiesznie j do obozu, niech twój widok powstrzyma łzy i lamenty twoich bliskich - rzekł Długi Pazur.

- Czy Czarny Wilk wysłał zwiadowców na południe? - za-pytał Przebiegły Wąż dłonią powstrzymując towarzyszy.

- Wysłał, wysłał, Mały Niedźwiedź, Szare Oczy i Żółty Brzuch wyruszyli na przespiegi, jeszcze zanim burza rozszalała się na dobre - uspokoił go Dwa Uderzenia. - Wracajmy teraz!

150

151

- Houghl Byłem pewny, że Czarny Wilk nie zaniecha ostroż-ności - z ulgą powiedział Przebiegły Wąż. - Czy już odnaleźli-ście tego, który zginął?

Dwa Uderzenia skinął głową, po czym rzekł:

- Gdy tylko udało ci się zawrócić stado bizonów, natychmiast podążyliśmy na miejsce wypadku.

Niewiele pozostało z oficera „Złamanych Strzał” i jego sunka wakan. Wyglądali jakby przetoczyła się po nich ogromna skała...

Ani razu nie wymienili imienia Przeciętej Twarzy, okazując w ten sposób swój wielki szacunek dla zmarłego. Czasem tylko, gdy chodziło o bardzo wybitnego wojownika lub wielką, zasłużoną dla ogółu osobistość, mówiło się o zmarłym używając jego imienia.

Długi Pazur pierwszy otrząsnął się z przykrych wspomnień, uderzył konia arkanem.

- Ruszajmy w drogę! - zawołał.

Jechali w milczeniu, ponagłając konie, toteż niebawem ujrzeli Wahpekute krzątających się wokół upolowanej zwierzyny. Myśliwi już podnajdywali zabite przez siebie bizony. Nie było to zbyt trudne, ponieważ każdy malował lub nacinał na swoich strzałach własne znaki. One to umożliwiały stwierdzenie, kto upolował danego bizona. Jeśli jednak w zabitym zwierzęciu znajdowano strzały kilku myśliwych, wtedy dzielono łup pomiędzy wszystkich, których pociski ugodziły bizona.

Właśnie Czarny Wilk oraz Ogon Byka objeżdżając konno miejsce łowów, rozsądzali spory myśliwych.

Przebiegły Wąż i jego dwaj towarzysze z dala wypatrzyli dowódcę. Jak to było w zwyczaju Indian, pełnym galopem wpadli pomiędzy zapracowanych Wahpekute. Rozległy się okrzyki radości, imię Przebiegłego Węża podawane z ust do ust obiegało lotem błyskawicy miejsce łowów.

Tymczasem trzech jeźdźcy gwałtownie powstrzymali konie dopiero przed Czarnym Wilkiem.

Na widok Przebiegłego Węża po groźnej twarzy Czarnego Wilka przemknął błysk radości.

Przebiegły Wąż tymczasem ze-skoczył z mustanga i stanął przed dowódcą. Ten również zsiadł z konia. Obrzucił młodego wojownika badawczym spojrzeniem i upewniwszy się, że jest zdrow i cały, odezwał się chrapliwym głosem:

152

- Wróciłeś szczęśliwie, a już obawialiśmy się, że i ty mogłeś zginąć.

- Mój sunka wakan całkowicie postradał siły, a ja również musiałem odpocząć - usprawiedliwił się Przebiegły Wąż.

Czarny Wilk spoglądał prosto w oczy Przebiegłego Węża, jak-by coś rozważał w myśli, po czym położył swoją dłoń na jego ramieniu i rzekł:

- Przecięta Twarz i Przebiegły Wąż okazali pogardę śmierci godną wielkich wojowników. Dla uratowania plemienia gotowi byli poświęcić własne życie. O tym niezwykłym czynie będą jeszcze opowiadały wnuki naszych synów. Przecięta Twarz zginął zaszczytną śmiercią wielkiego wojownika. Mój brat, Przebiegły Wąż, sam wykonał trudne i niezwykle niebezpieczne zadanie.

Będę pamiętał o tym, gdy rada starszych plemienia przystąpi do wyboru mego zastępcy w

żołnierskim związku „Złamanych Strzał”. Hough!

Przebiegły Wąż oniemiał. Łzy załśniły w jego oczach. Pochylił głowę. W najśmielszych marzeniach nie spodziewał się tak zaszczytnego wyróżnienia. Teraz droga do prawdziwej sławy stawała przed nim otworem!

Wahpekute przysłuchujący się rozmowie byli bardzo poruszeni niezwykłym wydarzeniem. Sam fakt wymienienia nazwiska Przeciętej Twarzy stawał poległego w rzędzie najwybitniejszych Wahpekute. Zrównanie wielkich zasług poległego bohatera z cieniem Przebiegłego Węża oraz zapowiedź nadania temu ostatniemu godności zastępcy dowódcy „Złamanych Strzał”, oznaczały wprowadzenie młodego wojownika do grona najbardziej zasłużonych. Toteż wokoło rozlegały się glosy podziwu i uznania.

Czarny Wilk cofnął swoją dłoń z ramienia Przebiegłego Węża, po czym rzekł przyjaźnie:

- Teraz idź i uraduj naszego wielkiego szamana swoim widokiem. Czerwony Pies nie może sobie dać rady z waszymi kobietami, które płaczą i lamentują z powodu twojej nieobecności, a tymczasem upolowana zwierzyna nie powinna zbyt długo leżeć na słońcu. Pomóż im w pracy, na dzisiaj zwalniam cię z żołnierskich obowiązków.

Nim Przebiegły Wąż zdołał ochłonąć po tak ważkim w jego życiu wydarzeniu, przypadły do niego żony dziadka i Mem'en gwa.

153

Właśnie razem z szamanem ćwiartowały drugiego upolowanego bizona, gdy dotarła do nich radosna wieść o powrocie Przebiegłego Węża. Tak jak stały, pobiegły go witać. Teraz jeszcze powalane bizonią krwią śmiały się i płakały na przemian, hałaśliwie okazując swą radość.

Zwłaszcza Mem'en gwa promieniała ze szczęścia. Przez całą noc nawet nie zmrużyła oka.

Przerażała ją myśl, że jej ukochany mąż mógłby już nie ujrzeć dziecka, które miała mu wkrótce urodzić. Teraz uszczęśliwiona, zgodnie ze zwyczajem, poprowadziła męzowskiego mustanga.

Czerwony Pies nie pobiegł z kobietami witać wnuka, choć w głębi serca miał na to wielką ochotę.

Okazywanie osobistych uczuć na oczach wszystkich nie należało do dobrych obyczajów. Toteż Czerwony Pies na pozór obojętny i opanowany ani na chwilę nie przerwał pracy. Wodzowie zawsze pracowali na równi z wszystkimi. Za ledwie nastał świt, szaman odszukał zwierzynę ubitą przez wnuka i teraz właśnie ściągał skórę z trzeciego bizona. W tej chwili niczym nie wyróżniał się wśród innych Wahpekute. Ubrany był w przepaskę biodrową, z której zwisał do połowy ud szeroki pas skórzany. Po jego nagim ciele spływała bizonią posoką. Dopiero gdy Przebiegły Wąż otoczony kobietami stanął przed nim, przerwał pracę. Okrwawione ręce skrzyżował na piersiach.

Przeciągłym spojrzeniem ogarnął wnuka, po czym odezwał się:

- Zapewniałem kobiety, że wkrótce powrócisz, ale one mimo to wciąż lamentowały. Teraz radość na

pewno doda im sił do pra-cy. Zabiłeś sześć bizonów, a my do tej pory oporzędziliśmy tylko dwa.

- Nie mogłem prędeż powrócić, sunka wakan omal nie padł z wyczerpania i ja również opadłem z sił - odpowiedział Prze-biegły Wąż. - Jednak nic mi się nie stało. Gdzie jest moja sio-stra?

- Poranna Rosa opłakuje śmierć przybranego ojca jej męża

- pospieszyła z wyjaśnieniem najstarsza żona szamana.

- Śmiały Sokół jest przy niej - cicho dodała Mem'en gwa.

- Twój szczęśliwy powrót ucieszy ich obydwaje.

Przebiegły Wąż westchnął ciężko. Mąż jego siostry. Śmiały Sokół, został usynowiony przez Przeciętą Twarz po przystąpieniu do plemienia Wahpekute. Zrozumiałe więc było, że obecnie razem z żoną uczestniczyli w żałobnych lamentach.

154

- Ten, który był przybrany ojcem Śmiałego Sokola, poległ zaszczytną śmiercią dzielnego wojownika - po chwili odezwał się Przebiegły Wąż. - Jednak wielka to strata dla nas wszystkich.

Będziemy smucić się razem z jego krewnymi. Teraz zabierzmy się do oporzędzania bizonów.

Czarny Wilk zwolnił mnie na dzisiaj z żołnierskich obowiązków. Mięso i skóry muszą być jak najprę-dzej przeniesione do obozu.

- Dobrze mówisz! - pochwalił Czerwony Pies. - Nie wia-domo przecież, z jakimi wieściami przybędą zwiadowcy wysłani na południe! Musimy być przygotowani na najgorsze!

Umilkły rozmowy. Umiejętne poćwiartowanie bizona wyma-gało wielkiej uwagi oraz zręczności. Każda część bizona była zu-

żytkowywana, nic nie mogło się zmarnować. Najwięcej kłopotu zawsze sprawiało położenie zwierzęcia na brzuchu, przy czym rozstawiano szeroko jego cztery nogi jako podpory. Mężczyźni zazwyczaj pomagali sobie wzajemnie w odpowiednim ułożeniu ciężkiego zwierzęcia. Potem kobiety mówiły mężczyznom, jak ma-ją zdejmować skórę 3S, ponieważ one najlepiej wiedziały, na co ją przeznaczają i znały takie sposoby zdzierania, aby nadawała się później do przeznaczonego przez nie celu. Natomiast przy dziele-niu mięsiwa kobiety pracowały na równi z mężczyznami.

Przez cały dzień Wahpekute odbywali wędrówki pomiędzy polem łowów i obozem. Pot zmieszany z krwią świeżego mięsa spływał po przygarbionych plecach dźwigających zdobycz łowiec-ką.

Włóki ciągnięte przez konie i psy uginały się pod ciężarem skór i mięsiwa. Dopiero gdy słońce pochyliło się ku zachodowi utrudzeni mężczyźni, kobiety i dzieci zaczęli podążać do obozu.

w Indianie znali dwa sposoby preparowania skór zwierzęcych. Pierwszy polegał na suszeniu na

słońcu, dzięki czemu skóra nabierała niemal twar- dości drewna. Tak więc świeżo zdjętą skórę rozpinali na ziemi i przyszpili- lali drewnianymi kołkami. Skrobaczką (z rogu lub kości i zaostzonego ka- mienia) zeszkrobywali włókna mięsne, potem odwracali skórę na drugą stro- nę i zeszkrobywali sierść. Oczyszczona skóra schła na słońcu przez cztery dni, po czym była gotowa do użycia. Z twardej skóry robili podeszwy do moka- synów noszonych na prerii, sznury, siodła, tarcze, torby na ubrania i żyw- ność oraz wytwarzali z niej wszelkie przedmioty wymagające trwałego ma- teriału. Drugi, o wiele trudniejszy, czasochlenniejszy sposób polegał na sta- rannym garbowaniu, które czyniło skórę miękką jak wełniany materiał. Wyrabiano z niej cholewki do mokasynów, suknie, koszule, nogawice, po- krycia na tipi i posiania do snu oraz zimowe okrycia, na których pozosta- wiano sierść, aby były cieplejsze. Garbowanie na miękko wymagało wielu starannych zabiegów. Najpierw dokładnie oczyszczano skrobaczką obydwie strony skóry.

Następnie pastą przyrządzoną z wątroby, mózgu i tłuszczu na- cierało miejsce przy miejscu całą skórę, nie przerywając pracy ani na chwi- lę (skóra zaraz by stwardniała), dopóki pasta nie została całkowicie wchło- nięta. Potem zwijano skórę w rolkę i kładziono w ocienionym miejscu na kilka dni, aby pasta przeniknęła do głębi. Wreszcie z powrotem rozwijano skórę, naciągano ją i ugniatano rękami dla ostatecznego zmiękczenia, co wymagało niemal całego dnia ciężkiej, nieprzerwanej pracy. Garbowana w ten sposób skóra przybierała kremowobiały kolor. Aby uczynić skórę nie- przemakalną, Indianie przesycali ją dymem. W tym celu rozpalali ognisko, używając gałęzi lub korzeni cedru albo jałowca, a niektórzy palili naroślą grzybowe z korzeni i pni drzew albo dzikie trawy i zioła. Nad tłącym się ogniem, który dawał dużo dymu, a mało płomieni, stawiano wysoki trójnóg z grubych kijów. Do niego to uwiązywano skórę uformowaną jakby w kształt tipi, nakrywającego dymiące ognisko. Nasycanie dymem trwało kilka dni, po czym rozwieszano skórę na powietrzu, aby wywietrzał z niej swąd dymu.

156

157

Na polu łowów nic już nie pozostało. Nawet zwierzęca posoka wsiąkła w ziemię prerii.

Powrót do obozu oznaczał dla mężczyzn zasłużony odpoczynek po dwóch niebezpiecznych i znojných dniach. Natomiast dla ko- biet dopiero teraz rozpoczynała się najcięższa praca. Najpierw więc odprowadziły męzowskie konie na wspólne pastwisko, gdzie miały wypoczywać pod strażą wyrostków. Potem musiały przygo- tować wieczorny posiłek dla całej rodziny. Połcie świeżego mięsa należało jak najprędzej pokroić na cienkie paski i zawiesić na sznurach rozpiętych na żerdziach wbitych w ziemię, aby suszyły się na słońcu i wietrze. Świeże skóry zdarte z bizonów trzeba było natychmiast wyprawiać zgodnie z ich przeznaczeniem. Kobiety dwoiły się i troiły, dzieciarnia zносиła gnój bizoni na opał, kundle łakomie kręciły się wokół stert mięsiwa, cały obóz rozbrzmiewał gderliwymi, ponagłającymi głosami niewiast.

Czerwony Pies i Przebiegły Wąż zmyli krew ze swych ciał w pobliskim bajorze, po czym przybrani w świeże odzienie zasie- dli do wieczornego posiłku. Mem'en gwa postawiła przed nimi misę gotowanego, tłustego mięsiwa, ozór bizoni i szpik kostny oraz świeże dzikie śliwki. Długo jedli w milczeniu, a gdy wreszcie 'zaspokoili głód, wyruszyli do tipi zmarłego Przeciętej Twarzy.



# Narodziny szamana

Przebiegły Wąż, ubrany według zwyczaju „Złamanych Strzał”, szedł statecznym krokiem u boku sędziwego szamana. Wiele mówiące spojrzenia oraz okrzyki podziwu dziewczyn i młodych kobiet sprawiały mu niemalą przyjemność. Napotykanii po drodze wojownicy pozdrawiali go z uznaniem. Wszyscy podziwiali jego niezwykłą odwagę i pogardę śmierci wykazaną podczas łowów. Zawrócenie stada rozhukanych bizonów wysunęło go do grona zasłużonych wojowników.

W pobliżu tipi poległego Przeciętej Twarzy żarzyło się ognisko, wokół którego zasiadali: Biała Antylopa, Kongra-Tonga, Burza Gradowa, Czarny Wilk, Podcięte Gardło i Czerwona Woda. Oni to właśnie stanowili radę starszych plemienia.

Czarny Wilk, pełniący obecnie funkcję wojennego wodza, ujrzawszy nadchodzących powstał i ruchem dłoni zaprosił do grona rady starszych.

- Moi bracia zjawiają się w samą porę - rzekł. - Rada starszych miała teraz prosić ich o przybycie na naradę.

Cień zaskoczenia przewinął się po twarzy Czerwonego Psa.

Dlaczego wcześniej nie powiadomiono go o naradzie? Czyżby... Zaraz jednak przybrał obojętny wyraz twarzy i, jakby nic nie zaszło, usiadł przy Białej Antylopie, zapraszającym go ruchem dłoni.

Przebiegły Wąż już zamierzał oddalić się, ale Czarny Wilk powstrzymał go, mówiąc:

- Niech mój brat, Przebiegły Wąż, siądzie przy mnie!

Biała Antylopa, najstarszy wiekiem po szamanie, spostrzegł

uprzednio błysk zaskoczenia w twarzy wodza pokoju. Ubawiło go

to i nie spieszył się z wyjaśnieniem. Dopiero po kłopotliwej chwili milczenia zabrał głos:

- Nasz brat, Czarny Wilk, jako wojenny wódz na czas polowania, zwołał radę starszych w celu podjęcia ważnej i pilnej decyzji. Uważał tak jak my wszyscy, że nasz brat, Czerwony Pies, nie powinien brać udziału w rozważaniach, kto ma zająć miejsce poległego zastępcy dowódcy

„Złamanych Strzał”. Czarny Wilk zaproponował właśnie mianowanie Przebiegłego Węża swoim zastępcą. Rada starszych musiała mieć możliwość swobodnego rozważenia sprawy.

Obecność Czerwonego Psa krępowałyby nie tylko jego samego, ale również i nas.

- Moi bracia postąpili słusznie, powodowała nimi mądrość i troska o losy plemienia Wahpekute -

powiedział szaman. - Nie mógłbym brać udziału w podejmowaniu takiej decyzji.



- Czarny Wilk jest wielkim wojownikiem, nigdy nie rzuca słów na wiatr - mówił dalej Biała Antylopa. - Tak i tym razem nie musiał przekonywać nas o niezwykłych zasługach naszego brata, Przebiegłego Węża. Rada starszych bardzo wysoko ocenia dużą odwagę, bezinteresowność i szlachetne postępowanie.

Rada starszych jednomyślnie powierzyła Przebiegłemu Wężowi godność zastępcy wodza „Złamanych Strzał”. Obwoływacz jeszcze dzisiaj obwieści to ogłowi Wahpekute. Hough\

Czarny Wilk podniósł się, ze skórzanej torby przewieszanej przez ramię wydobyl woreczek z żółtą farbą. Skinął dłonią, aby Przebiegły Wąż stanął przy nim, po czym pomalował jego twarz na żółto, czyli kolorem symbolizującym oficerów żołnierskiego związku „Złamanych Strzał”.

Starszyzna plemienia z przyjaznym zaciekawieniem spoglądała na młodego oficera, który głęboko wzruszony długo nie mógł wydobyc z siebie głosu. Wreszcie odezwał się nadspodziewanie pewnie:

- Moi czcigodni starsi bracia obdarzyli mnie niezwykle zaszczytnym dla wojownika wyróżnieniem. Nie jestem pewny, czy naprawdę zasłużyłem sobie na nie. Zawsze będę starał

się, w miarę moich sił, wypełniać wolę rady starszych. Szaman Czerwony Pies, przed którym duchy nie mają tajemnic, przepowiedział, że z woli duchów zginę w obronie ziemi naszych praojców! Wiem, że tak się stanie! Los mój na Ziemi został wyznaczony jeszcze wtedy, 160

gdy mój duch przebywał w Krainie Świętego Grzmotu. Minionej nocy podczas burzy Ptak Świętego Grzmotu objawił mi wolę Wielkiego Ducha. Obym tylko mógł i w tej roli dobrze służyć duchom i moim braciom Wahpekute.

Rada starszych z wielką uwagą słuchała Przebiegłego Węża. Wszystkim wiadome było, że jego dusza odbywała wędrówki do krainy duchów, które zdradzały mu różne tajemnice. Przecież był

ukochanym wnukiem wielkiego szamana, Czerwonego Psa. On to zapewne przelewał na wnuka swą czarodziejską moc. Obydwaj przybyli na Ziemię z Krainy Świętego Grzmotu. Wola duchów dla wszystkich stanowiła prawo.

Przebiegły Wąż milczał zapatrzony w poważne twarze starszyzny. Naraz przymknął oczy, powoli uniół do góry głowę. Twarz jego zastygła, nabierała kamiennego wyrazu. Wreszcie zaczął

mówić cicho bezbarwnym głosem:

- Wrogowie krążą wokół nas, słyszę ich kroki... Zwiadowcy Wahpekute odkryli na południu podejrzaną ślad. Widzę ich, to Paunisi! Chcą zabrać nasze tereny łowieckie, chcą nas zagłodzić! Wahpekute ze swymi braćmi Yankton Dakotami uprzedzą atak wrogów. Widzę -

wielką wyprawę wojenną, to nasi wojownicy, ich siła przerazi Paunisów, którzy cofną się na południe... Nikt z Wahpekute ani Yankton Dakotów nie zginie na tej wojennej wyprawie. Znak Ptaka Świętego Grzmotu uczyni ich nietykalnymi dla wrogów...

Przebiegły Wąż umilkł. Pierś jego unosiła się w ciężkim, nierównym oddechu. Opuścił głowę,

westchnął głęboko. Wyczerpa-nie odmalowało się na jego twarzy. Powolnym ruchem siadł z powrotem obok Czarnego Wilka.

Rada starszych wciąż jeszcze oszołomiona nieoczekiwanym proroctwem siedziała w milczeniu.

Rozmowy szamanów z ducha-mi zawsze wywierały wielkie wrażenie. Teraz nieoczekiwanie objawił się im nowy szaman, który przepowiedział zwycięską wojnę z Paunisami.

Czerwony Pies nie mniej zdumiony od innych zatapiał w ukochanym wnuku niespokojne, przenikliwe spojrzenie. Przebiegły Wąż nie zwierzył mu się ze swych niezwykłych przeżyć podczas nawałnicy. Zapewne uczyniłby to później wieczorem, ponieważ 161

## ***11 Przekleństwo złota***

przez cały dzień pracowali w gronie kobiet i ani na chwilę nie pozostawiali sami. Tymczasem, zanim nadarzyła się sposobna chwila do wynurzeń, rada starszych obdarzyła Przebiegłego Węża wysoką godnością wojskową. Niewątpliwie wprawiło to młodego wojownika w stan podniecenia.

Oszołomiony tak ‘wielkim sukcesem’ zwierzył się radzie starszych z otrzymania znaku od Ptaka Świętego Grzmotu. Wyznanie to uradowało starego szamana. Przecież od dawna pragnął, aby jego wnuk objął po nim rolę szamana. Czy jednak później naprawdę duchy przemówiły ustami Przebiegłego Węża? Śmiałe zapewnienie, że nikt z Dakotów nie zginie na wyprawie przeciwko Paunisom było bardzo ryzykowne! Gdyby wbrew przepowiedni stało się inaczej, młody szaman stałby się ogólnym pośmiewiskiem i już nigdy nie znalazłby posłuchu. Mimo okazywanej na zewnątrz obojętności niepokój nurtował Czerwonego Psa. W jego pamięci tkwiła jak bolesna zadra udana rozmowa z Wielkim Duchem przed wyruszeniem na łowy. Aby osiągnąć swój cel zapewnił radę starszych, że jesienne polowanie będzie nadzwyczaj pomyślne, a tymczasem rzeczywistość zaprzeczyła upozorowanej przepowiedni. Zginął Przecięta Twarz, a wszyscy Wahpekute omal nie zostali stratowani przez bizony! Choć jeszcze nikt nie wypomnił mu tego, jego autorytet szamański na pewno został nadszarpnięty. Czy jego wnuk uniesiony dumą również nie popełnił błędu? Jednak po chwili Czerwony Pies uspokoił się, Przebiegły Wąż jeszcze spoglądał błędnym wzrokiem i było widać, że naprawdę z dużym trudem odzyskuje świadomość.

Rada starszych w coważnym skupieniu rozważała słowa Przebiegłego Węża. Tylko Czarny Wilk niespokojnym wzrokiem mierzył starego szamana i jego wnuka. Znał przecież tajemnicę Czerwonego Psa. Jednak obserwując uważnie Przebiegłego Węża pozbył się obaw. Widział już przedtem wnuka szamana rozmawiającego z duchami. Toteż podniósł się i przemówił:

- Przebiegły Wąż udowodnił nam, że dokonaliśmy trafnego wyboru mego zastępcy w związku

„Złamanych Strzał”. Udział dzielnego szamana w wyprawach wojennych wesprze waleczność naszych wojowników. Czarodziejski znak Ptaka Świętego Grzmotu będzie osłaniał nas przed strzałami wrogów. Sprzyjające nam duchy przemawiały ustami Przebiegłego Węża i już wyjawiały to,

co właśnie chcę oznajmić moim braciom. Zwołałem radę starszych, ponieważ zwiadowcy wysłani przeze mnie na południe przynieśli złe wiadomości. Zwiadowcy odkryli ślady naszych wrogów. To Skidi Paunisi podpalili prerię i błyskami świateł pognali bizony wprost na nasz obóz! Dopiero po zawróceniu stada przez Przebiegłego Węża na południe wycofali się z naszych terenów łowieckich.

- Czy te śmierdzące kojoty znajdowały się na wojennej ścieżce? - zapytał Biała Antylopa.

- Nie, były wśród nich kobiety i dzieci - odparł Czarny Wilk. - Oni polowali na bizony.

- Zbyt często zakłócają nasze plemienne łowy! - wtrącił Burza Gradowa.

- Dobrze mówi mój brat! - przywodził Podcięte Gardło. - Tę bliznę noszę od czasu walki z nimi w pobliżu naszej osady. Także Skidi Paunisi podczas naszego plemiennego polowania porwali Poranną Rosę, córkę Czerwonego Psa!

- Nasi bracia Yankton Dakotowie niedawno mówili mi, że ostatnio kilkakrotnie znajdowali ślady Paunisów w pobliżu swoich osad - odezwał się Czerwony Pies. - Paunisom zaczyna być ciasno nad rzeką Missouri. Podobno przybywają tam plemiona indiańskie wyganiane ze wschodu i południa przez białych ludzi<sup>39</sup>.

<sup>39</sup> Nabycie Luizjany przez Stany Zjednoczone od Francji w 1803 r. otworzyło pionierom amerykańskim drogę na zachód od Missisipi. W 1808 r. Osagowie zrzekli się praw do północnej części Arkansasu i całego Missouri, a w 1817 r. Quapaw oddali białym resztę Arkansasu. Tak więc Arkansas i Missouri zostały otwarte dla osadnictwa. Indianie wypierani przez osadników szli dalej na zachód za bizonami na Wielkie Równiny. W 1825 r. Kongres USA zatwierdził projekt Johna C.

Calhouna, sekretarza wojny prezydenta Monroe'a, ustalający stałą Granicę Indiańską. Obszary leżące na zachód od 95 południka miały stanowić na zawsze ziemię Indian. Według mniemania rządu obszary oddane Indianom w wieczne posiadanie były bezużyteczną pustynią, nie nadającą się do zamieszkania przez osadników.

W pierwszym rządzie miano tam przesiedlić ok. 79'000 Indian z południa, najpierw jednak należało usunąć mieszkających tam Indian Równin dalej na zachód od 95 południka. Pierwsi osiedli w rezerwach Indianie Choctaw i Czirokezi. Następnie pod naporem bagnetów przesiedlono tam: Szaunisów, Delawarów, Kickapoo, Sauków, Lisów, Iowa, Potawatomi, Ottawa, Miami, Creeków i Seminolow. Mieli oni pędzić swobodne życie w rezerwach, do 163

- Paunisi chcą wygnać nas z ziemi naszych przodków! - rzekł porywczo Biała Antylopa.

- Musimy wreszcie pokazać im naszą siłę! - powiedział Kon-gra-Tonga. - Duchy ustami dzielnego Przebiegłego Węża wskażą nam drogę. Musimy nakłonić naszych braci Yankton Dakotów, aby razem z nami wykopali topór wojenny przeciwko wspólnemu wrogowi.

- Niech moi bracia po kolei wypowiedzą się, co mamy uczynić - zaproponował Czarny Wilk.

- Wielki Duch ostrzegł nas ustami Przebiegłego Węża, więc niech on, jako dzielny wojownik, przemówi pierwszy! - powiedział Biała Antylopa.

Czerwony Pies poruszył się niespokojnie. Posłał wnukowi ostrzegawcze spojrzenie. Zdawało mu się, że przebiegły Biała An-tylopa już szukał ofiarnego kozła na wypadek niepowodzenia wyprawy wojennej.

Jednak Przebiegły Wąż nie zwracając uwagi na słane mu nieme ostrzeżenia powstał i odezwał się chrapliwym głosem:

- Łowieckie tereny Dakotów zostały najechane przez Pauni-sów. Śmierć Paunisom!

- Wojna! - zawołał Biała Antylopa.

- Wojna! - jak echo powtórzył Burza Gradowa.

Potem reszta członków rady starszych jednomyślnie wypowiedziała się za wykopaniem wojennego toporu przeciw Paunisom.

- Jeszcze kilka wieczorów zajmie nam przygotowanie zapa-sów mięsa, tłuszczu i wyprawianie skór

- odezwał się Czarny Wilk. - Potem wracamy do osady i wtedy rozpoczniemy przygotowania do wyprawy wojennej. Zaraz jednak powinniśmy wysłać posła do naszych braci Yankton Dakotów, żeby przyłączyli się do nas. Potrzebujemy również więcej sunka wakan dla naszych wo-których białym zakazano wstępu, z wyjątkiem licencjonowanych kupców. Jednak wschodnie rolnicze, osiadłe plemiona nie mogły przystosować się do obcych im warunków na Wielkich Równinach. Trudno im było przyswoić sobie zwyczaje nomadów, jazdę konną i tajniki polowań na bizona, które stanowiły podstawę istnienia w bezkresnej kradnie trawy. Współżycie z nomadami Wielkich Równin również nie układało się pokojowo. Indianie Równin traktowali przybyszów jak uciążliwych intruzów, a Indianie wschodni uważali nomadów za prymitywnych barbarzyńców.

Tak więc wojny międzyindiańskie rozgorzały na granicy.

164

wojowników. Może uda się nam kupić je od Yankton Dakotów? Kto z moich braci podejmie się roli posła?

Wszyscy niemal jednocześnie spojrzeli na Czerwonego Psa. On miał wielu przyjaciół wśród Yankton Dakotów. Czerwony Pies zrozumiał nieme wezwanie rady starszych.

- Niech stanie się tak, jak sobie życzą moi bracia - powiedział. - Za dwa wieczory wyruszę w drogę.

- Yankton Dakotowie są trochę zagniewani za uprowadzanie koni przez Wahpekute, więc Czerwony Pies jednocześnie uzgodni z nimi zapłatę - dodał Czarny Wilk. - Dla bezpieczeństwa w drodze kilku wojowników będzie towarzyszyło posłowi podążającemu w tak ważnej misji.

Hough!

Narada była skończona. Teraz wszyscy ruszyli do tipi, w którym złożono zwłoki Przeciętej Twarzy. Szaman Czerwony Pies oraz Przebiegły Wąż, jako spokrewnieni z poległym, szli na czele korowodu. Tuż za nimi kroczył Czarny Wilk.

Przed wejściem do tipi siedzieli mężczyźni, najbliżsi krewni zmarłego, a więc: dwaj bracia, Niedźwiedzia Łapa i Łowca Szopów, przybrany syn - Śmiały Sokół, trzej zięciowie oraz bracia 165

Przeciętej Twarzy. Na znak żałoby ubrali się w stare, naj-bardziej zniszczone ubrania, rozpletli warkocze i natarli twarze popiołem. Najstarszy z braci, Niedźwiedzia Łapa, monotonnym głosem nucił pieśń wspominającą wybitne wojenne czyny zmarłego.

Starszyzna plemienia przysiadła przy mężczyznach na ziemi na rozłożonych skórkach zwierzęcych, natomiast Czerwony Pies i Przebiegły Wąż weszli do tipi, w którym rozlegał się płacz lamentujących kobiet.

W głębi mrocznego namiotu, na niskim posłaniu spoczywał martwy Przecięta Twarz. Jego złączone nogi były nieco zgięte w kolanach, co sprawiało wrażenie, że opiera się stopami o posłanie. Ręce miał skrzyżowane na piersiach. Tylko mocno okaleczona twarz, obecnie grubo pokryta barwami wojennymi, uzmysławiała jego straszną śmierć, bowiem zmasakrowane ciało obłożono suchą trawą i ziołami, aby ubranie nie uwidaczniało zniekształceń. Zmarły przyodziany był w swój najlepszy strój wojenny. Na głowie miał nałożony wspaniały pióropusz z orlich piór, którego długi ogon, przełożony przez lewe ramię, spoczywał na piersiach obok łaski uderzeń. Zmarły jakby przyciskał rękami do swej piersi orle pióra, świadczące o jego niezwykłych czynach wojennych oraz łaskę uderzeń. Tuż przy posłaniu, na rozłożonych skórkach, leżały jego osobiste rzeczy: tarcza, kołczan z łukiem i strzałami, lanca, woreczek z fajką i tytoniem, dwie pary nowych mokasynów, kamienny nóż i inne drobiazgi.

Przed łóżem zmarłego półkolem siedziały kobiety. Na samym przedzie znajdowały się trzy żony Przeciętej Twarzy. Najmłodsza z nich, faworyta zmarłego, na znak wielkiego żalu obcięła warkocze i kamiennym toporkiem odrąbała sobie koniec wskazującego palca u lewej dłoni. Teraz, obnażona do pasa tak, jak i pozostałe dwie starsze żony, paznokciami drapała swe ramiona aż do krwi. Starsze żony i córki rozplotły warkocze, luźno opuszczając włosy na nagie plecy. Twarze ich były natarte popiołem. Lamentowały złorzecząc Paunisom. Co pewien czas któraś z nich okazywała swoją wielką żalność nacinając kamiennym ostrzem skórę na rękach i nogach. Umazane popiołem i własną krwią głośno zawodziły. Żony braci Przeciętej Twarzy także rozplotły warkocze i natarły twarze popiołem.

ififi

Czerwony Pies i Przebiegły Wąż przystanęli obok łóża zmarłego. Zimny dreszcz przeniknął

Przebiegłego Węża, w wyobraźni jeszcze raz ujrzał nieustraszonego wojownika w milczeniu padającego wprost pod racice rozjuszonego stada. Dopiero po pewnym czasie ochłonął z przerażającego wspomnienia. Teraz zerknął w stronę lamentujących kobiet. W półmroku ujrzał swoją siostrę, Poranną Rosę. Znajdowała się pomiędzy kobietami rodziny Przeciętej Twarzy. Twarz pomalowaną popiołem osłaniała dłońmi, lecz spomiędzy palców połyskiwały jej oczy. Wyczuwał, że

spogląda na niego. Na moment przymknął powieki. Zrozumiała powitanie, bo-wiem pierś jej zaczęła unosić się w przyspieszonym oddechu. Czerwony Pies wkrótce dotknął ramienia wnuka.

Obydwaj wyszli z tipi.

Szaman zatrzymał się w gronie mężczyzn. Wszyscy spojrzeli na niego. Szaman plemienia zazwyczaj ustalał obowiązujący ro-dzinę okres żałoby. Po chwili milczenia Czerwony Pies odezwał się:

- Śmierć naszego dzielnego brata będzie pomszczona. Rada starszych uchwaliła wojnę z Paunisami. Za dwa wieczory wyru-szam do naszych braci Yankton Dakotów, by nakłonić ich do wkroczenia na wojenną ścieżkę razem z nami. Znajdujemy się w niebezpiecznej sytuacji.

Jesteśmy z dala od osady razem z ko-bietami, dziećmi i starcami. Wrogowie są w pobliżu, w razie na-padu nie moglibyśmy bronić się skutecznie. Musimy więc jak naj-spieszniej przygotować zapasy żywności i powrócić do osady. Ju-tro o świcie pochowamy zmarłego, a w cztery wieczory później złożymy duchom ofiarę. Ze względu na wojenną porę rodzina bę-dzie opłakiwała swoją wielką stratę przez czas jednego księżyca.

Hough\

Szaman Czerwony Pies udał się z wnukiem na prerię. Wkrótce minęli linię rozstawionych straży.

Gwar obozowy z wolna przy-cichał za nimi. Usiedli na wzgórzu, skąd widać było blask obozo-wych ognisk. Szaman i wnuk nareszcie byli sami. Nadeszła pora ważkich, sekretnych zwierzeń.

Długo trwały przyciszone rozmo-wy. Wreszcie sędziwy szaman klęknął przy wzruszonym wnuku.

Wyciągnięte przed siebie dłonie oparł na jego ramionach i długo spoglądał w rozgwieżdżone niebo. Może błagał duchy o opiekę nad ukochanym wnukiem, a może też przelewał na niego swą czaro-IR”

dziejską moc... Wreszcie szaman ocknął się z zadumy. Cofnął dło-nie, powstał. Poważna twarz zajaśniała spokojem. Lekkim kro-kiem wracali do obozu. Księżyc wspiął się już wysoko na niebo.

Wkrótce obydwaj znów zasiedli wśród lamentującej rodziny zmarłego. O świcie Czerwony Pies udał się do swego tipi i powró-cił niebawem przybrany w obrzędowy strój szamański.

Tego ranka tylko zwiadowcy przebywali poza obozem. Wszy-scy Wahpekute przerwali pracę i zgromadzili się wokół tipi zmar-łego.

Szaman Czerwony Pies oraz oficerowie związku „Złamanych Strzał”: Czarny Wilk, Przebiegły Wąż, Łowca Orłów i Głos Ko-jota przybrani po żołniersku weszli do tipi.

Na ich widok wzmo-gły się zawodzenia kobiet. Wojownicy ła-godnie odsunęli je od łoża zmarłego.

Sędziwy szaman uniósł do góry głowę Przeciętej Twarzy, a wtedy Czarny Wilk nożem od-ciął mu jeden warkocz. Najstarsza żona Przeciętej Twarzy przy-niosła zawiniątko, które położyła na białej wilczej skórze, po czym rozwinęła je. W zawiniątku tym przechowywano warkocze wszy-stkich

zmarłych członków rodziny. Najstarsza, pierwsza żona z czią wzięła z rąk żołnierza warkocz męża, włożyła go do zawi-niątko, po czym z powrotem je związała. Zawiniątko to zawsze ; było pilnie strzeżone i noszone przez kobiety podczas wędrówek poza osadę. Według wierzeń w długich włosach mieściła się mą-drość każdego człowieka, tak więc warkocze stanowiły ważną ‘ część ich osobowości.

Po obrzędzie obcięcia warkocza kobiety rozpostarły na ziemi rozciągliwą matę uplecioną z lipowego łyka. Na nią to żołnierze i przenieśli zmarłego. Przy jego boku umieścili broń, mokasyny oraz fajkę nabitą tytoniem przez szamana i następnie szczelnie owinęli zwłoki matą, którą z wierzchu przewiązali rzemiennymi sznurami.

Głos Kojota rozciął z boku skórzane pokrycie tipi i przez utworzoną w ten sposób szczelinę wyniesiono na zewnątrz zwłoki Przeciętej Twarzy. Wyniesienie zmarłego przez normalny otwór wejściowy mogłoby spowodować śmierć następnego członka rodziny. Za zmarłym, niesionym na noszach, kondukt żałobny ruszył na pobliskie wzgórze, gdzie kilka wysokich żerdzi wkopanych w ziemię podtrzymywało podłużną platformę zawieszoną na ich górnych końcach<sup>40</sup>. Na niej to umieszczono zmarłego. Przy nim <sup>40</sup> Wśród Indian Równin rozpowszechniony był zwyczaj pozostawiania zmarłego na specjalnym rusztowaniu umocowanym na wysokich żerdziach bądź ułożonym w rozwidleniu dużego drzewa. Niekiedy po rozpadzie ciała zabierano kości i chowano je w rozpadlinie skalnej. Często również grze-bano zmarłego w dole głębokim na około 5 stóp, a w zimie, gdy ziemia była <sup>168</sup>

169

położono tarczę i lancę, po czym całą platformę obwiązano sznu-rami. Do jednej żerdzi rusztowania wojownicy przywiązali odcię-tą głowę mustanga, który razem z Przeciętą Twarzą został stra-towany przez stado. Do drugiej - przymocowano czaszkę bizona.

Szaman Czerwony Pies dopilnowywał, aby niczego nie pomi-nięto w przygotowaniach do odejścia Przeciętej Twarzy z Ziemi do Krainy Wiecznych Szczęśliwych Łowów. Godny strój i wyso-kie odznaki wielkiego wojownika pozwalały zmarłemu wieść da-lej życie wśród duchów najświetniejszych przodków. Zabierał swoją wypróbowaną, ulubioną broń, świętą fajkę i mokasyny, chociaż nie był zmuszony wędrować pieszo, gdyż duch jego wierz-chowca odchodził razem z nim w tę daleką, zaziemską drogę. Czaszka ustrzelonego przez niego bizona zapewniała mu obfitość zwierzyny na polowaniach. Jego ziemską sława wielkiego wojow-nika miała mu towarzyszyć również w dalszym życiu w Krainie Wielkiego Ducha... Niczego więcej nie potrzebował do wiecznego szczęścia.

Po powrocie z pogrzebu Wahpekute spalili tżpi Przeciętej Twarzy razem z resztą jego osobistych rzeczy, aby widok ich nie budził w rodzinie przykrych wspomnień. Teraz imię jego powinno ulec zapomnieniu... Dopiero w cztery dni po pogrzebie rodzina zo-bowiązana była wyprawić ucztę, podczas której wypalano cere-monialną fajkę i składano duchom w ofierze pożywienie.

Bracia Przeciętej Twarzy postanowili, że po zakończeniu okre-su żałoby pojmą wdowy za swe dalsze żony, tak więc miały one zabezpieczony byt. Śmiały Sokół z Poranną Rosą przenieśli się do namiotu Czerwonego Psa, gdzie mieli zamieszkać aż do powro-tu do osady.

zbyt twarda do kopania, zwłoki składano w specjalnym drewnianym pomieszczeniu, w którym nakrywano je chrustem. Na specjalne życzenie umierającego chowano go po zgonie w jego tżpi, rozpiętym przy drzewie na pagórku, a wewnątrz namiotu obudowywano zwłoki niską ścianką z kamieni. Kiedykolwiek później rodzina zmarłego znajdowała się w pobliżu mogiły, wyprawiała ucztę i porządkowała miejsce pochówku.

Osobistą własność zmarłego palono lub rozdawano obcym. Zabijano także jego konie, ale w późniejszych czasach, gdy poszczególni Indianie już posiadali wiele koni i liczba ich stanowiła o zamożności, zabijano tylko jednego, ulubionego wierzchowca zmarłego, jednego pozostawiano wdowie, a resztę rozdzielano pomiędzy najbliższych krewnych.

i”n

Szaman-wódz pokoju nie miał czasu na odpoczynek przed daleką drogą do Yankton Dakotów.

Musiał dopilnować, aby wszyscy Wahpekute zaopatrzyli się w odpowiednie zapasy na zimę. W

plemieniu znajdowali się starcy oraz samotne wdowy, które nie znalazły sobie drugich mężów i pozostały same z dziećmi. Każdy myśliwy oddawał jednego z upolowanych przez siebie bizonów na zaopatrzenie tych, którzy sami nie mogli brać udziału w łowach. Tak więc Czerwony Pies prawie do zmięchu dokonywał sprawiedliwego podziału. Mimo to nazajutrz już o świcie dosiadł

mustanga. Na jego piersi spoczywało podłużne zawiniątko ze świętą fajką pokoju, będącą u wszystkich plemion glejtem poselskim. Otoczony pięcioma konnymi, zbrojnymi wojownikami opuścił obóz żegnany przez radę starszych.



# XIII

o tereny łowieckie

W nocnej głuszy trzykrotnie rozbrzmiał donośny głos sowy preriowej. Po chwili, jakby powtórzony przez echo, chropa-wy głos pierzastego drapieżnika rozległ się nieco dalej na wscho-dzie i zaledwie zamarł w dali, przyczajony nad brzegiem rzeki Przebiegły Wąż dotknął ramienia towarzysza. Ruszyli w kierunku ledwo zarysowującego się w mroku pasma wzgórz. Szum wartkich wód Missouri głuszył kroki, więc szli szybko jeden za drugim na-tężając słuch. Gwiazdy już przygasły na niebie i księżyc skrył się za wzgórzami. Jak zwykle przed samym świtem nieprzenikniona ciemność otuliła step.

Przebiegły Wąż i Sha'pa wkrótce znaleźli się u wylotu porośnię-tej drzewami doliny, w które obfitowała okolica dobrze nawadnia-na przez Missouri. Zza pnia drzewa wysunął się wartownik uzbro-jony w maczugę.

- Hough\ Jesteście nareszcie! - szepnął. - Czarny Wilk już dwa razy przysyłał gońców z zapytaniem o zwiadowców!

- Czas nagli, wkrótce będzie świtało! -- rzekł Przebiegły Wąż.

- Gdzie znajdziemy wodzów?-

- W głębi doliny przy strumieniu - odparł wartownik.

Zwiadowcy zniknęli w zaroślach. Wokół było cicho i spokojnie.

Nikt obcy nie mógłby się domyślić, że w pobliżu czaiło się ponad dwustu zbrojnych wojowników. Wreszcie w ciemnej gardzieli doliny zwiadowcy dostrzegli nikły odblask ledwo żarzącego się ogniska. Zasiadali wokół niego trzej wodzowie wyprawy wojennej w otoczeniu kilkunastu blotaunka, czyli oficerów wyznaczonych im do pomocy w dowodzeniu tak znaczną liczbą wojowników. To, że w wyprawie przeciwko Paunison znajdowali się wodzowie trzech 172

plemion Dakotów, stanowiło zasługę szamana Czerwonego Psa. On to bowiem dzięki swemu znaczeniu i wpływom, nakłonił plemiona Yankton i Yanktonai Dakotów do wspólnego wystąpienia z Wahpe-kute 41. Wojownikami Yanktonów dowodził Ha-sas-hah, nazywany także Ioway, natomiast na czele Yanktonai stał Wahh pai sha, czyli Czerwony Liść, znany z bezwzględności i twardej ręki w zarzą-dzaniu plemieniem. Obydwaj wodzowie siedzieli przy Czarnym Wilku, wybranym jednogłośnie na głównego wodza wojny podczas wyprawy przeciwko Paunison.

Przebiegły Wąż stanął przy ognisku przed wodzami. Natych-miast umilkły przyciszone rozmowy.

Wodzowie oraz wszyscy blo-taunka obrzucili młodego Wahpekute ciekawym spojrzeniem.

Wieści o niezwykłych czynach wojennych szybko rozchodziły się wśród plemion Dakotów, znane więc były wszystkim przeżycia dzielnego Przebiegłego Węża. On to przecież umknął z niewoli u Czipewejów, uprowadzając jednocześnie córkę wodza, którą później pojął za żonę. Podczas ucieczki

zabił w sprawiedliwym pojedynku groźnego Czipewęja, Mish wa waka. Potem samodzielnie 41 Indianie Równin prowadzili trzy rodzaje działań wojennych o odmiennej taktyce: napady zaczepne, walki obronne i znacznie rzadziej - wojny międzyplemienne. Napadem zaczepnym dowodził jego inicjator i mógł nim być każdy, kto zdołał zwerbować ochotników. W takiej wyprawie zazwyczaj brało udział kilku bądź kilkunastu wojowników, a celem jej było uprowadzenie koni, porwanie kobiet, a gdy sprzyjały okoliczności i branie skalpów. Pomyślne napady przynosiły inicjatorowi sławę, a liczba posiadanych koni oraz żon stanowiła o jego zamożności oraz znaczeniu w plemienu.

Taktyka działania polegała na zaskoczeniu nie przygotowanego wroga i jak najlepszym wykorzystaniu własnej przewagi. Najwięcej sławy przynosiło niepostrzeżone wślizgnięcie się do wrogiego obozu i uprowadzenie najlepszych koni, zazwyczaj dobrze strzeżonych i trzymanyh obok chaty. Im większe ryzyko ponosił napadający, tym większą zyskiwał sławę. Zrezygnowanie z ataku na dobrze uzbrojonego lub ostrzeżonego nieprzyjaciela nie przynosiło ujmy. Nieraz zabierano na wyprawę starszych chłopców, aby pełnili pomocnicze funkcje i uczyli się taktyki od doświadczonych wojowników. Walka obronna polegała na zbiorowej obronie własnego obozu czy osiedla, gdy wróg pod osłoną nocy lub w biały dzień podkradał się, aby brać łup, zabijać, skalpować i niszczyć ogniem osadę. Wtedy wszyscy mieszkańcy zagrożonej osady chwytały za broń i pod wodzą najbardziej przedsiębiorczego wojownika stawiali zawzięty opór, gdyż przegrana oznaczała zagładę. Wojny międzyplemienne wybuchały na tle zagrożenia całej spo-

łeczności, przeważnie w przypadku naruszenia przez wrogów plemiennej 173

upolował świętego białego bizona, a jego skórę, posiadającą czaro-dziejską moc, złożył w ofierze podczas obrzędu Tańca Słońca. On to w celu oswobodzenia swej siostry niepostrzeżenie wtargnął do osady Skidi Paunisów składających krwawą ofiarę Gwiazdzie Porannej, przy czym zabił i wziął skalp Paunisa oraz umknął niepostrzeżenie. Podczas wyprawy przeciwko Szejenom również wkradł się do wojennego obozu Czipewejów i podsłuchał naradę wodzów, czym przyczynił się do pomyślnego zdobycia szejeńskich koni. Wtedy także z narażeniem, własnego życia uratował

Długiego Pa-zura od niechybnej śmierci z rąk Czipewejów, a wreszcie, podczas dopiero co minionych plemiennych łowów, ocalił Wahpekute za-wracając stado rozjuszonych bizonów.

Ten nieustraszony młody Wahpekute obecnie nosił na głowie czapę ze skóry białego wilka, z której boków wystawały zakrzywione rogi bizona, co oznaczało, że był obdarzony nadprzyrodzoną szamańską mocą. Znana była również wszystkim jego przepowiednia o pomyślnym przebiegu obecnej wyprawy przeciwko Paunisom. Wobec tak wielkich zasług nikt nie dziwił się jego wysokiemu stanowisku w żołnierskim związku „Złamanych Strzał”.

Przebiegły Wąż w milczeniu oczekiwał na pytania wodzów. Ciekawe, przyjazne spojrzenia tylu sławnych wojowników Dakotów sprawiały mu niemałą przyjemność.

Po dłuższej chwili Czarny Wilk odezwał się pierwszy:

- Jakie wieści przynosi nasz brat?

ziemi lub własnych terenów łowieckich. Wtedy w inny sposób organizowano i prowadzono bitwy.

Na taką wojnę, która w pewnym sensie była demon-stracją siły, wyruszali wszyscy wojownicy plemienia a nieraz i kilku za-przyjaźnionych plemion. Głównego wodza wojny wyznaczała rada starszych. Do pomocy wyznaczano mu także kilku oficerów, zwanych u Dakotów blotdimfca, którzy regulowali szybkość marszu i kierowali atakiem. Wybór na blotaunfca stanowił dla wojownika największy zaszczyt, mimo że peł-nił on funkcję oficerską tylko na czas jednej wyprawy. Strona atakująca przybliżała się jawnie w pełnej gali wojennej i wyzywała wroga do próby sił, co w pewnym sensie przypominało średniowieczne turnieje rycerskie.

Taktyka prowadzenia bitew przez Indian Równin różniła się od taktyki wojennej tak zwanych społeczeństw cywilizowanych. Taktyka Indian pole-gała na gwałtownym ataku w celu oddania strzału i natychmiastowym, szybkim wycofaniu się, a więc na zadaniu ciosu i pospiesznym odwrocie. Ich taktyka podobna była do taktyki stosowanej u nas w wojnach podjaz-dowych.

- Podeszliśmy z Sha'pa blisko do osady Skidi Paunisów - od-parł Przebiegły Wąż. - Powrócili już z jesiennych łowów, suszą mięso, wyprawiają skóry. Pomiędzy chatami trzymają wiele sunka wakan, więc wojownicy znajdują się w osadzie. Nie spodziewają się napadu. Sunka wakan są również na pastwisku, strażę są nie-liczne.

Wódz Ioway przez cały czas mierzył wzrokiem młodego Wah-pekute. Gdy tylko ten umilkł, zaraz zapytał:

- Czy Przebiegły Wąż upatrzył miejsce, z którego moglibyś-my wyzwać do walki tych śmierdzących kojotów?

- Nie opodal osady na północnym zachodzie znajduje się wzgórze z grobami zmarłych Paunisów.

Jeżeli tam właśnie staną nasi wojownicy, Paunisi na pewno wyjdą z osady, aby walczyć z nami - odparł Przebiegły Wąż.

- Hough! Widzę, że słusznie nazwano cię Przebiegłym Wężem!

- zawołał Ioway. - Twoja przebiegłość dorównuje odwadze!

Znam to -wzgórze z moich wypraw przeciw Skidi. Osadę widać z niego jak na dłoni. Depcząc ich świętą ziemię, zadamy im cios w samo serce!

- Hough! Plan jest naprawdę dobry! - przywodził Czerwo-ny Liść. - Co nasz brat, Czarny Wilk, sądzi o tym?

- Ja również znam to wzgórze, zgadzam się na plan przedsta-wiony przez Przebiegłego Węża.

Paunisi powinni ujrzeć nas tam w pełni blasku wschodzącego słońca. Niech moi bracia zaraz przy-gotują swoich wojowników do drogi. Hough!

Czarny Wilk podniósł się i skinął dłonią na Przebiegłego Węża. Ioway i Czerwony Liść również powstali, natychmiast zaczęli wydawać rozkazy swoim blotaunka. W cichej dolinie rozbrzmiały dźwięki żołnierskich świstawek. Zaszleściły krzewy, rozległy się ciche nawoływania, parskwały konie przygotowywane do drogi.

Wojownicy Wahpekute pierwsi wychynęli z doliny na falisty step. Jechali w zwartym szyku za Czarnym Wilkiem. Za nimi w takim samym szyku podążali Yanktonai i Yankton Dakotowie.

Teraz już poniechali ostrożności. Tętent kopyt coraz szybciej toczył się po stepie, toteż zanim nastał świt, Dakotowie znaleźli się na cmentar-nym wzgórzu na wprost osady Skidi Paunisów.

Na rozległym płaskim szczycie wzgórza znajdowało się wiele niskich kopczyków, które Paunisi usypywali nad mogiłami swoich 174

175

zmarłych, grzebanych zgodnie z tradycją w ziemi. Tu i ówdzie na kopczykach leżały rozmaite talizmany, które zmarli jeszcze za życia przechowywali w swoich zawiniątkach ze świętymi przedmiotami. Talizmany o nadnaturalnej mocy, jako pochodzące z niebios, nie mogły być pochowane w ziemi razem ze zmarłym, więc kładziono je na wzgórzu na mogile, aby łatwiej znów powróciły do nieba.

Wszyscy Dakotowie z niemałą satysfakcją zbrukali końskimi kopytami cmentarzysko Paunisów.

Ustawili się w długi szereg zwrócony przodem w kierunku wrogiej osady. W samym środku linii bojowej stanęli Wahpekute, po ich lewej stronie Yanktoni a po prawej Yanktonai. Ich uroczyste, obrzędowe stroje wojenne wymownie świadczyły o niecodziennym celu wojennej wyprawy. Na zwykłe napady zaczepne wojownicy wyruszali jedynie w przepaskach biodrowych, aby ubranie nie utrudniało podchodów i nie przeszkadzało w walce. Nagie, natarte tłuszczem ciało wyslizgiwało się z rąk przeciwnika. Tym wszakże razem w porannych podmuchach wiatru na głowach wielu wojowników furkotały lśniące pióra wspaniałych pióropuszy, które zakładało się tylko na ważne uroczystości i na wojny międzyplemienne, aby uzmysławiały nieprzyjacielowi przeciwstawianą mu potęgę. Ze szwów nogawic zwisały kosmyki włosów zabitych wrogów, a na piersiach lśniły duże naszyjniki z kłów i pazurów dzikich zwierząt. Wojownicy uzbrojeni byli w tarcze z wymalowanymi na nich symbolami chroniącymi ich czarodziejskich mocy. Gładko wypolerowane kamienne groty długich lanc połyskiwały złowrogo w promieniach wschodzącego słońca. Każde z trzech plemion posiadało chorążego dzierżącego wojenny sztandar.

Przebiegły Wąż znajdował się u boku Czarnego Wilka nieco wysunięty do przodu. Szamański strój głowy oraz tarcza z wymalowanym na niej Ptakiem Świętego Grzmotu przykuwały do niego uwagę wszystkich Santee Dakotów. Przebiegły Wąż zdawał sobie sprawę, że wschodzący dzień rozstrzygnie o jego dalszym losie. Jeżeli ktokolwiek z Dakotów polegnie, na zawsze okryje się niesławą. Tak więc w myślach żarliwie przyzywał Ducha Opiekunczego, błagał bóstwa o pomoc, ślubując złożenie ofiar. Zanim w osadzie wszczął się ruch, już wiedział, jak powinien postąpić.

*Paunisi właśnie ujrzeli swych nieprzejednanych wrogów na*

uświęconym cmentarnym wzgórzu. Widząc nieruchomo oczekujących Dakotów pojęli, że nadszedł czas decydującej rozprawy między, dzyplemiennej. Toteż w budzącej się ze snu osadzie powstał nieopisany rwetes, który wzrastał z każdą chwilą. Mężczyźni pospiesznie chwyтали za broń, przywdziewali bojowe szaty, dosiadali trzymanych w osadzie mustangów. Kobiety już sprowadzały konie z pastwiska, wspinały się na kopulaste dachy ziemianek, aby obserwować bitwę. Krzyki wystraszonej dziatwy mieszały się z wy-ciem kundli.

Groźni Dakotowie spokojnie stali na wzgórzu obserwując wro-gą osadę. Z pełną świadomością dawali Paunisom czas na przygo-towanie się do zbrojnej rozprawy. Nie przybyli przecież w celu zaskoczenia nieprzyjaciela. Sprzymierzone plemiona Santee, Yan-kton i Yanktonai Dakotów chciały udowodnić, że posiadają siłę, która uniemożliwi Paunisom wdzieranie się na ich plemienne tere-ny łowieckie<sup>42</sup>. Przyszli więc jawnie, jak przychodzi każdy pewny swej słuszności i siły.

Paunisi tymczasem ochłonęli z pierwszego zaskoczenia. Prze-grana bitwa oznaczałaby hańbiącą śmierć dla wojowników, niewo-lę dla kobiet i dzieci oraz zniszczenie całej osady. Toteż wojownicy szybko przygotowywali się do decydującej rozprawy z Dakotami. Wkrótce przybrani w swe odznaki wojskowe dosiedli najlepszych mustangów i zaczęli wyjeżdżać na równinę przed osadą. Tam sprawnie ustawili się w długi szereg zwrócony ku cmentarnemu wzgó-rzu.

<sup>42</sup> Wojny Indian Równin często traktuje się jako grę, która całkowicie ich pochłaniała i dla uprawiania której organizowali swe plemiona. W rze-czywistości przywiązywali oni duże znaczenie do wypraw wojennych i były one czymś więcej niż grą. Indianie Równin nie wojowali jedynie z samego upodobania do wojaczki. Zabicie wroga oraz zdobycie skalpu nie sta-nowiło u większości plemion głównego celu wypraw wojennych, natomiast głównym powodem była chęć zyskania sławy, znaczenia i majątku, co usta-lało rangę społeczną jednostki. Wiele plemion osiadłych na pobrzeżach Ró-wnin po zdobyciu koni przedzierzgnęło się w nomadów, dla których pod-stawą egzystencji stały się konie i bizona. Konie rozszerzały zasięg polowań, co spowodowało konflikty o naruszenie plemiennych terenów łowieckich, zwłaszcza po przesiedleniu na Równiny Indian ze wschodu i południa. Tak więc w wojnach Indian Równin istniały pobudki ekonomiczne, powodowane naturalnymi warunkami życiowymi. (H. O. Wendell: This Land Was Thezrs).

176

12 Przekleństwo złota

177

Czarny Wilk śledził pauniskie przygotowania do rozprawy. Gdy wrogowie wreszcie stanęli w bojowym szyku, podniósł do góry prawą rękę. Rozbrzmiały żołnierskie świstawki. Czarny Wilk wol-no opuścił wyprostowaną rękę w dół. Długi szereg Dakotów zaczął zjeżdżać ze zbocza na równinę. Paunisi, widząc to, również ruszyli ławą naprzeciw nieprzyjacielowi. Obydwa wrogie zbrojne szeregi jeźdźców wolno zbliżały się do siebie, śpiewając pieśni wojenne. Wreszcie, gdy dzieliło ich już tylko kilka strzałów z łuku, Czarny Wilk podniósł do góry rękę dzierżącą laskę uderzeń. Znów roz-brzmiały ostre głosy świstawek żołnierzy. Dakotowie osadzili w miejscu swe mustangi. Paunisi także przystanęli.

Odważny i porywczy wódz Yanktonów zaraz wysunął się z szeregu. Wśród Paunisów zaraz rozległy się wrogie okrzyki. Ioway często uprowadzał im konie i kobiety. Ioway dumny z tego, że od razu został rozpoznany, krzyknął donośnie:

- Słuchajcie dobrze, zajęcze serca! Wśród żon mam także dwie Pauniski! To one zdobyły moje nogawice włosami ze skalpów Paunisów! Darowałem im za to wolność, ale wołały zostać ze mną, niż wracać do pauniskich zajęczych serc, pozwalających porywać swe kobiety! Moi synowie urodzeni przez wasze kobiety będą zdzierali skalpy z waszych łbów!

Rozgniewani Paunisi obrzucili wodza Yanktonów obelgami, a on nie pozostawał im dłużny. Z obydwóch stron posypały się wzajemne przycinki i wyzwiska.

Przebiegły Wąż w napięciu przysłuchiwał się słownej szermierce, przybierającej coraz bardziej obelżywą formę. Gniew rozogniał wojowników obydwóch stron. Tu i tam Dakotowie już sięgali po łuki, Paunisi natomiast nabijali strzelby. Lada chwila mogła rozgorzeć walka. Przebiegły Wąż pierwszy chciał ją rozpocząć. Już przedtem tak postanowił. Zwycięski pojedynek stoczony przez szamana na pewno dodałby ducha Dakotom i jednocześnie osłabił-

by u Paunisów zapął do walki

Przebiegły Wąż smagnął mustanga arkanem. Z miejsca ruszył galopem w kierunku linii wrogów.

Dopiero w połowie drogi ostrym ściągnięciem arkanu powstrzymał wierzchowca. Dakotowie ucichli jak na komendę, ujrzawszy swego szamana przed szeregiem Paunisów. Przecież to on właśnie przepowiedział, że nikt z Dakotów nie polegnie podczas wyprawy przeciwko Paunisom, więc teraz w napięciu oczekiwali, czy tak pomyślne proroctwo najpierw sprawdzi się na nim samym. Paunisi zaskoczeni nagłą zmianą zachowania się wrogów również umilkli. Po charakterystycznym stroju i malunku ciała rozpoznali w samotnym wojowniku szamana. Człowiek obdarzony nadnaturalną mocą zawsze onieśmiał In-dian.

Nagła cisza uzmysłowiła Przebiegłemu Wężowi, że w tej chwili oczy przyjaciół i wrogów zwrócone są na niego. Toteż zaraz głośno zawołał:

- Nie tylko wasze kobiety wolą żyć z Dakotami! W mojej chacie mieszka sławny wojownik Śmiały Sokół, który będąc Paunisem zwał się Petalesharo. Z własnej woli stał się Wahpekute.

Zapewne pamiętacie jego ucieczkę? To ja wtedy wkradłem się do waszej osady i zabiłem oraz oskalpowałem Paunisa, który chciał ścigać Petalesharo uciekającego z dakotyjską branką!

Cios był celny! Petalesharo był synem wodza Paunisów. Jego ucieczka z branką, która właśnie wtedy miała być złożona na ofiarę Gwieździe Porannej, spowodowała w plemienu wiele sporów.

Toteż wśród Paunisów zawrzało jak w gnieździe rozdrażnionych szerszeni.

Przebiegły Wąż rad z wywołanego zamieszania uderzył mustanga arkanem i pędem ruszył wzdłuż szeregu Paunisów. Huknęły strzały broni palnej, którą wielu Paunisów już posiadało. Przebiegły

Wąż zreżnie zsunął się z grzbietu mustanga i zawisł ukryty za jego bokiem. Był to często stosowany później fortel wojenny Indian Równin. Polegał na tym, że jeździec przesunął swą stopę przez pętlę przywiązaną do rzemienia opasującego tułów wierzchowca i gdy chciał schować się za jego bokiem, zawisał na jednej nodze przytrzymywanej przez tę pętlę. Zwisając w ten sposób miał

wolne ręce do walki. Tak więc teraz Przebiegły Wąż ukryty za pędzącym mustangiem siał z łuku strzałę za strzałą. Trzy jego pociski dosięgły celu, trzech Paunisów zważyło się z koni na ziemię.

Rozgniewani Paunisi strzelali ze swych strzelb, ale podnieceni źle mierzyli i dotąd ani jedna kula nawet nie drasnęła wroga ukrytego za mustangiem.

Triumfalne okrzyki Dakotów patrzących na śmiały atak swego szamana zawstydziły Paunisów, którym nigdy nie brakowało odwagi do walki. Toteż sławny pauniski wojownik, Kamienne Serce-178

179

ce, wysunął się z szeregu i ruszył w pościg za szamanem. Przebiegły Wąż na swym śmigłym wierzchowcu mógłby z łatwością uciec ku swoim, jak to było w zwyczaju podczas takich pojedynków, lecz on właśnie tylko czekał na okazję do walki. Zaledwie spostrzegł pościg, natychmiast zawrócił konia ku Paunisowi.

Cisza ogarnęła pole bitwy. Przebiegły „Wąż znów pojawił się na grzbiecie konia. Pędził wprost na Paunisa, który z uniesioną do góry lancą szykował się do zadania ciosu. Przebiegły Wąż schował łuk do kołczanu.

Kamienne Serce widząc, że wróg nie ma w rękach broni, wydał straszliwy okrzyk bojowy, zniżył

lancę. Gdy pędzące w przeciwnych kierunkach mustangi znalazły się obok siebie, Paunis z potężnym rozmachem wykonał pchnięcie lancą, chcąc przebić przeciwnika. Przygotowany na to Przebiegły Wąż na moment zniknął za bokiem konia, jednocześnie obydwoma dłońmi przytrzymał

drzewce oślizgujące się po jego udzie. Nieoczekiwane szarpnięcie lancy zrzuciło pochylonego Paunisa z konia na ziemię. Za nim zdążył ochłonąć z oszołomienia, Przebiegły Wąż zeskoczył z mustanga i przygniótł Paunisa do ziemi. Sam nie mając w tej chwili broni w ręku, wydobyl

wrogowi nóż zza pasa i wydawszy okrzyk zwycięstwa, z powrotem wskoczył na konia.

Kamienne Serce wciąż jeszcze oszołomiony upadkiem z trudem 180

181

dźwigał się z ziemi. Tymczasem następni wrogowie już pędzili ku niemu. Byli to Sha'pa i Długi Pazur, którzy zamierzali zabezpieczyć odwrót Przebiegłemu Wężowi, a teraz, korzystając z pomyslniej okazji, chcieli także zaliczyć dotknięcie nieprzyjaciela. Niektóre plemiona uważały za wyczyn wojenny kolejne dotknięcie jednego wroga nawet przez trzech lub i pięciu wojowników, przy czym pierwszy z nich zyskiwał największe wyróżnienie.

Paunisi śledzący przebieg pojedynku widzieli, że szaman nie zabił i nie oskalpował ich towarzysza. Toteż teraz wobec zagrażającego mu niebezpieczeństwa od dwóch nadciągających Wahpeku-te, pospieszyli na pomoc. Jednak Sha'pa i Długi Pazur, siedząc na już rozpędzonych wierzchowcach, pierwsi dopadli chwającego się na nogach Paunisa. Nie zwalniając biegu koni, przemknęli obok niego, dotykając dłonią jego ramienia, po czym natychmiast zawrócili ku swoim.

Paunisi nie ścigali ich, razem z Kamiennym Sercem powrócili na swoje stanowiska w szeregu.

Następnie ze strony Dakotów wyruszył na harce zapalczywy wódz Ioway. Najpierw znów zaczął szydzić z Paunisów, a potem, mknąc galopem przed nimi, strzelał z łuku. Tym jednak razem Paunisi, których już minął, rzucili się w pościg za nim. Wkrótce kilkunastu jeźdźców goniło go, a ci, obok których dopiero przejeżdżał, strzelali ze strzelb i z łuków. Ioway widząc, że sytuacja staje się coraz bardziej niebezpieczna, już zamierzał się wycofać, gdy nagle koń jego trafiony kulą zarżał

boleśnie i rzucił się w bok. Jeszcze biegł chwilę, po czym zwałił się na ziemię. Ioway zeskończył z mustanga, zanim ten upadł. Wyrwał zza pasa maczugę, w drugą rękę ujął nóż i sam skoczył

naprzeciw nadciągającym wrogom.

Yanktoni krzyknawszy „śmierć PB u nison’.” gromadą ruszyli na pomoc swemu wodzowi. Za nimi zaraz poskoczyło kilkunastu Wahpekute i Yanktonai. Po chwili wokół Ioway'a rozgorzała gwałtowna walka wręcz. Błyskały noże, śmigwały maczugi. Straszliwy Ioway szerzył spustoszenie. Jego mrozący krew w żyłach okrzyk zwycięstwa oznajmił zabicie i oskalpowanie Paunisa. Zaraz też ranił następnego. Kobiety w osadzie obserwując z dachów ziemianek przebieg walki okrzykami podjudzały swych wojowników. Bijatyka jednak już nie trwała zbyt długo. Paunisi wkrótce stracili drugiego wojownika, a kilku innych odniosło ra-182

ny, bądź było mocno poturbowanych. Dakotowie obroniwszy swego wodza, zaczęli wycofywać się w kierunku własnych pozycji. Paunisi po dotkliwych porażkach również rozpoczęli odwrót.

Tak więc obydwie strony powróciły do swoich oddziałów.

Przebieg walki był dotąd niepomyślny dla Paunisów. Toteż teraz ich wojownicy zaczęli wyruszać na pojedynki. Wszakże szczęście dalej nie opuszczało Dakotów. Dwa Noże z plemienia Yanktonai zabił i oskalpował Wiele Grzyw, znanego pauniskiego łowcę dzikich mustangów. Mały Orzeł, Wahpekute, odebrał cza-rodziejską tarczę Paunisowi i zaliczył dotknięcie wroga gołą dłonią. Głos Kojota ogłuszył Paunisa i zabrał mu konia, a Niedźwie-dzia Łapa odebrał lancę młodemu Paunisowi. Dwie Twarze, Ogon Byka i Złamane Wiosło zaliczyli dotknięcie wroga gołą dłonią.

Utarczki słowne, a po nich indywidualne pojedynki, przekształcające się nieraz w gromadne bijatyki, trwały aż do późnego popołudnia. Przewaga Dakotów była wyraźna, ale znużenie coraz więcej dawało się im we znaki. Paunisi walczyli z determinacją. Widać było, że nie ustąpią z pola bitwy. Ich kobiety coraz to podprowadzały im świeże, wypoczęte konie. Rannych i zmęczonych walką Paunisów zastępowali wojownicy trzymani w rezerwie na wypadek, gdyby wróg spróbował



uderzyć bezpośrednio na osadę.

Pod wieczór Czarny Wilk, Ioway i Czerwony Liść odbyli krótką naradę. Dakotowie prócz kilkunastu rannych nie postradali ani jednego wojownika. Sami natomiast zabili siedmiu wrogów, wielu zranili i zdobyli skalpy. Ich wojownicy dokonali odważnych czynów. Wszyscy jednak byli głodni i zmęczeni. Dalsze kontynuowanie bitwy mogłoby przechylić szalę zwycięstwa na stronę Paunisów, którzy wciąż dysponowali świeżymi rezerwami. W tej sytuacji Dakotowie postanowili zakończyć walkę. Tak więc Ioway wystąpił po raz ostatni, zapowiadając, że jeżeli Paunisi będą wkraczali na ich tereny łowieckie, wtedy wrócą tu razem z Teton Dakota-mi i całkowicie zniszczą osadę.

Nim słońce zaszło, wszyscy Dakotowie wyruszyli w powrotną drogę do swoich osad.

# XIV

»yn czy córka”?

Na polankę w głębi boru wbiegło truchtem małe stado szarobrunatnych jeleni wapiti. Łanie zaraz podążyły do strumienia przecinającego polanę, po czym, ugasiwszy pragnienie, zaczęły oskubywać młode pędy drzewek i myszkować pod rozłożystymi starymi dębami, szukając ulubionych żołędzi. Przewodzący łaniom okazały samiec, uzbrojony w potężny wieniec na głowie, wyraźnie okazywał niepokój. Co chwila spoglądał w głąb boru, przygryzał górną wargę i zgrzytał

zębami. Zaniepokojenie jego nie udzielało się łaniom. Spokojnie popasały, tylko od czasu do czasu któraś z nich ciekawie zerkała w las.

W tych okolicach jelenie już nie wychodziły z ostoi na żerowiska podczas pełnego dnia. Zbyt wielu miedzianoskórych myśliwych przemierzało bory w poszukiwaniu płowej zwierzyny. Tak więc prześladowane przez ludzi jelenie dopiero wieczorem szły na żerowiska, a nad ranem znów kryły się w ostoi. Tym wszakże razem zaniepokojenie samca wapiti nie było powodowane bliskością człowieka.

Nadchodził pogodny, jesienny wieczór, gdy samiec wyprowadził swe łanie na leśną polanę. Był

to właśnie czas rui. Toteż zadowolony samiec, obdarzony jak wszystkie jelenie świetnym słuchem, powonieniem i wzrokiem, od razu wyczuł bliskość obcego byka wapiti, który podążał uparcie trop w trop za jego stadem do-rodnych łań. Teraz, podczas gdy łanie spokojnie żerowały na polanie, samiec zapomniał o własnym głodzie, obiegał stadko rozdrażniony, wypatrując rywala. Wkrótce w pobliżu rozbrzmiał szorstki urywany ryk. Młody byk wapiti wychynął z gąszczy na polanę.

184

Tęsknym spojrzeniem ogarnął żerujące łanie, po czym uniósł do góry łeb. Wabiący ryk obiegł polanę.

Zaledwie stary samiec ujrzał młodego byka, natychmiast począł zganiać łanie w gromadkę, te jednak, nie zwracając zbytniej uwagi na gniew swego władcy, nie kwapiły się do ucieczki. Tymczasem młody jelen podchodził coraz bliżej. Okręzał łanie wabiąc je tęsknym głosem. Zazdrosny stary samiec rozognionym wzrokiem mierzył rywala. Wreszcie ruszył wprost ku niemu. Głośne, gniewne ryki szerokim echem rozniosły się po dotąd cichym borze. Byki nisko pochyliły uwieńczone łby i skoczyły ku sobie. Każdy z nich próbował dosięgnąć ciała przeciwnika ostrymi końcami poroży. W zaślepiającej zaciekleści łeb potężnie walił o łeb. Łomot uderzających o siebie poroży zlewał się z gniewnymi rykami. Po każdorazowym zwarciu byki cofały się od siebie, by po chwili z nowym rozmachem ruszyć do ataku. Zacięta walka całkowicie pochłonęła ich uwagę. Z

ran broczyła posoka. Szeroko rozgałęzione poroża coraz to plątały się ze sobą. Wtedy byki przepychały się, napierały na siebie. Kępy trawy i ziemi wylatywały w powietrze spod ich racic.

Wreszcie po długich zmaganiach, gdy nie wiadomo już po raz który zderzyły się łbami, szerokie wieńce niefortunnie zahaczyły się o siebie. Pochylone do przodu byki., skute porożami, mimo usilnych prób nie mogły oderwać się od siebie. Napierały więc coraz mocniej, chrzęściły wieńcami.

Chrapliwe oddechy, przerywane krótkimi rykami, roznosiły się wokoło.

Łanie nie mieszały Jię do zacieklej walki samców. Zazwyczaj bez oporu odchodziły ze zwycięzcą.

Jednakże czujność ich rów-nież uległa przytępieniu, a tymczasem im właśnie zagrażało największe niebezpieczeństwo.

W zaroślach na skraju lasu już od dłuższej chwili czaiło się dwóch Indian. Byli to Przebiegły Wąż i Śmiały Sokół. Z zacieka-wieniem obserwowali zacięte zmagani, jeleni. Donośne ryki rozgniewanych byków zwabiły ich ku polanie, na której żerowały wapiti. Dzięki zmaganiom jelenich rywali Przebiegły Wąż i Śmiały Sokół zdołali niepostrzeżenie podkraść się blisko do stadka wapiti.

Był to więc dla nich pomyślny zbieg okoliczności, ponieważ w normalnych warunkach ostrożne, czujne i płochliwe jelenie wietrzyły obecność ludzi już z odległości około sześciuset kroków i z łatwością umykały przed niebezpieczeństwem.

185

Przebiegły Wąż trącił łokciem swego przyjaciela. Dłonią wskazał byki bezskutecznie próbujące rozłączyć wieńce. Śmiały Sokół potaknął skinieniem głowy. Okoliczności sprzyjały szybkiemu zakończeniu polowania. W okresie rui podniecone byki jeleni nieraz odważały się na zaatakowanie nieostrożnego myśliwego, teraz wszakże z ich strony nie mogło grozić niebezpieczeństwo.

Myśliwi porozumieli się mową znaków. Chyłkiem zaczęli przekradać się w kierunku łań. Szli pod wiatr, aby niepostrzeżenie podejść jak najbliżej celu. O jakieś czterdzieści kroków od jeleni kończyła się linia drzew. Tutaj obydwaj myśliwi wydobyli z kołczanów łuki i strzały.

Przebiegły Wąż przyklęknął obok drzewa. Starannie nałożył strzałę na cięciwę łuku. Mierzył

krótko wprost pod lewą łopatkę. Strzała utkwiała głęboko w boku łani, która rażona śmiertelnie wspięła się na tylne nogi, po czym zaraz runęła na ziemię. Strzał śmiałego Sokoła był również celny. Dwie młode łanie legły martwe, a inne spłoszone natychmiast pobiegły długimi skokami na przeciwną stronę polany, gdzie znów przystały, oglądając się na wciąż walczących samców.

Myśliwi, już nie kryjąc się, podeszli do upolowanych łań. Każdy z nich zarzucił na ramię zabite przez siebie zwierzę, po czym obydwaj wycofali się do lasu. Dopiero wtedy uszu ich dobiegł suchy łoskot łamanych poroży. Prawdopodobnie jeleniom wreszcie udało się rozłączyć wieńce.

Przebiegły Wąż i Śmiały Sokół aż do zmierzchu wędrowali przez bór. Teraz nie chcąc pobłądzić w ciemności postanowili za-trzymać się na odpoczynek. Musieli poczekać, aż gwiazdy rozblysz-na na niebie. Przebiegły Wąż położył przy sobie na ziemi upolowaną łanię. To samo uczynił Śmiały Sokół, pilnie uważając, aby przez pomyłkę nie zamienili się łaniami. Przypadkowa zamiana zwierzyny mogłaby spowodować straszne w następstwach skutki.

Żona Śmiałego Sokoła oraz żona Przebiegłego Węża spodziewały się narodzin dzieci już w najbliższych dniach. W tym właśnie czasie tak mąż, jak i żona zobowiązani byli do ścisłego przestrzegania określonych wierzeniami przepisów, ponieważ naruszenie ich mogłoby spowodować zniekształcenie embrionu jeszcze rozwijają-

cego się w łonie matki<sup>43</sup>. Właśnie w okresie poprzedzającym narodziny dziecka mąż mógł polować tylko na płową zwierzynę, której mięso wolno było spożywać wyłącznie jego żonie. Z tych to względów obydwaj myśliwi złożyli w innych miejscach upolowane łanie, aby uniknąć przypadkowej zamiany.

Obydwaj przyjaciele wyruszyli na to polowanie zaraz po powrocie Santee Dakotów z wojny przeciwko Paunisom. Śmiały Sokół nie brał udziału w tej wyprawie i nikt z Wahpekute nie miał

mu tego za złe. Przecież wywodził się z plemienia Paunisów i dla wszystkich było zrozumiałe, że posiadał wśród nich bliskich krewnych i przyjaciół. Nie mógł więc nigdy bezpośrednio występować przeciwko nim po dobrowolnym przystąpieniu do plemienia Wahpekute. Śmiały Sokół wiedział, że wyprawa wojenna zakończyła się pomyślnie dla Santee Dakotów. Paunisi otrzymali dotkliwą nauczkę, że naruszanie łowieckich terenów potężnych sąsiadów nie będzie im dalej uchodziło bezkarnie. Kilku Paunisów poległo w pojedynkach, wielu odniosło rany. Toteż Śmiały Sokół, korzystając z wypoczynku podczas powrotnej drogi z polowania, zaczął wypytywać Przebiegłego Węża o przebieg starć Santee Dakotów z Paunisami, mając nadzieję, że dowie się czegoś o swoich krewnych.

Przebiegły Wąż domyślił się niepokoju nurtującego serce przyjaciela. Toteż chętnie mówił o wojnie, której zwycięski dla Dakotów przebieg przyczynił się do ugruntowania jego szamańskiego autorytetu. Chcąc uspokoić Śmiałego Sokoła opowiadał szczegółowo o przebiegu poszczególnych walk, nie pomijając także swego pojedynku.

Śmiały Sokół przysłonił oczy powiekami, gdy Przebiegły Wąż zaczął mówić o swej walce z Kamiennym Sercem. To był właśnie najmłodszy brat matki Śmiałego Sokoła.

- Hough\ Więc nie zabiłeś go i tamci dwaj również tylko zaliczyli dotknięcie wroga! - odezwał się Śmiały Sokół, gdy opowiadanie dobiegło końca.

- Nic mu się nie stało, zdrowy i cały powrócił do swoich - odparł Przebiegły Wąż, domyślając się pokrewieństwa pomiędzy Kamiennym Sercem i Śmiałym Sokołem.

Zaledwie Przebiegły Wąż ukończył relację z wyprawy wo-13. Wszelkie ułomności noworodka bądź też śmierć matki w czasie porodu przypisywane były naruszeniom zakazów i nakazów, do których przestrzegania zobowiązani byli rodzice przed przyjściem dziecka na świat.

jennej, zaczęli rozmawiać o ważkich wydarzeniach, których z taką niecierpliwością wyczekiwały obydwie pary małżeńskie. Spodziewane przyjście na świat potomstwa stanowiło dla Indian Równin

nie lada wydarzenie. Dziecko od samej chwili urodzenia zawsze traktowano jak największy skarb. Niełatwo było je wychować i doczekać się z niego pociechy. Surowe, twarde warunki bytowania sprawiały, że maleństwa często umierały we wczesnych latach dzieciństwa, bądź po prostu ginęły. Dziecko stale było zagrożone porwaniem przez wrogów, ponieważ wiele plemion specjalnie uprowadzało dzieci, które potem wychowywali jako swoje własne. Również łatwo mogło zagubić się podczas wędrówek plemienia, w czasie zbierania jagód i owoców, a wreszcie nieraz było napada-ne przez dzikie zwierzęta. Toteż Indianie byli bardzo tolerancyjni dla swych dzieci, a zwłaszcza dla chłopców, w których wpajano kult dla wielkich czynów wojennych.

Psoty, a nawet i złośliwoś-ci chłopca przyjmowano z pobłażaniem, mówiąc: „niech się cie-szy, nigdy nie wiadomo, jak długo będzie z nami”<sup>44</sup>.

Przebiegły Wąż snuł teraz domysły, czym obdarzy go żona, synem czy córką?

- Jeżeli urodzi się chłopiec, będę go strzegł jak oka w głowie

- mówił właśnie do Śmiałego Sokoła. - Nauczę go tropienia śla-dów, podchodzenia wrogów, ujarzmiania mustangów i zaprawię do walki. Nikt go nie pokona!

- Ja także chciałbym mieć syna - rzekł Śmiały Sokół. - Wszystkie plemiona liczą więcej kobiet niż mężczyzn. Jeżeli Po-44 Trudne warunki naturalne, częsty głód, surowe obyczaje oraz roz-liczne niebezpieczeństwa nie umożliwiały Indianinowi zbyt długiego życia. Wtedy człowiek wcześniej osiągał dojrzałość i prędzej się starzał. U więk-szości plemion człowiek był już dojrzałym około dwudziestego roku życia, starszym dojrzałym około trzydziestego piątego roku życia, a starość osią-gał jeszcze przed pięćdziesiątką. Większość mężczyzn na Wielkich Rów-ninach ginęła w młodym wieku. Z tych względów dzieci, a szczególnie chłopcy, otaczani byli staranną opieką. Organizowano dla nich specjalne dziecięce stowarzyszenia, które zastępowały im przedszkola i szkoły podsta-wowe. W

takim stowarzyszeniu dzieci przebywały w grupach i wtedy łatwiej było je upilnować oraz nauczyć, czego mają się wystrzegać. Do wieku trzech lat chłopcy i dziewczęta przebywali razem, potem dopiero rozdzielano dzieci według płci i stosowano inne metody wychowawcze. Należy podkreślić, że dzieciobójstwo było w ogóle nie znane u Indian.

188

ranna Rosa urodzi mi syna, porwę dla niego najpiękniejszą dziew-czynę z obcego plemienia.

Branki są dobrymi żonami!

Przebiegły Wąż słysząc to cicho roześmiał się, po czym powie-‘ dział:

- Słusznie mówisz, Śmiały Sokole. Ja mam brankę za żonę!

- Ona obdarzy cię synem, zobaczysz!

- Oby sprawdziły się słowa Śmiałego Sokoła! - odparł Prze-biegły Wąż i zaraz pomyślał, że

powinien dokonać jakiegoś nie-zwykłego czynu, jeżeli bóstwa spełnią jego najgorętsze pragnienie.

Tymczasem w lesie pojaśniało. Poświata księżycowa wkradała się pomiędzy drzewa. Śmiały Sokół spojrzał w niebo.

- Możemy już iść - powiedział. - Jeszcze przed świtem ujrzymy osadę.

Powstali i już nie rozmawiając szli przez mroczną puszcę. Wo-kół nich rozpościerała się nocna cisza, zakłócana czasem szelesta-mi zarośli bądź złowieszczym krzykiem drapieżnych ptaków. Bez przeszkód dotarli do osady.

Przebiegły Wąż wszedł do chaty. Stał w progu oślepiiony blaskiem jasno płonącego ogniska.

Kobiety krzątały się ubrane mimo późnej nocy. Najmłodsza żona Czerwonego Psa wykladała miękkim mchem wnętrze kołyski zrobionej w kształcie prostej, du-żej torby z twardej, niewyprawionej skóry. Zewnętrzna stronę torby zdobiły romby i trójkąty namalowane niebieską, czerwoną i żółtą farbą. W takiej właśnie pierwszej swej kołysce niemowlę sypiało przez dwa lata, po czym dopiero sporządzano dla niego ko-łyskę umocowaną na drewnianej ramie. Druga żona dziadka sta-rannie zamiatała klepisko chaty, wysypywała je świeżą ziemią i suchą trawą, trzecia zaś gotowała wywar z ziół dla Mem'en gwa siedzącej obok ogniska. Długie warkocze Mem'en gwa były teraz rozplecione i włosy luźno opadały na jej plecy.

Przebiegły Wąż, gdy tylko ujrzał rozplecione warkocze żony zaraz pojął, że nareszcie nadszedł tak niecierpliwie oczekiwany przez niego czas narodzin. Położył przy wejściu upolowaną przez siebie łanię, po czym zgodnie z religijnymi nakazami również roz-plótł swe włosy, Wielki Duch bowiem tworząc pierwszych ludzi nosił włosy luźno opuszczone na plecy.

Szaman Czerwony Pies zbliżył się do wnuka, oparł dłoń na jego ramieniu i rzekł: 189

- Nic tu po nas, mój synu. Na cztery wieczory wyłącznie ko-biety obejmują chatę w swe posiadanie. Lada chwila przyjdą do-świadczone w rodzeniu dzieci niewiasty, które pomogą w razie po-trzeby twojej żonie.

Przebiegły Wąż jeszcze raz spojrzał w kierunku Mem'en gwa. Mimo bóli poprzedzających poród zauważyła go, gdy tylko wszedł do chaty. Teraz uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił się czu-

łym spojrzeniem, a potem razem z dziadkiem wyszedł z chaty. Po-wolnym krokiem minęli uśpioną osadę. Nawet psy posnęły nad ra-nem. Zagłębili się w puszcę. Siedli pod drzewami na niewielkim pagórku.

Stary szaman. Czerwony Pies, uważnym wzrokiem wodził po rozgwieżdżonym niebie.

Wyszukiwał gwiazd wyznaczających dro-gę życia dziecku przychodzącemu na świat podczas nocy. Jeżeli noc była bezwietrzna i pogodna, a następujący po niej dzień sło-neczny, świadczyło to, że dziecko będzie chowało się zdrowo i nie napotka w życiu trudności.

Tymczasem jednak zerwał się wiatr i szeleścił wśród gałęzi drzew. Więc szaman marszczył czoło i czujnie nasłuchiwał. Układ gwiazd przedstawiał się pomyślnie, lecz szum wiatru mącił jasność wróżby. Czasy były niespokojne, wiatr właśnie wiał ze wschodu, skąd przybywało coraz więcej obcych plemion indiańskich i zachłanni, podstępni biali ludzie. Szaman ciężko westchnął. Od dawna przewidywał, że zawierucha nadciągająca ze wschodu nie ominie Wahpekute.

Czerwony Pies usiłował rozwikłać wieszczce znaki na niebie i ziemi, a tymczasem Przebiegły Wąż myślami przebywał przy swej żonie. Oczami wyobraźni widział ją już klęczącą, gdyż Indianki rodziły właśnie w pozycji klęczącej i pochylone do przodu opierały się rękami na kiju. Zdawało mu się, że słyszy pierwszy płacz swego dziecka. Tak bardzo pragnął, aby to był syn...

„Wysłuchaj mnie, Wielki Wi! - modlił się żarliwie. - Muszę mieć syna, który, gdy ja zginę, będzie bronił naszej matki-ziemi. Jeśli sprawisz to, obiecuję uprowadzić Paunisom ich najwspanialszego sunka wakan”

Przebiegły Wąż i Czerwony Pies powrócili do osady około południa. Zaledwie minęli wrota, zaraz usłyszeli nowinę, która wprawiła ich w nieopisaną radość. Nad samym ranem Mem'en gwa urodziła chłopca.

Teraz Przebiegły Wąż poznał, jak wielkie uznanie i popularność zdobył sobie wśród Wahpekute.

Napotykanicy osady cieszyli się jego szczęściem i okazywali swą życzliwość. Na głównym placu, w pobliżu chaty szamana, gromada kobiet zajęta była sporządzaniem nowego pokrycia na tipi dla Mem'en gwa. Pracą kierowała jedna z żon Białej Antylopy, uchodząca za mistrzynię w robieniu tipi. Ona to wskazywała, jak należy ciąć, przypasowywać i zszywać poszczególne miętko wyprawione skóry bizonie. Praca wymagała dużej umiejętności oraz wprawy, ponieważ pokrycie na jeden namiot sporządzało się z co najmniej trzydziestu pięciu skór. Kobiety zaproszone do pomocy przyniosły własne kościane szydła oraz mocne nici ze ścięgien zwierzęcych, teraz zaś, siedząc na już przypasowanych skórkach rozłożonych na ziemi, zszywały je w jedną całość. Żony szamana traktowały pracownice jak gości, częstując je smakołykami. Toteż kobiety, syjąc żartami i plotkując, od świtu pracowały bez odpoczynku.

Zapowiadały, że pokrycie na tipi będzie gotowe przed zmierzchem.

Przebiegły Wąż krótko przebywał w osadzie. Jeszcze obowiązywało go przestrzeganie różnych zakazów, toteż uradowany wiadomością o przyjściu na świat syna, z powrotem zaszył się w puszczy. Dopiero czwartego dnia po narodzinach na dobre powrócił do osady. Czerwony Pies już oczekiwał na niego. Razem weszli do chaty, gdzie przy ognisku ujrzeni przybraną odświętnie młodą matkę.

Przebiegły Wąż usiadł obok promieniejącej szczęściem żony. Kobiety pełniące rolę położnych wyjęły teraz noworodka z kołyski. Po raz ostatni miały same wykapać dziecko. Owa „kąpiel” polegała na dokładnym natarciu całego ciała niemowlęcia ciepłym tłuszczem wytopionym z łożu samicy bizona, co nie tylko utrzymywało je w czystości, lecz również czyniło skórę miękką i gładką. Do konawszy tego z powrotem owinęły niemowlę w miętko wyprawione skórki zajęcze i wiewiórcze, po czym włożyły je do kołyski. Teraz dopiero przekazały niemowlę w ręce uszczęśliwionej matki. Od tej chwili wszystkie zakazy religijne przestawały obowiązywać rodziców

dziecka. Najmłodsza żona Czerwonego Psa zaraz splotła Mem'en gwa włosy w warkocze, a Przebiegły Wąż również upo-rządkował swoją fryzurę.

190

191

Najbliższa rodzina zasiadła do uczyty z położnymi, które obda-rowano upominkami. W czasie biesiady szaman Czerwony Pies miał nadać dziecku jego pierwsze imię.

Tym razem sędziwy szaman nie szukał w wizjach imienia dla tak upragnionego przez niego chłopca. Gdy nadeszła odpowiednia chwila, powstał od ogniska i podszedł do domowego ołtarzyka. Odwrócony tyłem do wszystkich rozwiązał zawiniątko ze święty-mi przedmiotami, zapewne wyjął coś z niego, gdyż zaraz zwinął je z powrotem i pozostawił na ołtarzyku.

Szaman powrócił do ogniska i siadł przy Mem'en gwa. Swój przenikliwy wzrok zatopił w płomieniach ogniska. Umilkły roz-mowy. Szaman dość długo siedział zamyślony, wreszcie jednak odezwał się:

- Daleko na zachodzie kryje się wśród niezmiernych rów-nin tajemnicza, święta dla Indian kraina. Tę świętą krainę zamie-szkują duchy, które często przebywają na Ziemi. Trudna jest droga do świętej krainy. Duchy zapewne nie chcą, aby zakłócano im spokój, otoczyły ją suchą, jałową pustynią, bez wody, roślin i zwierząt, która nosi nazwę Złej Ziemi. Jak wyspa na olbrzymim jeziorze święta kraina wznosi się ku niebu w samym sercu nie-zmierzonych równin.

To właśnie Góry Czarne! Tam w wąwozach żyją zwierzęta i ptaki cieszące swoim widokiem oczy duchów. Tyl-ko szum drzew i zimnych strumieni zakłóca ciszę. Głos Ptaka Świętego Grzmotu nabiera tam nigdzie indziej nie spotkanej mocy!

Szaman umilkł, jakby zbierał myśli.

- Duchy zamieszkujące Góry Czarne cieszą się widokiem In-dian szukających wytchnienia w świętej krainie - znów mówił szaman. - Indianin rozumie mowę drzew, strumieni i wiatru, oka-zuje cześć zwierzętom, które są jego braćmi. Duchy przodków na-szych widzą krzywdy wyrządzone ich ziemskim braciom przez bia-łych ludzi. Dlatego też bronią dostępu białym do świętej krainy Indian.

Czerwony pies spojrzął na Przebiegłego Węża, teraz wciąż pa-trząc na niego mówił dalej:

- Wiele, wiele zim temu, gdy biali ludzie zaczęli przybliżać się do nas, udałem się do tej świętej krainy, aby w ciszy i spokoju rozmawiać z duchami. Duchy wskazały mi czarodziejski zawsze błyszczący żółty kamień, w który zakłęły swoją nienawiść do za-

borczych, złych białych ludzi. Na sam widok czarodziejskiego żół-

tego kamienia białych ludzi ogarnia niezrozumiały dla Indian szal, który popycha ich nawet do zbrodni. Duchy pokazały mi działanie czaru zakłętego w żółtym kamieniu. Z ukrycia widziałem trzech białych o zarośniętych ustach, którzy wtargnęli do świętej krainy, żeby polować na niedźwiedzie.



Gdy spragnieni pili łąpczywie wo-dę ze strumienia^ duchy podsunęły im garść czarodziejskich żółtych kamieni. Na ich widok trzej biali wpadli w dziwny szał. Przy 192

193

13 Przekleństwo złota

dzieleniu się kamieniami rozpoczęli kłótnię a potem walkę, w której dwóch z nich padło.

Trzeciego, bez opamiętania szukającego więcej kamieni w strumieniu, uśmiercił niedźwiedź, pod którego postacią na pewno ukrywał się duch.

Szaman przerwał opowieść, by zaczerpnąć tchu. Wszyscy zaintrygowani spoglądali na niego.

Wkrótce znów odezwał się:

- Przyniosłem z Gór Czarnych taki czarodziejski kamień i te-raz darowuję go waszemu synowi.

Niech zawsze nosi go na piersi jako swój talizman, a wtedy nienawiść do wrogich dla Indian białych ludzi, zaklęta w żółtym kamieniu przez duchy, przeniknie również do jego serca.

Nadaję temu chłopcu imię Żółty Kamień!

Mówiąc to wydobyl z zanadrza grudkę złota wielkości dużego włoskiego orzecha, przez którą przewleczony był rzemień służący do zawieszania na szyi.

*Wf pogoni za sława*

W pobliżu rzeki Missisipi, w małej, skalistej kotlinie zagubionej wśród porośniętych wzgórz, obozowali dwaj Indianie. Na pierwszy rzut oka mogli uchodzić za Paunisów, ponieważ włosy ich opadały luźno na plecy, a przepaski biodrowe, nogawice i mokasyny, które mieli na sobie, były oryginalne, pauniskie. Nawet kołczany z łukami i strzałami wyszły spod rąk pauniskich mi-

strzów. Jednak staranne ukrywanie się właśnie w pobliżu osady Skidi Paunisów wskazywało, że nie byli tymi, za których chcieli uchodzić.

Tak też było naprawdę. To Przebiegły Wąż i jego przyjaciel Sha'pa czaili się w pobliżu osady Skidi. Przebiegły Wąż zaledwie w kilka dni po narodzinach syna wyruszył na wojenną ścieżkę, aby wypełnić ofiarę przyrzeczoną Wielkiemu Duchowi. Mianowicie zobowiązał się do uprowadzenia Paunisom ich najlepszego konia, jeżeli żona obdarzy go synem. Wielki Duch wysłuchał prośby, więc ofiara także musiała być spełniona.

Przebiegły Wąż nie zdradził swego zamiaru innym Wahpekute. Na pewno zgłosiłoby się wielu ochotników, bowiem jego pomyślnie poczynania wojenne już zjednały mu niemałą sławę, ale wtedy byłby zmuszony do uprowadzenia więcej koni, podczas gdy jemu chodziło tylko o jednego, najlepszego, najbardziej strzeżonego.

Było to przedsięwzięcie niebezpieczne. Indianie Równin trzymali swe ulubione wierzchowce w osadach obok chat, aby mieć je pod ręką w razie nagłej potrzeby. Tak więc w celu uprowadzenia doskonałego wierzchowca Przebiegły Wąż musiał niepostrzeżenie wśliznąć się do osady Paunisów, a potem razem z koniem wymknąć się nie zauważony przez nikogo. Większa liczba uczestników 195

wyprawy utrudniałaby wykonanie ryzykownego zadania. Toteż Przebiegły Wąż zaproponował udział w niej jedynie swemu przyjacielowi z lat chłopięcych, Sha'pa, który swego czasu pomagał mu w uwolnieniu siostry porwanej przez Paunisów. Sha'pa przyjął to wyróżnienie bez chwili wahania.

Obydwaj przyjaciele nie zabrali na wyprawę własnych koni. Wprawdzie konno prędzej dojechaliby do osady Paunisów, ale za to podczas podchodów konie ich pozostawałyby w odległej kryjówce. Byłoby to kłopotliwe i niebezpieczne. Odkrycie przez Paunisów obcych wierzchowców w pobliżu osady udaremniłoby całe przedsięwzięcie. Ponadto zawsze należało liczyć się z możliwością pościgu, a wtedy mogłoby nie starczyć czasu na zabranie własnych koni z kryjówki. Toteż w myśl ogólnie przyjętego zwyczaju wyruszyli pieszo, licząc na to, że drogę powrotną już odbędą na ukradzionych wierzchowcach.

Pieszka wędrówka do osady Skidi Paunisów zajęła im około trzech tygodni, podczas których czterokrotnie zmieniali zużyte mokasyny na nowe. Droga częściowo wiodła przez tereny wrogich

Omaha i Ponca, ale na szczęście późna jesień nie była porą wędró-wek łowieckich. Toteż Przebiegły Wąż i Sha'pa bez przygód prze-mknęli przez ziemie nieprzyjaciół, żywiąc się jedynie suchym pro-wiantem. Dopiero w skalistej kotlinie w pobliżu osady Skidi prze-brali się w pauniskie ubrania, zdobyte podczas wojennych wy-praw. Własne stroje starannie ukryli w rumowiskach skalnych.

Przez trzy dni podkradali się na zwiady w pobliże wrogiej osa-dy. Duży tabun koni na pastwisku świadczył, że Paunisi przeby-wali w domu. Poletka już opustoszały po zbiorach. Za palisadą okalającą domostwa widać było kobiety zajęte pracami gospodar-skimi i rozbawioną dzieciarnią.

Większość mężczyzn zapewne prze-bywała w ziemiankach z powodu zmiennej pogody.

Przebiegły Wąż i Sha'pa po powrocie ze zwiadu do swej kry-jówki w skalistej kotlinie otulili się wilczymi skórami. Po długo-trwałej słonecznej pogodzie nad samym ranem zerwał się porywi-sty wiatr. Była to przecież późna jesień. Wiatr powiał z północy, gdzie na horyzoncie zaczęły się gromadzić czarne chmury.

- Hough! Zapewne Wielki Duch wysłuchał naszych próśb!

Nareszcie zanoszą się na zmianę pogody - odezwał się Przebiegły Wąż spoglądając ku północy.

- Chłód staje się coraz przenikliwszy, może to blizzard nad-ciąga? - powiedział Sha'pa.

- Trochę jeszcze za wcześnie na śnieżną burzę - odparł Prze-biegły Wąż. - Byle tylko wiatr nie ustał, to przywieje chmury. Ciemna, burzliwa noc sprzyjałaby naszym zamiarom!

- Tak, tylko tego nam potrzeba - przywodził Sha'pa.

- Przed zmierzchem musimy znów znajdować się w pobliżu osady. Może wreszcie nadchodząca noc umożliwi dokonanie na-padu - rzekł Przebiegły Wąż.

Wiatr tymczasem nie ustawał ani na chwilę, ciężkie ołowiane chmury zasnuwały horyzont, spowijając ziemię przedwczesnym półmrokiem. Obydwaj Wahpekute błyszczącymi oczami spoglądali w niebo. Każdy z nich w myślach błagał Ducha Opiekuńczego o pomoc, przyrzekał

dodatkowe ofiary Wielkiemu Duchowi.

Przebiegły Wąż przemyślał już plan napadu. Jeszcze przed wy-ruszeniem na wyprawę poznał

rozkład osady Skidi Paunisów. Często przecież przy wieczornych pogawędkach rozmawiał o Pauni-sach ze swoim szwagrem, Śmiałym Sokołem. Nasłuchiwał się wiele o sławnych pauniskich wojownikach i ich wspaniałych wierzchow-cach. Śmiały Sokół również nauczył Przebiegłego Węża ujarzma-nia dzikich mustangów, bowiem Paunisi słynęli jako doskonali jeźdźcy. Dzięki Śmiałemu Sokołowi poznał także wiele słów w ję-zyku Paunisów. Wszystkie wiadomości zaczerpnięte od Śmiałego Sokoła teraz wykorzystywał podczas wyprawy.

Przebiegły Wąż jeszcze raz spojrział w niebo, po czym powstał i rzekł:

- Czas na nas, idziemy!

Założyli kołczany na plecy, sprawdzili, czy noże lekko wysuwają się z pochew i zatknęli krótkie maczugi za pasami przytrzymującymi przepaski biodrowe. Otuleni wilczymi skórąmi wychylni ze skalistej kotliny na równinę. Cicho jak duchy przemykali w kierunku osady. Nim zapadła ciemność, znaleźli się na cmentarnym wzgórzu. Paulnisi już uporządkowali groby swych zmarłych stratowane przez Santee Dakotów podczas najazdu.

Przebiegły Wąż i Sha'pa przyczaili się na skraju świętego wzgórza. Osada pogrążyła się w przedwczesnym wieczornym mroku. Na pobliskim pastwisku popasał tabun mustangów. Strażnicy

196

przebywali pod drzewami przy ognisku płonącym obok szałasów.

Kilka psów kręciło się w pobliżu ogniska.

Przebiegły Wąż i Sha'pa upewniwszy się, że nic im nie zagraża ze strony strażników tabunu, z kolei skupili uwagę na osadzie. Dziedzińce pomiędzy ziemiankami już opustoszały. Z otworów kominowych w kopulastych dachach domów wiatr rozwiewał dymy przenizane ognistymi iskrami. Była to pora głównego posiłku dnia.

Wiatr przybrał na sile. Pod jego ostrymi podmuchami chwiały się drzewa na cmentarnym wzgórzu, szeleściły gałęziami. Mimo jeszcze wczesnej pory nastał zmrok.

- Chodźmy! - powiedział Przebiegły Wąż pochylając się ku przyjacielowi.

Pobiegli w dół zbocza. Osada leżała nad samym brzegiem rzeki. Od strony stepu okalała ją palisada zbudowana z grubych żerdzi. Obydwaj Wahpekute dobiegli szybko do ogrodzenia. Podczas zwiadów ustalili, że w nocy strażnicy chodzili wzdłuż palisady. Toteż Przebiegły Wąż i Sha'pa, wykorzystując porę wieczorne-go posiłku, biegli chyłkiem, dopóki nie dotarli do brzegu rzeki, który urwistą stromizną opadał ku wodzie. Tutaj kończyła się palisada.

Przebiegły Wąż i Sha'pa szybko zdjęli z pleców wilcze skóry. Podczas gdy Sha'pa zwijał je w tobole, by wrzucić do rzeki, Przebiegły Wąż odwinął rzemień, którym był opasany, po czym jeden jego koniec przywiązał do żerdzi palisady. Następnie, przytrzymując się rzemienia, zaczął

schodzić po urwistym brzegu. Po chwili zawisł w powietrzu. Ostrożnie zsuwał się ku nurtowi rzeki.

Wolno pogrążył się w wodzie. Przeniknął go lodowaty chłód. Szarpnął rzemieniem. Był to znak dla Sha'pa.

Wkrótce obydwaj popłynęli w dół rzeki, aż do miejsca, gdzie porywisty nurt wyłobił w stromym brzegu małą, naturalną zatokę. Paulnisi wykorzystywali to miejsce do czerpania wody i kąpie-li.

Toteż rozkopali urwisty brzeg, który obecnie opadał ku rzece łagodnym stokiem.

Przebiegły Wąż i Sha'pa skostniali z zimna powoli zbliżali się ku pogrążonemu w mroku brzegowi. Rzeka stawała się coraz bardziej płytką, więc opadli na czworaki, jedynie głowy wysuwając 108 ponad wodę. Wreszcie przycupnęli przy piaszczystym nabrzeżu. Długo zatapiali wzrok w mroku i nadstawiali uszu. Nikogo nie było na brzegu, tylko wiatr hulał w ciemności.

Wypęzli na brzeg, a następnie ostrożnie pięli się po łagodnym piaszczystym stoku. Wkrótce zamajaczyły przed nimi sylwetki do-mostw. Chyłkiem podążyli w ich kierunku.

W pobliżu niektórych ziemianek stały jeszcze letnie altanki zbudowane z gałęzi, w których mężczyźni zazwyczaj wypoczywali podczas upalnych dni lata. Przebiegły Wąż i Sha'pa wśliznęli się do jednej z najbliższych altan. Po omacku sprawdzili, że już wyniesiono z niej legowiska, mogli więc tutaj przyczać się aż do na-dejścia nocy.

Czas wolno upływał na oczekiwaniu. Przebiegły Wąż i Sha'pa nasłuchiwali odgłosów z głębi osady. Czasem rozlegały się rozmowy przechodzących w pobliżu mężczyzn, to znów słychać było śmiechy kobiet oraz naszczekiwania psiarni.

Przebiegły Wąż znał osadę Skidi Paunisów nie tylko z opowiadań Śmiałego Sokoła. Sam już dwukrotnie wkraść się do niej, gdy swego czasu próbował oswobodzić swoją siostrę uprowadzoną przez Paunisów. Toteż obecnie wiedział, w którym kierunku szukać chaty wodza. Było to niezmiernie ważne, ponieważ w jej sąsiedztwie zamieszkiwał Czerwona Ręka, słynący z posiadania niezwykle ręczego mustanga. Koń ten miał wymalowany na lewym zadzie znak czerwonej otwartej dłoni. Tego wspaniałego wierzchowca zamierzał porwać Przebiegły Wąż.

Z wolna głosy ludzi zamierały w osadzie. Swąd dymów unoszących się z otworów w dachach ziemianek rozwiał wiatr. Znaczyło to, że ogniska w chatach już przygasały. Paunisi kładli się do snu. Teraz tylko od czasu do czasu rozbrzmiał gdzieś skowyt psa, który podchwytywany przez inne psiska wkoło obiegał osadę. Po-tem znów nastawała nocna cisza.

Około północy Przebiegły Wąż trącił swego towarzysza i szepnął:

- Zapewne już posnęli, pierwszy sen najlepiej zamyka oczy i uszy. Możemy wyruszyć!

- Dobrze mówisz, zaczynajmy! - przywodził Sha'pa.

Wymknęli się z altany. Przebiegły Wąż szedł pierwszy. Ostroż-

nie przemykał od chaty do chaty, które w rozległym osiedlu po-budowane były bez z góry przemyślanej regularności. Właśnie wychynęli zza zieni3''!0, gdy Sha'pa prawie potknął się o kundla, który nagle wyrósł przed nim jak spod ziemi. Pies zawarczał wro-go. Szczerząc kły s1^ot^ył ku Sha'pa, który potężnym kopniakiem odrzucił go od siebie. Przebiegły Wąż błyskawicznie odwrócił się i potrząsnął naszymy^ikiem zawieszonym na szyi. Pies gniewnie warknął, jeszcze przez chwilę jeżył na karku sierść i szczyrzył kły, ale szybko uspokoił się słysząc grzechot naszymyjnika.

Przebiegły Wąż i Sha'pa znów przemysłali pomiędzy ziemiankami. Wiatr świszczął i tłumiał

odgłosy kroków, toteż zbyt późno ujrzeli nadchodząca" strażników. Było ich trzech. Przebiegły Wąż i Sha'pa akurat wychodzili zza chaty. Natychmiast pospiesznie cofnęli się i przyłgnęli do ściany. Wydobyli noże z pochew. Jeśli strażnicy spostrzegli ich, byli zgubieni.

Strażnicy otuleni skórą przeszli obok zaledwie o kilka kroków. Przebiegły Wąż i Sha'pa wstrzymali oddech. Długo tulili się do ściany ziemianki!"- Dopiero gdy ochłonęli, chyłkiem pobiegli dalej.

Teraz znacznie wolniej przekradali się pomiędzy domostwami. Przebiegły Wąż już tę dzielnicę. Było to centrum osady zamieszkiwane przez najczęściej zasłużonych i zamożnych Paunisów.

Toteż przed obszernymi, wielorodzinnymi ziemiankami łopotały na wietrze godła wojowników i dygnitarzy plemiennych, przytwierdzone do wysokich żerdzi wbitych w ziemię przed tunelowymi wejściami. Obok ziemianek znajdowały się małe zagrody dla ulubionych koni.

Po krótkich poszukiwaniach Przebiegły Wąż ujrzął najokazalszą ziemiankę w centrum osiedla. Przed tunelowym wejściem na trójnogu znajdowały się symbole gwiazd i słońca. Na żerdzi umieszczonej na dachu powiewały skalpy. To właśnie był dom wodza Paunisów. O kilkanaście kroków z lewej strony stała ziemianka Czerwonej Ręki. Do jej boku przybudowana była, kryta daszkiem, zagroda dla koni.

Przebiegły Wąż pochylił się do ucha przyjaciela.

„To właśnie ten dom! - zawołał cicho.

Pochyleni przebiegli wolną przestrzeń i przywarli do tylnej ściany ziemianki Czerwonej Ręki. Przebiegły Wąż przy pomocy

Sha'pa pierwszy wspiał się na owalny dach, a potem pomógł wejść przyjacielowi. Powoli czołgali się w kierunku okrągłego otworu w środku dachu.

Przebiegły Wąż zerknął do wnętrza chaty. W dole na wprost otworu dymnego żarzyło się ognisko.

Przebiegły Wąż głębiej zanurzył głowę w otwór. Owionął go ciepły, duszący swąd. W pobliżu wygasającego ogniska nie było nikogo. Spod ścian, przy których znajdowały się pojedyncze posłania oddzielone zasłonami, dobiegały odgłosy śpiących domowników. Naraz Przebiegły Wąż usłyszał ciche parsknięcie konia. Spojrzał ku prawej ścianie. Wstrzymał oddech. Jak urzeczony spoglądał na wierzchowca odgrodzonego żerdziami, położonymi poziomo na rozwidlonych drągach wbitych w ziemię. Od razu dostrzegł, że to właśnie musiał być ten najcenniejszy koń Czerwonej Ręki.

Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że wymarzony wierzchowiec znajdował się w ziemiance a nie w zagrodzie. Szybko rozważył sytuację. Chcąc uprowadzić najlepszego konia musiałby wkraść się do ziemianki, w której spali Paunisi, Jeżeli któryś z nich przebudzi się, narobi alarmu. Wtedy Przebiegły Wąż już nie umknie wrogom. Ryzyko było ogromne, ale ono właśnie najczęściej go nęciło. Cóż byłaby warta wojenna przygoda pozbawiona niezwykłych czynów! One to

przecież przynosiły wojowni-kowi sławę!

Ostrożnie wycofał się z otworu w dachu. Oczy jego połyskiwały. Pochylił się do przyczajonego Sha'pa i cicho rzekł:

- Sunka wakan, którego chcę uprowadzić, jest w ziemiance.

Wejść po niego. Ty idź do zagrody. Przygotuj dwa sunka wakan i czekaj na mnie! Jeżeli w ziemiance powstanie tumult, a ja zaraz nie przyjdę, bez zwłoki umykaj sam. Jedź prosto na północ, tam znajdziesz wyjście z osady.

- W razie alarmu pospieszę ci z pomocą! - zaproponował Sha'pa.

- Jeżeli sam nie zdołam wyrwać się z rąk Paunisów, na pew-no zabiją mnie. Nie możesz zapobiec temu, więc zrób tak, jak powiedziałem. Weź mój kołczan. Idź już, nie trać czasu! Bądź ostro-  
żny!

Sha'pa wziął kołczan Przebiegłego Węża, po czym zaczął scho-

dzić z dachu. W tej chwili strugi deszczu ze śniegiem spadły na ziemię. Przebiegły Wąż spojrzał w czerń nieba.

- Dzięki ci, Wielki Duchu! - szepnął i wsunął nogi w otwór w dachu.

Wolno pogrążał się w otworze, w końcu zawisł w powietrzu, przytrzymując się dłońmi brzegu otworu kominowego! Wprost pod nim żarzył się ogień. Przez chwilę Przebiegły Wąż nasłuchi-wał, po czym stopniowo rozkołysał swe ciało. Owalny dach zie-mianki podpierały cztery centralne słupy połączone z sobą poło-żonymi poziomo na ich górnych końcach grubymi belkami. Przebiegły Wąż kołysał się w powietrzu, dopóki stopami nie zahaczył o belkę, wtedy przesunął po niej nogi aż do kolan. Jednym ru-chem zawisł opuszczony głową w dół. Wspięcie się na belkę, prze-sunięcie ku słupowi i zejście na ziemię nie trwało zbyt długo.

Przebiegły Wąż trochę przysypał ziemią z klepiska żarzące się ognisko. Wnętrze chaty jeszcze więcej pociemniało. Psów nie by-ło w ziemiance. Teraz krok za krokiem zbliżał się do zagrody, w której stał wierzchowiec. Pochylił się i przeszedł pod poziomo ułożoną poprzeczką.

Wierzchowiec cofnął się, cicho parsknął. Przebiegły Wąż jed-nym skokiem stanął przed nim, dłonią nakrył mu chrapy. Koń zaczął boczyć się, przebierając nogami, ale Przebiegły Wąż moc-niej zacisnął dłoń na chrapach, podczas gdy drugą ręką głaskał go po smukłej szyi, szepcząc: „Tss, tss, tss...”

Spokojąc wierzchowca, jednocześnie rozglądał się po tonącej w mroku zagrodzie. Dostrzegł arkany wiszące na kołku wbitym w ścianę. Przerwał głaskanie konia, zdjął arkan. Teraz mocno dmuchnął

trzykrotnie wprost w rozwarte chrapy wierzchowca i szybko przewiązał mu arkanem dolną szczękę. Koń przestał się opierać, więc Przebiegły Wąż, przytrzymując arkan krótko przy pysku, podszedł do poprzeczki, zdjął ją z rozwidlonych u góry żer-dzi i położył na ziemi. Ostrożnie wyprowadził konia z

zagrody. Nagle koń wstrząsnął łbem i cicho zarżał.

W głębi ziemianki rozległo się głośnie ziewnięcie. Przebiegły Wąż znieruchomiał. Przyczaił się z prawej strony za wierzchowcem.

Zza jednej z zasłon wyszedł rosnący mężczyzna. Z tyłu jego wygolonej głowy zwisał długi lok skalpowy. Ubrany był tylko 202

1

w przepaskę biodrową. Wolno podszedł do wygasającego ogniska i dorzucił do niego garść chrustu. W chacie trochę pojaśniało. Do-piero teraz Czerwona Ręka zobaczył swego wierzchowca, który już znajdował się poza zagrodą. Koń znów cicho zarżał.

Czerwona Ręka podszedł do wierzchowca. Jeszcze więcej zdumiał się widząc arkan zwisający spod dolnej szczęki.

W tej chwili Przebiegły Wąż wyskoczył zza konia i maczugą uderzył Czerwoną Rękę w głowę.

Ogłuszony Czerwona Ręka nie zdążył nawet upaść na ziemię. Przebiegły Wąż zaraz dopadł do niego, podtrzymał go, po czym zaniósł do końskiej zagrody. Tam związał w kabłak rzemieniami i zakneblował mu usta. Teraz prawą ręką wydcbył z pochwy u pasa swój czipewejski stalowy nóż.

Pochylił się nad nieprzytomnym wrogiem. Lewą dłonią schwycił

go za lek skalpowy. W oczach Przebiegłego Węża przewinał się złowrogi błysk. Stalowe ostrze na chwilę zawisło tuż nad głową Czerwonej Ręki. Jednak odciął tylko długi lok skalpowy, nie skalpując wroga. Wojownik, który we własnej chacie utracił bez walki lok skalpowy, ośmieszony został na zawsze. ,

203

Przebiegły Wąż przewiązał lokiem rękojeść swej maczugi, wsunął ją za pas i podążył do wierzchowca. Na szczęście nikt więcej się nie przebudził. Ujął arkan krótko przy końskim pysku i po chwili razem z wierzchowcem pogrążył się w ciemnościach tunelowego wejścia do chaty.

Tymczasem na dworze deszcz ze śniegiem przemienił się w śnieżną zadymkę. Za ledwie Przebiegły Wąż znalazł się z koniem przed chatą, Sha'pa wychylił się z kryjówki. Widząc, że przyjaciel prowadzi konia, również zabrał tylko jednego i wysliznął się z nim z zagrody. Nie mówiąc ani słowa, podał Przebiegłemu Wężowi derkę, ten zaś tylko skinął głową i pierwszy ruszył pieszo prowadząc wierzchowca. Gdy oddalili się od ziemianki Czerwonej Ręki, dosiedli koni. Owinęli się derkami.

Wolno jechali przez osiedle owiani śnieżną zadymką. Kopulaste dachy ziemianek pokryły się bielą, płaty wilgotnego śniegu wirowały w podmuchach wiatru.

Przebiegły Wąż i Sha'pa z niepokojem nasłuchiwali, wciąż spojędali na siebie, ale tylko jękliwy wiatr zakłócał nocną ciszę. Nie-bawem wjechali na obrzeża osady, gdzie gnieździła się biedota i



wyrzutki społeczeństwa. Tutaj już przynagliłi wierzchowce. Za-dymka była ich sprzymierzeńcem.

Nie napotkali nawet strażni-ków obchodzących osadę. Wreszcie minęli ostatnie nędzne sadyby.

Szybko przemknęli pomiędzy poletkami i tabunem koni.

Przebiegły Wąż i Sha'pa ruszyli teraz wprost na północ. Wy-poczęte i dobrze odkarmione konie rażno gnały po otwartym ste-pie. Teraz już nie musieli obawiać się pościgu. Śnieżna zadymka natychmiast zacierała za nimi ślady końskich kopyt, a Czerwona Ręka nie wiedział, kto pozbawił go loku skalpowego.

# XVI

## *Złe białe duchy*

Po mroźnej i śnieżnej zimie nastawała wiosna. Na pre-riach zieleniła się trawa, a w borach od świtu rozbrzmiewały do-nośne głosy ptaków. Dziki zwierz budził się z zimowego snu.

Wahpekute z niepokojem witali nadchodzącą wiosnę. Zapasy suszonego mięsa i tłuszczu zgromadzone podczas jesiennych łowów na bizona już się kończyły. Resztki dzikiego ryżu oraz kukurydzy również szybko się wyczerpywały. Do chat Wahpekute zaglądał niedostatek. Toteż kobiety i starsze dzieci od świtu do zmierzchu przygotowywały poletka do zasiewów, mężczyźni natomiast zapuszczali się w bory na małe polowania. Tymczasem w okolicznych lasach coraz trudniej było o płową zwierzynę.

Wahpekute znali przyczynę znikania zwierzyny w lasach Minnesoty. Oto biali traperzy coraz śmielej i coraz liczniej zapuszczali się na ziemie Santee Dakotów. Oni to, posługując się bronią palną i przemysłowymi pułapkami, polowali jedynie w celu zdobycia skór, które sprzedawali innym białym. Za traperami zazwyczaj wkrótce pojawiali się osadnicy. Ci zaś trzebili lasy, w których płowa zwierzyna miała swoje ostoje. Pod siekierami białych osadników prastare bory ustępowały miejsca uprawnym polom.

W Santee Dakotach budził się gniew i nienawiść. Indianin zawsze polował jedynie dla zaspokojenia głodu i własnych potrzeb. Ziemia była jego matką, a zwierzęta braćmi, których czcił

i szanował. Ziemia była matką wszystkich ludzi, a zachłanni biali chcieli posiadać ją wyłącznie dla siebie.

Indianie wyganiani ze wschodu i południa przez białych coraz liczniej przybywali za rzekę Missisipi, szerząc oburzające wieści.

Mianowicie twierdzili, że biali bezmyślnie tępią dziką zwierzynę, 205

zabijając jej więcej, niż sami potrzebują do zaspokojenia głodu.

Opowiadali o chytrości i zachłanności białego człowieka, który gdyby tylko mógł, odebrałby wszystko drugiemu. Dlatego też wśród białych znajdowali się tacy, którzy mieli wszystkiego więcej, niż sami potrzebowali, podczas gdy wielu innych nic nie posiadało i przymierało głodem.

Biali ludzie nasyłali czarne suknie<sup>45</sup>, aby nakłaniały Indian do porzucenia wiary ojców, a w zamian oddawali cześć tylko jedy-nemu Bogu białych ludzi. Bóg białych, jak mówiły czarne suknie, nakazywał miłować wszystkich ludzi. Jednak Indianie widzieli na własne oczy specjalnie budowane przez białych zakratowane do-my, w których więzili właśnie białych ludzi. Strażnicy uzbrojeni w strzelby zmuszali więźniów do chodzenia wkoło po zamkniętym placu jak dzikie zwierzęta w klatce<sup>46</sup>. Skoro obłudni biali ludzie byli tak okrutni sami dla siebie, czego mogli oczekiwać od nich

Indianie?!

Przebiegły Wąż zasepiony wysłuchiwał zatrważających wieści. Teraz już nie wątpił, że sędziwy szaman Czerwony Pies słusznie wpajał w niego nienawiść do białych najeźdźców i ostrzegał przed nimi. Tymczasem biali ludzie już przenikali na ziemie Santee Da-kotów.

Na samym początku wiosny Wahpekute otrzymali alarmującą wiadomość. Otóż do Yanktonai przybył biały człowiek, agent Wielkiego Białego Ojca. Próbował on nakłonić Yanktonai do wykopa-nia wojennego toporu przeciwko czerwonym kurtkom drugiego Wielkiego Białego Ojca zza Wielkiej Wody<sup>47</sup>. Agent zwołał radę 45 Czarnymi sukniami nazywali Indianie księży-misjonarzy różnych wyznań i sekt religijnych, którzy próbowali nawracać Indian na swoją wiarę.

<sup>46</sup> Spostrzeżenia i uwagi dotyczące białych ludzi autorzy zaczerpnęli z oryginalnych przemówień Czarnego Łosia, szamana plemienia Oglala na-leżącego do Teton Dakotów (Neihardt: Black Elk Speaks. University of Nebraska Press).

<sup>47</sup> Wielki Biały Ojciec z Waszyngtonu - prezydent USA; Wielki Biały Ojciec zza Wielkiej Wody -

król Anglii Jerzy III. Mowa o wojnie Angli-ków przeciwko białym Amerykanom (1812-1814) za prezydentury J. Ma-disona. Wojna ta nie przyniosła zwycięstwa żadnej stronie, lecz ugruntowała niepodległość Stanów Zjednoczonych. Odtąd biali Amerykanie dążyli do wy-pierania europejskich mocarstw kolonialnych z kontynentu amerykańskiego (doktryna J. Monroe'a - 1823 r.).

206

starszych plemienia i wręczył upominki. Yanktonai odmówili mie-szania się do sporów białych najeźdźców, a wódz, Czerwony Liść, zniszczył podarunki ofiarowane przez agenta, aby wykazać swą pogardę dla rządu białych ludzi<sup>48</sup>.

Wiadomość o niezwykłym wydarzeniu u Yanktonai lotem pta-ka dotarła do Wahpekute, którzy zaraz zaczęli rozważać, w jaki sposób mają przyjąć białych ludzi. Sprawa była paląca, ponieważ skoro biali już dotarli do mieszkających dalej na zachodzie Yan-ktionai, to również mogli lada dzień przybyć do osady Wahpekute. Zdania były podzielone. Jednych nęciły niezwykle podarunki przynieszone przez białych, inni natomiast radzili nieproszonych gości przegnać lub zabić.

Rada starszych plemienia chcąc uspokoić wzburzone umysły odbyła naradę, która trwała trzy dni.

Starszyzna kilkakrotnie w tym czasie udawała się do swych chat w celu omówienia spra-wy z żonami. Podczas narady szamani Czerwony Pies i Przebiegły Wąż kolejno „rozmawiali” z duchami, które zalecały nieufność do białych ludzi i ostrzegały przed nachodzącym niebezpieczeństwem. Podczas rozmowy Czerwonego Psa z duchami w ziemiance słychać było szum skrzydeł ptaków i krakanie wron, a Przebiegły Wąż sypał z gołych dłoni płonące iskry. Toteż obrady zakończyła jed-nomyślnie podjęta decyzja, że Wahpekute nie chcą widzieć bia-łych ludzi na swoich ziemiach.

Decyzja rady starszych rozproszyła niepewność i zażegnała spory. Nawet ci, którzy przedtem łasili się na niezwykle upomin-ki, obecnie pochwalali stanowisko starszyzny. Okrutny los Indian

wyganianych przez białych ze wschodu i południa stanowił za-trważający przykład.

Mijał dzień za dniem. Wieści o białych ludziach przycichały. Kobiety znów od świtu do zachodu słońca pracowały na poletkach, a mężczyźni przemierzali lasy w poszukiwaniu małej zwierzyny.

Wkrótce po zakończeniu zasiewów Wahpekute mieli wyruszyć na wiosenne łowy na bizona, których powrotu z południa już wkrótce się spodziewano- W osadzie brakowało mięsa. Kobiety domagały 48 Wydarzenie historyczne, które miało miejsce około 1854 r., gdy agent rządowy do spraw indiańskich, Vaughan, odwiedził Yanktonai nad rzeką Missouri, około 100 mil w górę rzeki od fortu Pierre. Wtedy właśnie wódz Yanktonai, Czerwony Liść, zniszczył podarki w jego obecności.

207

się świeżych skór na nowe pokrycia tipi. Zdobyte koni umożliwiło zabieranie na wędrowni dłuższych żerdzi, z których sta-wiano szkielety namiotów. Dzięki temu tipi mogły być teraz obszerniejsze i wygodniejsze, a tymczasem stare pokrycia były do-stosowane do mniejszych namiotów. Skóry bizonów właśnie na wiosnę najlepiej nadawały się do sporządzania pokryć namioto-wych. Tak więc nadchodzące polowanie odsunęło wszystkie inne sprawy na dalszy plan.

Zbliżało się południe. Przebiegły Wąż wracał po całonocnych łowach do osady. Nie był w najlepszym nastroju. Jedyne jego łup myśliwski stanowiły dwa wychudzone szopy.

Właśnie położył na zfemi zwierzynę i przysiadł pod drzewem na krótki odpoczynek. Naraz usłyszał nie opodal ryk podobny do ryku samicy bizona, a zaraz po nim rozbrzmiało rzenie konia.

Przebiegły Wąż zdumiał się, ponieważ już od dawna nie spotyka-no bizonów w borach. W

pierwszej chwili pomyślał, że to Wielki Duch wysłuchał jego gorących próśb i zesłał mu bizona, lecz za-raz uzmysłowił sobie, iż rzenie konia raczej świadczyło o zbliżają-cym się niebezpieczeństwie. Toteż szybko powstał, po czym, kry-jąc się za drzewami, chyłkiem podążył na zwiad. Wkrótce przy-padł w gęstwinie.

Przebiegły Wąż oniemiał. Po raz pierwszy ujrzał białych lu-dzi. Było ich czterech. Jasne, jakby poszarzałe twarze upodabnia-ły ich do ciężko chorych ludzi. Najbardziej ludzki wygląd miał idący pieszo na przedzie. Jego twarz osmalona przez słońce i wiatr nie była tak biała jak pozostałych trzech jadących konno. Nosił na sobie kurtkę oraz spodnie z miękko wyprawionej jeleniej skóry oraz indiańskie mokasyny. Na głowie miał okrągłą futrzaną czap-kę ze zwisającym z tyłu ogonem bobra. Uzbrojony był w strzelbę i nóż. Natomiast pozostali trzej na koniach ubrani byli dziwacz-nie i niepraktycznie.

„\Vasichu, a więc tak naprawdę wyglądają waszchu!” - bez-dźwięcznie szeptał Przebiegły Wąż, ale ogarniało go co’ra’z większe zdumienie.

Oto za białymi podążały dwa dziwne zwierzęta, trochę przypo-minające jakby zdeformowane bizona. Na samym końcu szły jesz-cze dziwniejsze stwory, czarni biali ludzie! Poganiaли łaciate bizo-ny i prowadzili juczne konie<sup>49</sup>.

Indianie ze wschodu opowiadali, że biali ludzie mają do posług czarnych białych ludzi, którzy są ich niewolnikami i pracują jak kobiety. Wspominali również o łaciatych bizonach oraz innych nie mniej dziwnych zwierzętach przywożonych z Wielkiej Wody, jednak słuchanie nawet najbardziej nieprawdopodobnych opowiadań nie dorównuje oglądaniu tych dziwów na własne oczy. Przebiegły Wąż z zapartym tchem spoglądał na podążający przez puszcę korowód.

Wszystko, co obce i nieznanne, zazwyczaj budzi w człowieku lęk, więc i do sępa Przebiegłego Węża wkładał się strach na widok niesamowicie wyglądających ludzi i zwierząt.

„A może jednak są to naprawdę niezemskie zjawy? - budziło się podejrzenie w Przebiegłym Wężu. - Może to złe duchy pojawiają się na Ziemi pod postaciami takich ludzi i zwierząt, aby siać zamęt w świecie stworzonym przez Wielkiego Ducha?”

Prawa dłoń Przebiegłego Węża zacisnęła się na rękojeści noża. Wszakże zaraz zdał sobie sprawę, że sam nie podoła tylu wrogom, zwłaszcza jeżeli pod ich dziwnymi postaciami kryły się złe duchy. Toteż zaledwie wędrujący przez puszcę zniknęli mu z oczu, odszukał upolowane szopy i pobiegł na przelaj ku osadzie, aby uprzedzić swoich o zbliżaniu się nieproszonych gości.

Daleko było jeszcze do zachodu słońca, a tymczasem kobiety i dzieci już porzuciły pracę na poletkach i przebywały w osadzie. Mężczyźni tak jak zwykle wysiadali grupkami przed ziemiankami, lecz tym razem prawie każdy z nich miał przy sobie jakąś broń. Tu i tam widać było żołnierzy „Złamanej Strzały” w pełnym uzbrojeniu, a przed wejściem do osady stała straż.

Zwiadowcy rozesłani na wschód, co pewien czas nadbiegali z meldunkami. Nawet dzieciarnia bawiąca się bez troski, tego popołudnia przebywała w pobliżu mężczyzn. Życie na pozór toczyło się normalnym trybem, lecz wszędzie można było wyczuć z trudem maskowaną ciekawość i niepokój. Wiadomo przecież było, że biali ludzie niebawem pojawią się w osadzie. Wkrótce po zaalarmowaniu osady przez Przebiegłego Węża, wysłani zwiadowcy donosili o każdym kroku intruzów.

19 Czarni biali ludzie - Murzyni; łaciate bizona - krowy.

208

209

Rada starszych zgromadziła się w chacie wodza pokoju. Przed chwilą właśnie uchwaliła, że w imieniu wszystkich Wahpekute wystąpią obydwaj szamani: Czerwony Pies i Przebiegły Wąż. Natomiast „Złamane Strzały” miały dopilnować, aby posłów białych ludzi nie spotkała ze strony zapalczywych wojowników zniewaga lub śmierć. Wielu Wahpekute wrzało nienawiścią do białych, którzy uzbrajali w broń palną zniechęconych Czipewejów.

Głos Kojcty właśnie wszedł do chaty wodza pokoju i oznajmił, że zarośnięte usta znajdują się przed wrotami osady.

- Rada starszych postanowiła wysłuchać białych posłów - rzekł Czerwony Pies. - Przyprowadźcie ich przed moją chatę!

Zaraz też rada starszych zasiadła na skórach rozłożonych na ziemi przed chatą. Po obydwóch stronach Czerwonego Psa ubra-nego w uroczysty strój szamański znajdowali się: Przebiegły Wąż, Czarny Wilk, Biała Antylopa, Kogra-Tonga, Burza Gradowa, Pod-cięte Gardło i Czerwona Woda.

Mężczyźni, kobiety i dzieci stanęli szerokim półkolem naprze-ciwko rady starszych. Wszyscy chcieli ujrzeć białych ludzi. Uzbro-jeni wojownicy zajęli pierwsze szeregi w półkolu. Obawa przed obcymi nakazywała ostrożność.

Żołnierze „Złamanej Strzały” przywiedli czterech białych przed radę starszych. Biały noszący ubiór człowieka lasu wysunął się do przodu. Podniósł do góry prawą dłoń w powitalnym geście pokoju.

- Przybywamy do plemienia Wahpekute jako posłowie Wiel-kiego Białego Ojca z Waszyngtonu, który jest wodzem wszystkich białych ludzi - przemówił tłumacz językiem, który był mieszani-  
ną narzeczy używanych przez Santee, Yankton i Teton Dakotów.

- Przybyliśmy, aby wypalić wspólnie fajkę pokoju...

Czerwony Pies dał znak, aby posłowie usiedli na skórach rozło-żonych naprzeciw rady starszych, a przewodnik i zarazem tłumacz długo mówił o potędze Wielkiego Białego Ojca i jego przyjaznych uczuciach dla Santee Dakotów. Namawiał też do utrzymywania dobrosąsiedzkich stosunków z osadnikami oraz do pomagania bia-łym wędrującym na zachód. W zamian obiecywał podarki, które Wahpekute mieli otrzymywać od rządu co roku. Na poparcie swych słów przywołał

Murzynów, którzy zaczęli składać podarun-ki przed radą starszych.

210

Na widok niezwykłych i cennych podarunków ani jeden mus-kuł nie drgnął w kamiennych twarzach rady starszych. Tymcza-sem Murzyni kładli przed nimi strzelby z woreczkami kuł i rogami napełnionymi prochem, stalowe noże, krzesiwa do rozpalania ognia, derki, woreczki z tytoniem, szklane koraliki i sztuki baweł-nianego materiału. W końcu Murzyni przyprowadzili dwie krowy, których widok wywołał wśród Indian pogardliwe śmiechy.

Tłumacz wskazując dłonią dary dodał, że po wypaleniu fajki pokoju Wielki Biały Ojciec przyśle im więcej upominków. W za-mian Wahpekute mają żyć w przyjaźni z białymi osadnikami i nie czynić przeszkód kolonistom dążącym na zachód.

Zapadło dłuższe milczenie, po czym Czerwony Pies podniósł się i rzekł:

- Biali ludzie mówią, że przyszli do nas jako bracia, więc do-brze, niech moi biali bracia uważnie słuchają tego, co powiem, ponieważ mój głos jest głosem wszystkich Wahpekute. Moi biali bracia powiedzieli swoje. Słuszne więc jest, abyśmy również odpo-wiedzieli im, zanim stąd odejdą.

Wielki Duch stworzył tę ziemię dla Santee Dakotów. Wahpe-kute otrzymali ją od swych praojców.

Wielki Duch także stworzył pługą zwierzynę, niedźwiedzie, bobry i bizony, abyśmy nie cierpieli głodu i mieli w co się ubrać. Wielki Duch stworzył ziemię, aby rodziła kukurydzę i jeziora zapłodnił ryżem. Żyjemy zgodnie z czworonożnymi zwierzętami, z ptakami i roślinami, gdyż wszyscy jesteśmy dziećmi jednej matki Ziemi i jednego ojca, Wielkiego Ducha. To wszystko stworzył Wielki Duch dla swoich dzieci, które kocha i my również wszyscy czcimy go i kochamy.

Moi biali bracia mówili nam o ojcowskich uczuciach Wielkiego Białego Ojca. My natomiast napotkaliśmy Indian wygnanych ze wschodu i z południa przez białych ludzi. Oni widzieli domy pobudowane przez białych, w których biali więżą takich samych białych ludzi i traktują ich jak dzikie zwierzęta w klatkach. Biali ludzie powinni wstydzić się tego. Gdyby jakikolwiek Wahpekute postąpił tak wobec swego brata, zostałby wygnany z plemienia, aby pożarły go wilki.

Nie chcemy mieszać się do spraw białych ludzi. Także nie chcemy widzieć białych ludzi na naszych ziemiach. Nie potrzebujemy waszych podarunków. Wielki Duch dał wszystko swoim

### *14 Przekleństwo złota*

211

czerwonoskórym dzieciom. Pragniemy tylko nadal żyć tak, jak żyli nasi ojcowie. Pozostawcie nas w spokoju. Hough!

Czerwony Pies z powrotem siadł w gronie rady starszych. W tej chwili jeden z trzech białych, którzy dotąd w milczeniu słuchali tłumaczonego im przemówienia Czerwonego Psa, nagle podniósł

się i podszedł do Mem'en gwa. Ona to bowiem, chociaż już dawniej widywała białych ludzi w obozach Czipewejów, teraz nie mniej od innych zaintrygowana, chciała również przypatrzeć się wizycie nieproszonych gości. Obecnie przyglądając się podarkom leżącym przed radą starszych, trzymała w rękach kołyskę ze swym maleńkim synkiem. Aby skutecznie zabezpieczyć go przed rzuceniem jakiegoś złego uroku przez podstępnych białych ludzi, zawiesiła dziecku na szyi tajemniczy talizman, ofiarowany mu przez szamana Czerwonego Psa podczas uroczystości nadawania pierwszego imienia.

Biały mężczyzna wciąż lustrował wzrokiem stojących wokół Indian. Zauważył też oryginalny talizman zawieszony na rzemyku na szyi niemowlęcia. Zapominając o ostrożności, podniósł się i stanął przed Mem'en gwa. Drapieżnym ruchem schwycił talizman. Teraz trzymał go w otwartej dłoni. Pożądliwe błyski pojawiły się w jego oczach. Nagle odwrócił się ku swoim i podniecony, zawołał:

- Złoto! Szczere złoto! Oni mają złoto!

Słowa wypowiedziane w nie znanym Wahpekute języku sprawiły piorunujące wrażenie na pozostałych dwóch białych. Porwali się na równe nogi. Twarze ich poczerwieniały, oczy błysnęły pożądaniem. Tłumacz zawołał coś do nich ostrzegawczo, lecz Przebiegły Wąż już stał przed białym ściskającym w ręku złoto.

Młody szaman wolno uniósł zaciśniętą pięść, jakby zamierzał uderzyć białego mężczyznę, lecz nagle

otworzył ją i z gołej dłoni sypnął snopem płonących iskier wprost w pałające pożądaniem oczy białego. Ten przerażony wypuścił talizman i szybko uskończył w bok.

Przebiegły Wąż przeszył go pełnym nienawiści wzrokiem i rzekł:

- Gdybyś nie był posłem, byłbyś już martwy! Lecz ostrzegam, nie dotykaj mego syna po raz drugi!

Biały pobladł, cofnął się ku swoim. Pogardliwy uśmiech prze-



# I

mknął po twarzy Przebiegłego Węża. Czerwony Pies słusznie mó-wił, że widok żółtego kamienia pozbawia rozsądku białych ludzi.

Po chwili Przebiegły Wąż. przemówił już spokojnym głosem:

- Oznajmiliście nam, że Wielki Biały Ojciec, który rządzi białymi, chce żyć z nami w zgodzie. My również nie pragniemy z nim wojny. Jeżeli pozostawicie nas w spokoju, nie wykopujemy topora wojennego. Wasze podarunki nie są nam potrzebne. Po cóż nam wasze grzmiące kije, skoro łuki i strzały dane przez Wiel-kiego Ducha zabijają szybciej i pewniej?

Mówiąc to błyskawicznym ruchem dobył z kołczanu łuk i strzałę. Prawie w tej samej chwili jęknęła cięciwa. Strzała na wylot przebiła krowę. Nieszczęsne zwierzę z bolesnym rykiem zważyło się na ziemię. Przebiegły Wąż podszedł do drgającego w agonii zwierzęcia. Jednym cięciem kamiennego noża przeciął mu gardło 50.

- Nie potrzebujemy również waszych noży, nasze nam wy-starczają. Zabierzcie swoje łaciate bizony. Te, które dał nam Wiel-ki Duch, zaopatrują nas we wszystko, czego potrzebujemy. Nie wypalimy z wami świętej fajki pokoju. Teraz nasze kobiety na-karmią was, jesteście głodni i utrudzeni długą drogą. Przez noc możecie wypocząć w naszej osadzie, a o świcie zabierzcie swoje podarunki i idźcie stąd precz! Jako posłowie bezpiecznie opuścicie naszą ziemię.

5t Epizod zaczerpnięty z relacji wodza Paunisów, zwanego Wodzem Kę-dzierzawym (Curly Chief, 1800-1820), który tak właśnie przedstawiał pierwszy kontakt Paunisów z białymi ludźmi.

# XVII

## ‘iciropusz wojenny

Wahpekute powrócili z jesiennych łowów na bizona dopiero późną jesienią. Obecnie wojownicy mogli już poświęcić czas wyłącznie na własne męskie sprawy.

Przebiegły Wąż z wielką niecierpliwością oczekiwał nadejścia zimy. Podczas długich monotonicznych wieczorów zimowych rada starszych miała rozpatrzyć dokonane przez niego wojenne czyny, które były odznaczane orlimi piórami. Przebiegły Wąż odbył już tyle pomyślnych wojennych wypraw i wyróżnił się na nich tyłoma niezwykłymi czynami, że mógł spodziewać się uzyskania prawa do sporządzenia oraz noszenia zaszczytnego pióropusza.

Indianie Równin sporządzali swe duże pióropusze wojenne z piór złocistego orła, w przeciwieństwie do Indian - mieszkań-

ców lasów, którzy nosili na głowach jedynie opaskę przytrzymują-

cą jedno prosto stojące pióro indyjskie, żórawie lub czaple<sup>51</sup>. Tak więc Przebiegły Wąż musiał najpierw zdobyć orle pióra, aby mógł

przystąpić do sporządzania pióropusza od razu po przyznaniu mu odznaczeń przez radę starszych. Jednak zdobycie orlich piór przedstawiało dla Przebiegłego Węża szczególne trudności. Jego Duch Opiekunczy pojawiał się zawsze przed nim pod postacią zło-51 Najbardziej atrakcyjną częścią ubioru Indian Równin był pióropusz wojenny. Jednak dla Indian największą wartość posiadał nie wspaniały wygląd pióropusza, lecz przypisywana mu magiczna, uświęcona moc, która miała ochraniać właściciela na polu bitwy. Poszczególne pióra były przyznawane wojownikowi za niezwykle czyny, były więc odpowiednikiem naszych orderów. W dawnych czasach pióropusze były noszone wyłącznie przez Indian Wielkich Równin, gdzie ze względu na całkowity brak lasów i zarośli nie mogły o nic zaczepiać się i nie krępowały wojownikowi swobody ruchów. Pióropusz Dakotów posiadał szeroko rozłożone pióra w części zakła-214

cistego orła i tym samym był dla niego największą świętością. Przebiegłemu Wężowi nie wolno było nigdy polować na orły, ani ich chwycić, mógł jedynie kupić pióra od kogoś innego.

Na szczęście dla Przebiegłego Węża w osadzie Wahpekute znajdował się doświadczony łowca orłów. Był nim jeden z oficerów żołnierskiego stowarzyszenia „Złamane Strzały”, który nawet z powodu swej oryginalnej specjalności myśliwskiej nosił imię Łowca Orłów. Do niego to obecnie udał się Przebiegły Wąż.

Ziemianka Łowcy Orłów stała na uboczu osady. Nie opodal na dwóch grubych słupach siedziały dwa duże, złociste orły. Każdy z ptaków miał do jednej nogi przywiązany mocny długi rzemień, którego drugi koniec przytwierdzony był do słupa. Wytrawny łowca tych drapieżnych ptaków już od wielu lat wyprawiał się w górę w celu porywania młodych orłów z gniazd ukrytych w niedostępnych skałach. Schwyte ptaki przynosił do osady i trzymał na uwięzi. Nigdy nie udało mu się oswoić

orła. Drapieżniki wciąż podrywały się do lotu i fruwały w powietrzu na długość krępują-

cego je rzemienia, grożąc swemu ciemieźcy przenikliwymi krzykami. Toteż Łowca Orłów poniechał bezskutecznych prób oswajania i tylko regularnie wyrывał orłom pióra.

Na widok nadchodzącego Przebiegłego Węża olbrzymie orły zerwały się do lotu. Łopocząc skrzydłami zataczały kręgi w powietrzu. Gniewne, przenikliwe wrzaski ptaków wywabiły hodowcę z chaty. Przebiegły Wąż właśnie chylił swą głowę przed orłami, szepcząc:

„Wybaczcie mi czcigodni bracia! Nie ja was schwytałem i więzę. To nie ja pozbawiam was piór posiadających czarodziejską moc. Nigdy nie posłałem strzały z łuku do orła!”

***Łowca Orłów dyskretnie czekał na uboczu, dopóki Przebiegły***

danej na głowę i w ogonie, a czasem nawet dwóch, opuszczanych na plecy. Natomiast pióropusz Indian Crow opadał na głowę bardziej płasko, a Czarne Stopy nosili pióropusze o piórach wprost sterczących do góry. Indianie mieszkający w lasach nosili na głowach opaski z pojedynczym piórem stojącym prosto.

Obecnie, wszyscy współcześni Indianie, zakładają na różne imprezy pióropusze dawniej noszone tylko na Równinach, ponieważ ich malowniczy i romantyczny wygląd spełnia oczekiwania turystów, którzy w ogóle nie mają pojęcia o pochodzeniu i roli indiańskich pióropuszy.

215

**ZNAKI NA PIÓRACH OKREŚLAJĄCE CZYN WOJENNY**

# INDIANINA

## RÓWNIN

1. Poderżnął wrogowi gardło. 2. Poderżnął wrogowi gardło i sam został zraniony. 3. Poderżnął wrogowi gardło i oskalpował go. 4. Jako trzeci dotknął

zabitego wroga. 5. Jako czwarty dotknął zabitego wroga. 6. Jako piąty dotknął zabitego wroga. 7. Wielokrotnie ranny w walce. 8. Jako pierwszy wytropił wroga i doniósł o tym. 9. Zabił jednego wroga 216

Wąż sam nie zbliżył się do niego. Razem weszli do chaty. Siedli przy ognisku. Żona Łowcy Orłów postawiła przed nimi misę go-towanego mięsiwa i suszone owoce. Przebiegły Wąż zgodnie z obyczajem jadł razem z gospodarzem. Dopiero gdy skończyli, rzekł:

- Potrzebuję orlich piór do sporządzenia pióropusza.

- Zapewne chcesz, żebym poszedł z tobą na polowanie - wtrącił Łowca Orłów. - Teraz pora nieodpowiednia do wałęsania się po górach. Wkrótce spadnie śnieg.

- Wiem o tym. - powiedział Przebiegły Wąż.

- Moglibyśmy pójść wczesną wiosną.

- Nie mam zamiaru wybierać się na polowanie - odpowiedział Przebiegły Wąż. - Nie polowałem dotąd i nigdy nie będę polował na orły. Chciałbym otrzymać od ciebie te pióra.

- Trudna sprawa - zafrasował się Łowca Orłów. - Na pióropusz potrzeba wiele piór.

- Pióropusz będzie umieszczony na szamańskim stroju głowy.

Tylko jeden pas z piórami przez środek czapki opadający na plecy. Potrzebuję trzy razy po dziesięć piór.

- To byłoby prawie wszystko, co zdołałem uzbierać. Niedawno wyrwałem pióra moim orłom, na odrośnięcie nowych będę musiał czekać. Na łowy w górach już za późno.

- Słuchaj, Łowco Orłów! Właśnie przyszedłem do ciebie dla tego, że chcę mieć pióra zabrane tylko żywym ptakom. Nie mógłbym wziąć piór zabitych orłów.

- Nie zabijam orłów - rzekł łowca.

- Nawet podczas polowania w górach? - zdumiał się Przebiegły Wąż.

- Nawet wtedy. Wykopuję jamę w ziemi, kryję się w niej i zakrywam gałęziami otwór. Na wierzchu kładę kawał mięsa. Gdy orzeł próbuje podnieść przynętę, chwytam go za pióra w ogonie. Orzeł

przestraszony gwałtownie wzbija się w powietrze, a wyrwane pióra pozostają w moich rękach. W okresie następnego pierzenia się pióra mu odrastają. Podczas takich łowów większe niebezpieczeństwo grozi mnie niż orłowi. W górach jest dużo niedźwiedzi.

- Wielki Duch sprowadził mnie do ciebie! - uradował się Przebiegły Wąż. - Pióra otrzymane od ciebie nie pozbawią mego pióropusza czarodziejskiej mocy.

217

- A więc chciałbyś tylko pióra z ogona dorosłych orłów!

- O to mi chodzi właśnie, wiesz przecież, że tylko te pióra posiadają wielką moc czarodziejską! !

- Trudno będzie mi zebrać tyle takich piór!

- Łowco Orłów, daj mi trzy razy po dziesięć piór z ogonów złocistych orłów, a ja w zamian ofiaruję ci trzy młode sunka wa-kan. Hough'.

Błyśnięcie zadowolenia przebiegło po twarzy Łowcy Orłów. Potrzebował koni, a wszyscy uznawali, że Przebiegły Wąż posiadał najlepsze mustangi wśród Wahpekute.

- Będziesz miał te pióra, przyjdź po nie jutro. Hough!

\* \* \*

W chacie wodza pokoju wokół ogniska zasiadali: Biała Antylo-pa, Kongra-Tonga, Czarny Wilk, Burza Gradowa, Czerwona Woda i Podcięte Gardło. Czerwony Pies pełnił rolę gospodarza. Już mijał czternasty dzień od czasu, gdy plemienna rada starszych po raz pierwszy zasiadła w chacie Przebiegłego Węża, żeby ocenić jego zasługi na wojennych ścieżkach i przyznać za nie zaszczytne odznaczenia w postaci orlich piór.

Przez czternaście dni starszyzna goszczona przez Czerwonego Psa co wieczór zasiadała przy ognisku. Pykając fajkę słuchała opowieści o podchodach, pomyślnych ucieczkach i uprowadzeniach, o pojedynkach, walkach, wyprawach łupieżczych i innych niebezpiecznych czynach wojennych, świadczących o śmiałości, odwadze i bohaterstwie wojownika. Przebiegły Wąż musiał

szereżo przedstawiać każdy swój wojenny czyn, powoływał naocznych świadków, a starszyzna chętnie chłoneła pasjonujące wspomnienia, dopytywała się o szczegóły i każdy czyn oceniała odpowiednio do zasługi.

Dopiero czternastego wieczoru Przebiegły Wąż doznał do uprowadzenia Paunisom ich najlepszego wierzchowca. Na dowód prawdy, że wkradł się do chaty wrogów, pokazał długi kosmyk włosów Czerwonej Ręki. Zabranie loka skalpowego Paunisowi na-wet bez zranienia go i to we własnej chacie, wywołało zachwyt u rady starszych. Czyn ten został oceniony bardzo wysoko, bo przyznano Przebiegłemu Wężowi aż trzy orle pióra. W ten sposób posiadał już prawo do noszenia dwudziestu siedmiu piór i teraz mógł przystąpić do sporządzenia zaszczytnego pióropusza.

Pióropusz wojenny wymagał zbiorowej pracy. Nie było to łatwe zadanie. Każde pióro musiało być odpowiednio nacięte bądź opatrzone odpowiednim znakiem lub kolorem, aby wszyscy mogli z łatwością rozpoznać, za jaki czyn wojenny zostało przyznane. Tak więc sporządzanie pióropusza miało znów pochłonąć wiele czasu, ale przecież nikomu się nie śpieszyło. Na dworze hulała śnieżna zadymka, a w ciepłej chacie gościnnego szamana tak przyjemnie słuchało się przy ognisku wojennych opowieści.

# 3RAFIA

Amon A.: Talking Hands - Indian sign language. Nowy Jork 1968 A n d r i s t R.K.: The Long Death - The Last Days of the Plains Indian.

# Nowy Jork 1965

Benedict-R.: Wzory kultury. Warszawa 1966

B i l l i n g t o n R.A.: Westward Espansion. A History of the American



# **Frontier. Nowy Jork 1952**

Botkin B.A.: A Treasury of American Folklore. Nowy Jork 1944

Brandon W.: The American Heritage Book of Indians. USA 1961

B'rehm A.E.: Życie zwierząt. T. I i II Warszawa

Dale E.E.: The Indians of the Southwest - A Century of development under The United States. Oklahoma 1949

Deloria Vine J.R.: Custer Died for Your Sins - An Indian Manifesto.

# Nowy Jork 1969

Dengler H.: American Indians - Tribes of the Prairies and the East.

Nowy Jork 1923

Denig E.T.: Five Indian Tribes of the Upper Missouri - Sioux, Arickaras,

*Assiniboines, Crees, Crows. Oklahoma 1961*

Disney W.: Wild Life of the West. Nowy Jork 1958

Drake S.G.: Indian Captivities or Life in the Wigwam. Auburn i Buffalo 1854

Encyclopaedia Britannica. Chicago-Londyn 1971

Farb P.: The Land and Wildlife of North America. 1968

Farge O. La.: Il Mondo Degli Indiani. Werona 1966

Fazzini L.D.: Indians of America. Racine-Wiś. 1935

Field M.C.: Prairie and Mountain Sketches. Nowy Jork 1957

Forbes J.D.: The Indian in America's Past. Englewood Cliffs, N. J. 1964

Frazer J.G.: Złota gałąź. Warszawa 1962

Frost: Indian Wars of the United States. Auburn i Buffalo 1854

Geografia Powszechna, T. I, II i V. Warszawa 1962-1967

The Golden Book Picture Atlas of the World. Nowy Jork 1960

Grzybowski S.: Tomahawki i muszkiety. Warszawa 1965

Hofsinde R. (Gray Wolf): Indian Costumes. Nowy Jork 1968

Hunt W.B.: The Golden Book of Indian Craft and Lore. Nowy Jork 1961

Joseph A.M.: The Indian Heritage of America. Nowy Jork 1970

Leayitt I.E.: America and its Indians. Nowy Jork 1962

Lips E.: Das Indianerbuch. Lipsk 1965

Łowię R.H.: Indians of the Plains. Nowy Jork 1963

Marriot A.: Indians on Horseback. Nowy Jork 1948

Marriot A.iRachlin C.K.: American Epic - The story of the American Indian. Nowy Jork 1969

**Moszyński K.: Ludy zbieracko-łowieckie. Kraków 1951**

Moszyński K.: Człowiek - wstęp do etnografii powszechnej i etnologii.

**Wrocław 1958**

Narody Amieriki. T. I i II. Moskwa 1959

Parkman F.: The Oregon Trail. Nowy Jork 1963

Pieroni P.: L' Spopee Du Far-West. Paryż 1962

Posern-Zieliński M. i A.: Jndżansfcte wierzenia i rytuały. Wrocław 1977

Rachlis E.: Horses. Nowy Jork 1965

Salomon J.H.: The Book of Indian Craft and Indian Lore. Nowy Jork 1928

Szczepański J.: Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną. Warszawa 1972

Swanton J.R.: The Indian Tribes of North America. Waszyngton 1953

Swanton J.R.: The Indian of the Plains. Nowy Jork 1953

A Treasury of American Folklore. Nowy Jork 1944

Utley R.M.: The Last Days of the Sioux Nation. New Hayen i Londyn 1963

Völkerkunde für jedermann. Gotha-Lipsk 1966

Webster's Geographical Dictionary. Springfield, Mass. 1957

Wendell H.O.: This Land Was Theirs - A study of the North American Indians, Nowy Jork 1966

Weule K.: Der Krieg in den Tiefen der Menschheit. Stuttgart 1916

White A.T.: Indians and the Old West. Nowy Jork 1958

White A.T.: Indians and the Old West - The story of the First Americans. Nowy Jork 1961

Ziemia i Ludzie. Warszawa 1933

I. Zapowiedź wyprawy wojennej ..... 7

II. Sha hi'ye, czyli mówiący niezrozumiałym językiem .....	19
III. Podwójny napad .....	34
IV. Na wojennej ścieżce .....	46
V. Hokka-hey! .....	63
VI. Indiańskie wesele .....	84
VII. Łowy na mustanga .....	97
VIII.	
Żołnierze „Złamanej Strzały” .....	112
IX. Pauniska strzała .....	123
X. Śmierć wojownika .....	132
XI. Znak Ptaka Świętego Grzmotu .....	146
XII. Narodziny szamana .....	159
XIII.	
Wojna o tereny łowieckie .....	172
XIV.	
Syn czy córka? .....	184
XV. W pogoni za sławą .....	195
XVI.	
Złe białe duchy .....	205
XVII.	
Pióropusz wojenny .....	214
Bibliografia .....	221